

ADAM BOROWSKI: TO SĄ NASZE TERMOPILE. NIE DAMY SIĘ USUNĄĆ!



NAGANIACZE IMIGRACJI. KOMU ZALEŻY NA TYM, BY PARYŻ BYŁ W WARSZAWIE



CZY MOŻEMY JESZCZE UFAĆ POLSKIM SZPITALOM?



NOWA KSIĄŻKA OLGI TOKARCZUK, CZYLI POCHWAŁA WYKORZENIENIA

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

44 (726) 2026
26 X – 1 XI 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

ZABÓJCA DEMOKRACJI

DONALD TUSK

POŻERA KOLEJNE INSTYTUCJE. JEŻELI NIE OBRONIMY TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO I NARODOWEGO BANKU POLSKIEGO, WYBORY STANĄ SIĘ FIKCJĄ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269601 44
Numer w sprzedaży do 2 XI 2026 r.

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Dbamy o to, co się liczy.



Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

Marsz pod specjalnym nadzorem

W przededniu Święta Niepodległości powinien dominować pozytywny nastrój radosnych przygotowań do obchodów 108. rocznicy powrotu Polski na mapę świata. Tak byłoby w normalnym kraju. Ale Polska pod rządami Donalda Tuska normalnym krajem nie jest. Zawsze, gdy on jest u steru państwa, Marsz Niepodległości staje się imprezą podwyższonego ryzyka. Jego organizatorzy muszą mieć się na baczności, rozglądać szczególnie uważnie i mocniej niż zazwyczaj uczulić Straż Marszu na różne zdarzenia nieplanowane.

W br. sytuacja będzie wyjątkowo podbramkowa, bo ta manifestacja przez jeszcze długie miesiące może być największym ulicznym zrywem polskich patriotów. A to oznacza, że może być ostatnią szansą dla Tuska na wygenerowanie scen, którymi będzie nas truł przed wyborami.

Premier nie może mieć złudzeń, wiele wskazuje na to, że za rok straci władzę i czeka go odpowiedzialność, również karna. A skoro ma tak wiele do stracenia – z wolnością na czele – to sięgnie po wszelkie metody, by tego jednak nie stracić.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że już planuje kampanię zohydzającą szeroko rozumiany obóz niepodległościowy, który 11 listopada będzie maszerował w Warszawie. Do tego potrzeba na ulicach złych emocji, wykrzywionych twarzy, jakichś haniebnych transparentów, nienawistnych okrzyków, a najlepiej starć z policją, krwi i zniszczeń.

Tak już kiedyś było: gdy policja pacyfikowała uczestników Marszu Niepodległości, nasze lewactwo zapraszało Antifę z Niemiec wyposażoną w pałki i kastety, a władzom Warszawy udało się nie skończyć pewnych remontów i zostawić stosy kostki brukowej akurat tam, gdzie marsz miał startować.

W tamtych latach mieliśmy też podpalenie budki strażniczej przed rosyjską ambasadą, o co próbowano oskarżać uczestników marszu. Dopiero później z rozmowy Elżbiety Bieńkowskiej z Pawłem Wojtunikiem w restauracji Sowa & Przyjaciele dowiedzieliśmy się, że to Bartłomiej Sienkiewicz miał wydać swoim ludziom rozkaz, by uszyć tę prowokację.

Dziś do gry wrócili sprawdzeni w boju żołnierze. Jak ustaliła telewizja wPolsce24, ostatnie akcje policji wokół Trybunału Konstytucyjnego miały być koordynowane przez trio: szefa MSWiA Marcina Kierwińskiego, byłego ministra kultury oraz spraw wewnętrznych i administracji Sienkiewicza oraz sekretarza stanu w kancelarii premiera, a wcześniej wieloletniego szefa Służby Wywiadu Wojskowego gen. Radosława Kujawę.

Dwaj ostatni znają się jeszcze z czasów działalności w NZS w latach 80., ale zacieśnili współpracę w latach 90., gdy Kujawa był w zarządzie wywiadu UOP, a ppłk Sienkiewicz był głównym doradcą tego zarządu.

Czy brudne metody służb specjalnych znajdą zastosowanie 11 listopada? Małą próbkę mieliśmy przed tygodniem w trakcie kompletnie nieprofesjonalnej akcji policji z zatrzymaniem Piotra W. w biurze Adama Borowskiego (złamano wówczas co najmniej kilka przepisów opisujących uprawnienia i obowiązki interweniujących policjantów – od bluzgania do leżącego w rozbitym szkle człowieka, poprzez ładowanie go na noszach do karetki w kajdankach, aż po utrudnianie mu kontaktu z rodziną i adwokatem). Może było w tym więcej intencji, a może tylko „udało się" wygenerować tę sytuację poprzez ściągnięcie do „zabezpieczania" Trybunału Konstytucyjnego wyłącznie nieopierzonych funkcjonariuszy, takich z maksymalnie kilkumiesięcznym stażem w formacji, często jeszcze w trakcie służby przygotowawczej.

Pan Piotr miał trafić na miesiąc do aresztu, ale sąd zmasakrował wniosek prokuratury i nie zastosował żadnego środka zapobiegawczego, uwiarygadniając opinię, że zarzuty naruszenia nietykalności funkcjonariuszki są zdecydowanie naciągane.

Tusk ukrywa już coraz mniej. Chce „wysadzać z siodła" prezesa TK, obcina pieniądze konstytucyjnym instytucjom i grozi tym prezydentowi, a rekordowo zadłużającego Polskę ministra finansów chce awansować na wicepremiera, jawnie przyznając, że robi to tylko na złość opozycji.

Co zechce zrobić dziesiątkom, a może setkom tysięcy polskich patriotów za kilkanaście dni? Nie można wykluczyć najbardziej paskudnych prowokacji.

Więcej mówię o tym w podcaście na nowym kanale „Sieciwsieci" na YouTube. Znajdą tam Państwo komentarze wideo naszych autorów. Serdecznie polecam!

Marek Pyza



Reklama 01/0126/F/ZAL

eprasa.pl b95eb4ceae

SIECI spis treści



24 Polowanie na obywateli, czyli policyjne państwo w akcji
Marzena Nykiel



31 Pragmatyzm zamiast podziałów
Piotr Gursztyn



48 Samobójstwo Europy
Dariusz Matuszak

NA POCZĄTEK

5 **WIELOKULTUROWOŚĆ W DZIAŁANIU**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **ZNÓW UCIERPIĄ PACJENCI**
Dorota Łosiewicz

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **SUKCES TUSKA, CZYLI JAK COŚ DOBRZE OBIECAĆ, TO DAWAĆ NIE TRZEBA**
Daniel Obajtek

13 **AZJA CENTRALNA – TU WARTO BYĆ**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA MARKA GRABOWSKIEGO**
Michał Korsun

16 **OGARNIJCIE SIĘ, POLACY!**
Jan Pietrzak

16 **PRZEMYSŁ POGARDY WRACA**
Samuel Pereira

17 **NOWY (STARY) DEAL DLA EUROPY, CZLI „GERMANY FIRST"**
Arkadiusz Mularczyk

18 **STRES PRZEDŁUŻONY**
Ryszard Makowski

19 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

TEMAT TYGODNIA

20 **ZABÓJCA DEMOKRACJI**
Stanisław Janecki

KRAJ

24 **POLOWANIE NA OBYWATELI, CZYLI POLICYJNE PAŃSTWO W AKCJI**
Marzena Nykiel

28 **TO SĄ NASZE TERMOPILE. NIE DAMY SIĘ USUNĄĆ!**
Z Adamem Borowskim rozmawia Jerzy Szmit

31 **PRAGMATYZM ZAMIAST PODZIAŁÓW**
Piotr Gursztyn

34 **DRUGI PARYŻ W WARSZAWIE**
Konrad Kołodziejski

37 **SZPITALNY HORROR**
Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

40 **UCHODŹCY Z UKRAINY. POLITYKA, PIENIĄDZE, WPŁYWY**
Marek Budzisz

43 **NA KRAWĘDZI CHAOSU**
Aleksandra Rybińska

46 **STOP PORNOGRAFII W SIECI**
Goran Andrijanić

OPINIE

48 **SAMOBÓJSTWO EUROPY**
Dariusz Matuszak

51 **POCHWAŁA WYKORZENIENIA**
Maciej Walaszczyk

HISTORIA

54 **SIEDEM BŁĘDÓW RZĄDU TUSKA, KTÓRE PRZYPOMINAJĄ DROGĘ DO ROZBIORÓW**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

57 **KIERUNEK: SZPITAL**
Jolanta Gajda-Zadworna

60 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

GOSPODARKA

62 **KONIEC ZŁUDZEŃ, CZYLI JAK RZĄD TRACI PRZEDSIĘBIORCÓW**
Maciej Wośko

SPORT

64 **SZACHOWA GEOMETRIA NA KORCIE**
Michał Muzyczuk

KUCHNIA

66 **MOJE SMAKI: MICHAŁ FROEHLICH**
Jolanta Gajda-Zadworna

67 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

68 **NIEWINNI ZDEMORALIZOWANI**
Robert Tekieli

70 **OBY TAK BYŁO**
Wojciech Reszczyński

72 **WARTOŚĆ NIEZBYWALNA**
Aleksander Nalaskowski

73 **UKRAIŃSCY SPORTOWCY W POLSCE: WDZIĘCZNOŚĆ INACZEJ CZY KRÓTKA PAMIĘĆ?**
Ryszard Czarnecki

74 **BRAK SIŁOWNI DLA MÓZGU**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl b95eb4ceae

BRONISŁAW WILDSTEIN

Wielokulturowość w działaniu

To, co dzieje się dziś we Francji i promieniuje na Belgię oraz Włochy, to paroksyzmy kulturowych konfliktów, chociaż na pozór to wyłącznie erupcja zdziczenia, które jak zawsze jest wykorzystywane przez cynicznych czy determinowanych ideologią politykierów. Barbarzyństwo takie objawia się jednak w przypadku odrzucenia istniejącej cywilizacji i jest tego radykalną manifestacją.

Od paru dekad powtarzam, że wielokulturowe społeczeństwo to oksymoron, czyli pojęcie sprzeczne wewnętrznie. Jakkolwiek byśmy bowiem definiowali kulturę, oznacza ona sposób organizacji społeczeństwa, a ono nie może być uporządkowane na różne sposoby, bo nie z ładem mamy wówczas do czynienia, ale jego zaprzeczeniem. Po to, aby bronić wielokulturowości, redefiniuje się kulturę i sprowadza do roli drugorzędnych regionalnych cech (wielokulturowość w Polsce ma polegać na tym, że obok siebie żyją Ślązacy i Kaszubi), co uniemożliwia analizę podstawowych problemów, które mają cywilizacyjny charakter.

Może istnieć wielokulturowe imperium, w którym autorytarna metropolia nadzoruje relacje między egzystującymi obok siebie odmiennymi społeczeństwami. Przez stulecia w Europie funkcjonowały mniejszości religijno-kulturowe, ale były podporządkowane władzy reprezentującej określone wyznanie i wyrastającą z niego kulturę. Ich partykularne odmienności były ograniczone do środowiska i wpisane w dominujący system.

Wskazywanie Rzeczypospolitej Obojga Narodów jako przykładu wielokulturowości jest nieporozumieniem. Wprawdzie żyli w niej Tatarzy, Żydzi czy Ormianie, prawosławni, protestanci i katolicy, ale dominowała w niej jedna kultura, która wyrastała z katolicyzmu, a napięcia związane z pojawieniem się protestantyzmu doprowadziły Polskę na skraj wojny domowej, chociaż i tak na tle tego, co się działo na Zachodzie, problemy te były rozwiązywane w podziwu godny sposób. Poparcie króla szwedzkiego w trakcie potopu przez duże grupy szlachty i magnaterii – znacząca ich część, m.in. Radziwiłłowie, tak jak on była protestantami – można potraktować jako ostatni akord tego konfliktu.

W drugiej połowie XX w. Europę przeorała kontrkulturowa rewolucja, wymierzona w zachodnią tożsamość, którą uznaje za źródło wszelkiego zła. To eksplozja cywilizacyjnej ojkofobii – nienawiści do tego, co własne. Asymilacja przybyszy, która jest warunkiem spoistości państwa, została zastąpiona projektem wielokulturowości, zgodnie z którym przedstawiciele innych cywilizacji mieli twórczo zmieniać i wzbogacać Europę. W wyobrażeniach ideologów emancypacji przybysze mieli pomóc rozmontować tradycyjną kulturę i entuzjastycznie zaakceptować ich doktrynę. Tyle że ideologia może podważyć kulturę, ale jej nie zastąpi.

Imigranci nie adaptując się do miejscowej, rozsadzanej przez kontrkulturę cywilizacji, pozostawali obcymi, którzy w kolejnych pokoleniach coraz bardziej lekceważyli jej reguły i wykazywali wobec niej coraz większą pogardę. Ten stan rzeczy wykorzystują islamiści, którzy zaczynają skutecznie wprowadzać swój porządek w regiony chaosu. Jest on konkurencyjny i wrogi wobec zachodniej tożsamości.

Wybuchy wandalizmu z zamieszkanych przez potomków muzułmańskich imigrantów przedmieść przenoszą się do centrów miast i powtarzają coraz częściej. Pretekstem do nich może być wszystko. Spętane polityczną poprawnością władze reagują bojaźliwie, coraz bardziej rozzuchwalając agresorów. Wspierają ich radykalna lewica, jej bojówki w rodzaju antify, ale także ugrupowania polityczne w rodzaju Francji Niepokornej Jeana-Luca Mélanchona. Zaślepiony ideologią liczy on na rewolucję, której główną częścią byliby muzułmanie, i nie pojmuje, że stałby się pierwszą ich ofiarą. Grozi siłom porządkowym, którym i tak ekipa prezydenta Emmanuela Macrona narzuca karygodną bierność. Bezkarność napastników powoduje coraz szersze włączanie się grup z przedmieść w zamieszki, wzmaganie się ich zasięgu oraz gwałtowności. Spalenie pięknego, zabytkowego ratusza w Limoges urasta do symbolu ostatnich wydarzeń.

Tchórzliwa reakcja władz na narastanie aktów agresji muzułmańskich przedmieść powoduje, że kolejne, których możemy być pewni, będą wymagały większych środków niezbędnych do ich opanowania, a widmo postępującej etapami wojny domowej staje się coraz bardziej realne. Wprowadzenie wojska z policyjnymi uprawnieniami do Mediolanu jest właściwym posunięciem rządu Giorgii Meloni, na który nie stać Macrona. Jednakowoż to jedynie doraźny środek zaradczy. Muzułmańskie przedmieścia nie tylko nie adaptują się do cywilizacji zachodniej – one chcą ją zwalczyć, aby narzucić swój model Europie.

Królująca na Zachodzie liberalna ideologia emancypacji nie pozwala nawet dostrzec tego fundamentalnego zagrożenia.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b95eb4ceae



Sygnalista nadaje

Pan Premier Donald Franz udał się z historyczną wizytą do Indii (oraz Wietnamu). Wiadomość zaniepokoiła Grzegorza Brauna i całą Konfederację Korony Indyjskiej, gdyż to ona do tej pory miała monopol na kontakty z tym niewyczerpanym rezerwuarem taniej siły roboczej dla oszczędzających na płacach przedsiębiorcach z Tenkraju. Jednak Hindusi sprowadzani przez Pana Premiera to ci lepsi Hindusi niż ci, których chce zwozić pan Braun. Stawiajmy nie tylko na ilość, lecz także na jakość. O historycznym charakterze wizyty świadczy obecność u boku Pana Premiera ministra ds. deficytu budżetowego Andrzeja Dziura-Domańskiego. W przyszłości planowana jest też specjalna wizyta ministry ds. recyklingu butelek plastikowych Pauliny Hennig-Kloski. Osoba ministerska chce zapoznać się z indyjskimi pomysłami na zagospodarowywanie odpadów. Przeniesienie doświadczeń indyjskich na teren Tenkraju może być konieczne po rezygnacji z systemu kaucyjnego. Nasze rzeki nie są przecież gorsze od Gangesu.

Najgorsza jednak jest ta niepewność. Co dalej z ministrem ds. powiększania dziury budżetowej? Czy za jego niewątpliwe zasługi w rekordowym budowaniu narodowego deficytu zostanie odpowiednio wynagrodzony? Co będzie z pięknym gestem Pana Premiera Donalda Franza, czyli decyzją, aby awansować Andrzeja na stopień wicepremiera? Ze wzruszeniem oglądaliśmy zdjęcia Pana Premiera podpisującego odpowiednią kartkę. Niestety, nie wiemy, czy ten Nawrocki z Gdańska wypełni swój obowiązek i podpisze nominację dla naszego najlepszego ministra. Spodziewamy się najgorszego.

Władysław Kosiniak-Kamysz jest osobą głęboko uzależnioną psychicznie i emocjonalnie od Donalda Tuska. To znaczy, że go nie porzuci – takie słowa wypowiedział Adam Bielan, człowiek, który próbował utuczyć Szymka Hołownię, a poza tym knuje za oceanem z soldateską amerykańską. Komentarz tu może być tylko jeden: każdy Unijczyk polskiego pochodzenia, demokrata walczący jest lub powinien być uzależniony psychicznie od Pana Premiera Donalda Franza. Bardzo wielu jest, ale niestety nie wszyscy dostatecznie mocno. A jeśli któryś demokrata porzucił Pana Premiera, to niech wróci. Tak, jak kiedyś porzuciła i wróciła pani Małgorzata.

Dalej o szczuciu, bo prawacy szczujo i szczujo. Obecnie na policję. Urządzają awanturę w następującej sprawie: sędziowie (sprawdzić, czy nie neo) chcieli tego, aby zagraniczna policja Interpol ścigała pułkownika Pabla Rubcowa (dla przyjaciół Pasza Gonzales). A policja tutejsza, kierowana przez tęgą głowę ministra Kierwińskiego i nie mniej krzepkiego komendanta Boronia, powiedziała, że nie ma sensu. Bo sprawa polityczna, a Interpol takich nie lubi. To słuszna decyzja. Nie należy przeciążać Interpolu wnioskami z Tenkraju. Wysłaliśmy już jeden i wystarczy. W sprawie niejakiego Marcina Romanowskiego. Ale to nie to samo, co z panem Rubcowem, nie można porównywać.

eprasa.pl b95eb4ceae

Taki cytat w naszym ukochanym biuletynie, czyli „Gazecie Wyborczej”: „Gdy minister zdrowia w rządzie Morawieckiego zaproponował beznadziejną ustawę o reformie szpitali, posłowie PiS natychmiast interweniowali u premiera. Projekt trafił do kosza. Teraz do katastrofy w zdrowiu brnie rząd koalicji. Posłowie KO pozostają bezczynni”. Wiecie, co to znaczy? Że macki PiS są wszędzie. Także tam. Bo przecież to nie znaczy, że posłowie Koalicji Obywatelskiej robią coś złego. Jak zresztą mają robić coś złego, gdy w ogóle nic nie robią? A jeśli chodzi o agenturę pisowską w „GW”, to zbliża się grudzień, tradycyjny miesiąc zwolnień grupowych w tym zakładzie pracy. Ciekawe, na kogo padnie w tym roku?



Jeśli zaś chodzi o wyżej wspomniane szpitale, zwłaszcza powiatowe, to spełnia się dawny sen ***Bartka Arłukowicza***, uniemożliwiony przez wrogie przejęcie władzy przez PiS w 2015 r. Mianowicie nasza ministra Jolka Jakóstamska-Grenda skutecznie je kasuje. A najgorsze w tym jest to, że wieśniactwo nie rozumie, że to dla ich dobra. Po co im szpitale, jak są w Berlinie? Hołota z powiatów najechała ostatnio Warszawę, żeby wyrazić postawę roszczeniową wobec osoby ministerskiej. Ministra jednak zachowała się z godnością i nie pospolitowała się z tą małpoludzią czeredą. Miała zresztą ważny powód. Do późna wieczorem oglądała mecz ulubionej drużyny Pana Premiera, Lechii Gdańsk, i to w doborowym towarzystwie Oli Dulkiewicz. Są przecież rzeczy ważne i ważniejsze.



Ryśka Petru wygnać na Maderę! Za brak czujności demokratycznej. Oto, co ten miękiszon powiedział o odzyskiwaniu Narodowego Banku Polskiego i rozliczaniu Adama Glapińskiego: „Nawet jeśli Sejm uzna, że przed Trybunałem postawić trzeba prezesa NBP, to ja uważam, że jego siłą z NBP nie możemy wyprowadzać. Uważam, że prezesa NBP w kajdankach czy w inny sposób z NBP nie należy wyprowadzać”. Rysiek! Tak to ty kariery w demokratycznej polityce nie zrobisz. I żadna nowa posłanka nie będzie chciała z tobą rozmawiać. Zwłaszcza że taka nowa będzie mogła poznać Marcina Bosackiego. To jest dopiero twardziel.



Godzilla kontra Berek, ciąg dalszy! Nowe światło na temat przemocy w Trybunale Konstytucyjnym rzuciła pani Bentkowska, która trochę jest, a trochę nie jest sędzią tegoż Trybunału. Pani Bentkowska Magda wszystko widziała na własne oczy. Opowiedziała o tym, jak Godzilla, czyli ***Bogdan Święczkowski***, lamparcim susem podskoczył przed Maćka Berka. Tak, że Berek stanął przed nim. Albo Godzilla przed Berkiem. „On swoim ciałem, mówię tutaj o ciele sędziego Święczkowskiego, odepchnął sędziego Berka” – relacjonowała rozemocjonowana tym pani Magda. Powyższą relację uważamy za szczególnie wiarygodną. A to dlatego, że pani Magda została odpolitycznioną i odpartyjnioną sędzią TK z nadania obecnej władzy. Na dodatek, co szczególnie świadczy o jej demokratycznym i praworządnym charakterze, przysięgała wobec tego Nawrockiego z Gdańska, ale bez jego obecności. Za to w znakomitym towarzystwie ***Włodka Czarzastego***.



Chwalić czy krytykować? Trudna sprawa. Ten Nawrocki z Gdańska podpisał ustawę zwiększającą akcyzę na papierosy elektroniczne, płyny do e-papierosów i urządzenia do waporyzacji. Bardzo oburzyło to Sławka Mentzena, który uznał to za zbrodniczy napad na dobrobyt Polaków i złamanie przenajświętszej Deklaracji Toruńskiej. Dla demokratów walczących to trudna sprawa. Sławka nie zaczepiamy, bo za rok może się przydać jako koalicjant. Natomiast jeśli chodzi o tego Nawrockiego z Gdańska, to prostsza sprawa byłaby, gdyby zawetował. Tutaj odpowiedzi mamy gotowe. Niestety, podpisał. Chwalić nie możemy, a przekazu dnia na ten temat jeszcze nie ma. Pomilczmy więc na razie.

Jeśli chodzi o zdzieranie pieniędzy z obywateli, to uprzejmie donosimy, że ulubiony samorządowiec Nowej Nadziei (ulubiony, bo jedyny) podniósł opłaty za odbiór śmieci z 29,50 zł na 32 zł miesięcznie od łebka. Mowa o Patryku Marjanie, prezydencie Bełchatowa (sami sobie sprawdźcie, co jest imieniem, a co nazwiskiem, bo nam się nie chce). Wiemy, że nie wolno porównywać, bo to nie to samo, ale on też o 100 proc. podniósł ceny wstępu do miejskich obiektów sportowych.

Wróćmy jeszcze do Marcina Bosackiego, bo zawsze warto. Ten powszechnie ceniony w wąskim kręgu swoich wielbicielek wiceminister pouczył naród, że zbłądził. To znaczy, naród się pomylił, wybierając tego Nawrockiego z Gdańska na prezydenta: „Uważam, że to był błąd. Nawet wielkie narody czasem się mylą” – rzekł Marcin. Niestety, zdarzają się takie przypadki. W bardzo różnych konfiguracjach. Na przykład stara Bosacka do tej pory żałuje, że bardzo pomyliła się z wyborem pierwszego męża. I musi z tym dalej żyć. Tak jak demokraci walczący muszą żyć z tym Nawrockim z Gdańska.

Fot. Liudmyla Skwarczyńska, Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk, mat.prasowe z MSI

eprasa.pl b95eb4ceae

WIEŻA BAB

Znów ucierpią pacjenci

Samorząd pielęgniarski ostrzega, że likwidowanie stanowisk opiekunów medycznych może pogorszyć jakość i bezpieczeństwo opieki

Są w szpitalu wydatki, których nie sposób uniknąć. Są też takie, które można ograniczyć, przynajmniej na papierze. Najłatwiej zacząć od tych, którzy zarabiają najmniej i nie mają wystarczająco silnej pozycji, by obronić swoje miejsca pracy. Opiekunowie medyczni właśnie przekonują się, że w polskiej ochronie zdrowia o przydatności człowieka coraz częściej decyduje nie to, komu służy, lecz ile kosztuje. A pacjent? Pacjent jakoś nie mieści się w tej tabelce.

Z kolejnych szpitali napływają informacje o zwolnieniach opiekunów medycznych. W warszawskim Szpitalu Czerniakowskim wypowiedzenia otrzymało 15 osób, planowane są kolejne redukcje. Cięcia dotykają także placówki w Pionkach, a sygnały o podobnych zamiarach płyną z innych części Polski. Dyrektorzy tłumaczą, że muszą ratować finanse, szukać oszczędności i zapewnić dalsze funkcjonowanie szpitali. A kto będzie wykonywał pracę zwolnionych ludzi i kto zajmie się pacjentami?

Pacjent nie przestanie potrzebować pomocy tylko dlatego, że dyrekcja zlikwidowała etat. Nadal trzeba go umyć, przebrać, nakarmić, podnieść, przewieźć na badania i pomóc mu wstać z łóżka. Choroba nie dostosowuje się do planu oszczędnościowego. Nie przeczytała zarządzenia dyrektora i nie zamierza czekać, aż szpital zbuduje nową strukturę organizacyjną.

Opiekunowie medyczni odciążają pielęgniarki, pozwalając im koncentrować się na czynnościach wymagających specjalistycznej wiedzy. Kiedy ich zabraknie, obowiązki przejmą pielęgniarki albo personel pomocniczy. Tyle że doba nadal będzie miała 24 godziny, a pielęgniarka nie wyczaruje sobie dodatkowej pary rąk. Trzeba przecież podać leki, przygotować kroplówki, wykonać procedury i prowadzić dokumentację. Jeśli do tych obowiązków dojdą kolejne, coś czy raczej ktoś musi ucierpieć.

Samorząd pielęgniarski ostrzega, że likwidowanie stanowisk opiekunów może pogorszyć jakość i bezpieczeństwo opieki. Przepisy nie nakazują szpitalom zatrudniania określonej liczby opiekunów medycznych, więc można ich zwolnić. Oto logika, w której brak ustawowego obowiązku zaczyna oznaczać brak rzeczywistej potrzeby.

Szczególnie wymowny jest przypadek Szpitala Czerniakowskiego. Placówka szacowała roczne oszczędności wynikające z redukcji zatrudnienia opiekunów na ok. 5,8 mln zł, choć w doniesieniach medialnych pojawia się również kwota ok. 3 mln zł. Jedno pozostaje bezsporne: w 2025 r. szpital zatrudniał czterech lekarzy, których roczne wynagrodzenia przekraczały 1 mln brutto na osobę. Nie chodzi o to, by przeciwstawiać lekarzy opiekunom. Chodzi o pytanie, dlaczego tak łatwo przychodzi szukanie oszczędności wśród ludzi zapewniających pacjentom codzienną opiekę. Środowisko opiekunów medycznych wskazuje, że ich obecność może skracać hospitalizację nawet o blisko półtora dnia, a także ograniczać ryzyko powikłań, odleżyn i zakażeń. Jeśli te korzyści potwierdzają się w praktyce, likwidowanie etatów może oznaczać oszczędność pozorną: mniej wydatków na wynagrodzenia, ale potencjalnie więcej na leczenie następstw gorszej opieki. Wreszcie, jeśli pacjentowi zabraknie zwykłej opieki, wysiłek lekarzy przy najbardziej skomplikowanej operacji pójdzie na marne.

W całej tej historii najbardziej przeraża nie samo szukanie oszczędności, lecz język, którym się je uzasadnia. Optymalizacja zatrudnienia, reorganizacja struktury, stabilność finansowa. Słowa gładkie, bezosobowe, bezpieczne. Nie ma w nich chorego, który nie potrafi samodzielnie dojść do toalety. Nie ma starszej osoby, która czeka, aż ktoś pomoże jej się umyć. Jest za to koszt pracownika i etat do skreślenia. A gdzie godność człowieka?

Można napisać w planie naprawczym, że zadania przejmą inni pracownicy. Można zapewnić, że jakość świadczeń pozostanie bez zmian. Papier przyjmie wszystko. Oddział szpitalny jest jednak mniej wyrozumiały dla księgowych założeń. Tam pacjent nie jest abstrakcyjnym kosztem, lecz konkretnym człowiekiem, którego trzeba podnieść, nakarmić i bezpiecznie przetransportować. Bo kiedy w Excelu wszystko wreszcie się zgodzi, na oddziale może zabraknąć kogoś, kto pomoże pacjentowi wstać. I wtedy żadna tabelka nie odpowie mu na pytanie, dlaczego nie ma komu przyjść z pomocą.

Dorota Łosiewicz

RUDY i BRUDY

Z ŻYCIA PREMIERA TENKRAJU

Sen imperatora

Ronald Kieł siedział sam w gabinecie i nie bardzo wiedział, co zrobić z tak aktywnie rozpoczętym dniem. Przed południem odbył swój regularny trening biegowy w Łazienkach, polegający na tym, że potruchtał chwilę w towarzystwie ochroniarzy w miejscu, w którym o tej porze kręci się najwięcej osób. Miało to swój głęboki sens. Każdy, kto odwiedził park, widział premiera dbającego o formę. W trakcie treningu Kieł nagrał też rolkę na Igreka, w której poinformował, że właśnie przebiegł 5 km i nawet się nie zasapał. Wprawdzie pokonał dystans dziesięciokrotnie mniejszy, ale kto to sprawdzi? A rolka przecież pójdzie w świat i obywatele Tenkraju jeszcze bardziej uwierzą, że ich ukochany przywódca jest najbardziej wysportowany spośród wszystkich polityków.

Tu niestety trochę mu pomieszał szyki ten niewysoki bokser Pakajo. Kła o mało nie trafił szlag, kiedy zobaczył w internecie, jak jego wróg największy, czyli prezydent Rocky, urządził sobie z Pakajo sparing. To przecież szczyt politycznego cynizmu – myślał teraz – żeby epatować wyborców swoimi sportowymi umiejętnościami... Po chwili przypomniał sobie jednak internetową rolkę z sobą jako biegaczem w roli głównej i zaklął pod nosem. Cóż, znowu ten przebrzydły Rocky okazał się sprytniejszy od niego – boksera zobaczyły w sieci miliony na całym świecie, a jego tylko tysiące najwierniejszych wyznawców.

Kieł postanowił jednak nie oddawać się czarnowidztwu. Bo po prawdzie nie miał na co narzekać. Przyjeżdżał do pracy około południa, kończył urzędowanie nie później niż o 15.00. Jego podstawowym obowiązkiem było nagranie filmu do internetu. To był faktycznie najbardziej męczący element jego pracy – przecież wcale nie jest łatwo codziennie wymyślić (oczywiście z wyjątkiem weekendów, bo człowiek musi czasem odpocząć od tej harówki) coś oryginalnego. Ostatnio współpracownicy zwrócili mu uwagę, że oglądając rolkę o sukcesach rządu w związku z trzecią rocznicą zwycięskich wyborów, na liście największych dokonań znaleźli tylko dwie kategorie spraw: te, które zainicjowali jego poprzednicy, oraz te, których tak naprawdę nie udało się zrealizować. Łatwo im mówić. Przecież jak zaczął szukać realnych sukcesów, to nie znalazł ani jednego. No może z wyjątkiem odpolitycznienia mediów publicznych. Choć i to wywołało kontrowersje, bo Kieł twierdził, że to obiektywny sukces, a nagrywający go kamerzysta i dźwiękowiec twierdzili, że niekoniecznie. Zwłaszcza że od trzech miesięcy nie dostali wynagrodzenia z telewizji w likwidacji i musieli dorabiać na fuchach w kancelarii premiera.

Myśli towarzyszące Kłowi, choć tylko umiarkowanie pozytywne, w końcu go uśpiły. I kiedy zasnął, jego zacięta twarz nabrała rysów łagodności. Gdyby któryś ze współpracowników wszedł teraz do gabinetu, toby swojego Kierownika nie rozpoznał. Gniewne i złośliwe na co dzień oblicze promieniowało spokojem. Widać było, że śni mu się coś wzruszająco pięknego...



Tymczasem we śnie Ronald Kieł siedział na tronie. Tron był wysoki, złoty i po jego obu stronach znajdowały się flagi Unii Europejskiej. Każdy, kto przechodził przed tronem, miał obowiązek przyklęknąć na jedno kolano. Nie było żadnych wyjątków, a wręcz przeciwnie. Na przykład były szef Kła Karl Junkier przyklękał na dwa kolana i każdorazowo dotykał czołem podłogi, przepraszając za to, że swego czasu obecny Król Europy był jego szatniarzem. Na dwa kolana przyklękał też papież – nie z powodów osobistych, ale jako reprezentant najbardziej opresyjnej religii współczesnego świata. Gdyby tylko katolicy byli tak otwarci i tolerancyjni jak przedstawiciele islamu, wówczas Kieł pozwoliłby papieżowi klękać na jedno kolano. Na dwóch kolanach tkwił także Pomarańczowy, czyli przywódca wielkiej Ameryki, który w tym śnie był cichy, pokorny i co chwila przepraszał Kła, że go jeszcze do siebie nie zaprosił.

Ktoś mógłby zapytać, jak we śnie premiera musieli klękać prezydent Rocky, Fiona i cały ten lud pszenno-buraczany. Otóż nie musieli klękać wcale, bo śpiący Kieł nie wpuszczał ich do sali tronowej. Przy drzwiach wejściowych stali bowiem z halabardami Roman Naszaszkapa i Waldemar Barszczyk, pilnując, by nikt nie zepsuł ich Kierownikowi dobrego samopoczucia. Bo nie było dla nikogo tajemnicą to, że ze wszystkich ludzi na świecie Ronald Kieł najbardziej nie znosił patrzeć na mieszkańców Tenkraju.

MuMa

Fot. Grafika wygenerowana przez AI/MuMN

eprasa.pl b95eb4ceae



AfD zmienia kurs

Niemcy

Alternatywa dla Niemiec (AfD), która powstała w 2013 r. jako ruch sprzeciwu wobec euro oraz pakietów pomocowych dla zadłużonych krajów południa Europy, zmienia kurs – donosi brukowiec „Bild". Partia rezygnuje z postulatów wyjścia z UE i ze strefy euro, a zamiast tego proponuje wewnętrzną reformę wspólnoty.

Jeszcze w 2025 r., przed wyborami do Bundestagu, partia Alice Weidel i Tino Chrupalli przekonywała, że Niemcy powinny opuścić strefę euro. Teraz nie ma już o tym mowy. „Państwa powinny ponosić większą odpowiedzialność za swoje długi, a uprawnienia interwencyjne Europejskiego Banku Centralnego powinny zostać ograniczone. Celem jest oparcie euro na zrównoważonym fundamencie indywidualnej odpowiedzialności i zobowiązań" – głosi dokument programowy AfD. Ponadto największe gospodarki, w tym Niemcy, miałyby otrzymać proporcjonalnie większą siłę głosu w EBC.

Ale na tym nie koniec proponowanych reform. AfD mówi także o przekształceniu UE w „federację suwerennych państw", skupioną przede wszystkim na jednolitym rynku, ochronie granic zewnętrznych, kwestiach bezpieczeństwa i wybranych projektach technologicznych. Ponadto partia postuluje wprowadzenie „wyjątków" krajowych w polityce migracyjnej, społecznej i finansowej. Proponowane są również zmiany instytucjonalne. AfD opowiada się za zniesieniem wyborów bezpośrednich do Parlamentu Europejskiego. Deputowani byliby wybierani przez parlamenty narodowe i oddelegowywani do Brukseli. Jednocześnie Komisja Europejska zostałaby pozbawiona uprawnień i stałaby się czymś w rodzaju sekretariatu Rady Europejskiej skupiającej rządy państw. Z kolei Trybunał Sprawiedliwości UE miałby zostać zastąpiony międzypaństwowym trybunałem arbitrażowym, co definitywnie rozstrzygnęłoby kwestię prymatu prawa unijnego nad krajowym. Autorzy projektu postulują też wprowadzenie sztywnych limitów budżetu Unii oraz likwidację unijnych podatków.

Przewodniczący delegacji AfD w Parlamencie Europejskim, René Aust, powiedział „Bildowi", iż pokazuje to, że jego ugrupowanie jest „partią proeuropejską". Taką, która chce „współpracować z sąsiednimi krajami, utrzymać swobodny przepływ towarów i osób oraz wspólnie chronić granice zewnętrzne".

Jako rok rozpoczęcia reform AfD wskazuje 2029, gdy mają się odbyć wybory do Parlamentu Europejskiego i wybory federalne w Niemczech. Gdyby AfD te ostatnie wygrała i doszła do władzy, mogłaby natychmiast przystąpić do ich realizacji. W przypadku oporu Brukseli AfD planuje poddać kwestię członkostwa Niemiec w UE pod referendum, drastycznie „ograniczyć niemiecką składkę do budżetu" oraz „korzystać z weta w Radzie UE".

Aleksandra Rybińska

Sygnał ostrzegawczy dla Babiša

Wybory do czeskiego Senatu zakończyły się porażką rządzącego ruchu ANO premiera Andreja Babiša, którego przedstawiciele nie zdobyli ani jednego mandatu. O sukcesie może za to mówić partia STAN (Burmistrzowie i niezależni), centro-liberalna formacja stawiająca na regionalizm, która zdobyła 10 mandatów. Obecne wybory komentatorzy uznają za test popularności rządu i zapowiedź zmian w wyborczych preferencjach Czechów.

Czeska konstytucja przewiduje wymianę co dwa lata jednej trzeciej składu Senatu, w którym zasiada 81 osób. W pierwszej turze, która odbyła się równocześnie z wyborami samorządowymi 9 i 10 października, tylko pięciu kandydatów uzyskało bezwzględną większość głosów. Reprezentanci ANO przepadli w obu turach.

Wybory samorządowe wypadły nieco lepiej dla ruchu Babiša. Bo choć ich wynik również jest gorszy od oczekiwań premiera, to w elektoracie miejskim partia ANO nigdy nie cieszyła się uznaniem. W opinii politologa Lubomíra Kopečeka znacznie większe problemy będą mieć partie koalicyjne – SPD i Ruch Motocyklistów – których przedstawiciele w dużych miastach, takich jak Praga, Brno, České Budějovice i Pilzno, w ogóle nie dostali się do rad, a Motocykliści stracili też swoich reprezentantów w Senacie.

Przetasowania nastąpią zapewne również po stronie opozycyjnej. Powstały przed wyborami ruch Nasze Czechy, z którego list do Senatu startował Tomáš Fiala (wygrał w pierwszej turze) – czeski przedsiębiorca mieszkający na Ukrainie i zarządzający Funduszem Dragon Capital – osiągnął znacznie lepszy rezultat, niż prognozowano, i ma szansę stać się formacją ogólnokrajową.

Ostatnie badania opinii publicznej wskazują, że największym poparciem nadal cieszy się ruch ANO, którego przedstawiciele zdobyliby 29,5 proc. głosów, ale komentatorzy zauważyli, że formacja ta straciła od maja 4,5 proc. Znacznie wzmocnił się STAN i zajmuje drugie miejsce z 17-procentowym poparciem, a na trzecim jest ODS (12,5 proc.).

Gdyby w grę wchodziły przedterminowe wybory, to obecna koalicja rządowa zdobyłaby 107 mandatów i utrzymała większość w 200-osobowej Izbie Deputowanych, ale malejąca popularność rządu może doprowadzić do zmiany układu sił na czeskiej mapie politycznej. Jeśli tak się stanie, to większą rolę zaczną odgrywać nowe centrowe formacje polityczne w rodzaju STAN czy ruchu Nasze Czechy.

Marek Budzisz



Czechy

Fot. Shutterstock x4

eprasa.pl b95eb4ceae



Azerbejdżan

Awantura o hidżab

Przez państwa muzułmańskie nadal przetacza się fala pobudzenia religijnego. Dotyczy to zwłaszcza młodych ludzi. W Azerbejdżanie młodzież zaprotestowała przeciwko zakazowi noszenia hidżabu na terenie szkół. W policyjnej akcji zatrzymano – według nieoficjalnych danych – około dwustu osób.

W lipcu prezydent Ilham Alijew podpisał ustawę, która ma zagwarantować świecki charakter edukacji publicznej. Nowe przepisy wymagają od uczniów i nauczycieli w szkołach państwowych przestrzegania wymagań dotyczących ubioru. I choć w ustawie nie wspomina się wprost o hidżabie, to kontrolerzy przeprowadzający inspekcje w szkołach zażądali wykluczenia z zajęć dziewcząt i kobiet ubranych w chusty.

Filmy, w których inspektorzy usuwają kobiety w hidżabach ze szkoły, zaczęły natychmiast krążyć w internecie. Doszło do protestów, a nawet do próby podpalenia jednej ze szkół. Władze Baku zareagowały zatrzymaniami, które objęły nie tylko protestujących, lecz także osoby krytykujące nowe przepisy w internecie. Zablokowano też dostęp do popularnych komunikatorów i mediów społecznościowych. Rząd nie przyznał się do blokady, ale została ona potwierdzona przez zewnętrzne centra monitoringu sieci.

Zdaniem władz azerskich protesty były inspirowane z zewnątrz, najczęściej w tym kontekście wskazuje się na sąsiedni Iran. Irańscy hakerzy mieli również dokonać kilku ataków na infrastrukturę cyfrową Azerbejdżanu. Rząd w Baku przypomniał też, że – według konstytucji – Azerbejdżan jest państwem świeckim, a hidżab i inną „odzież religijną" można swobodnie nosić poza instytucjami publicznymi.

Spór o hidżab doprowadził nieoczekiwanie do zaostrzenia relacji z sojuszniczą Turcją. Prezydent Recep Tayyip Erdoğan nazwał szkolne zakazy noszenia chust w niektórych krajach „atakiem na najbardziej podstawowe prawa kobiet". Nie wskazał przy tym wprost Azerbejdżanu, ale według wielu obserwatorów te słowa były skierowane do Baku. Alijew, także nie wprost, odpowiedział na to, że nikt nie powinien ingerować w sprawy Azerbejdżanu.

Dalsza wymiana zdań odbywała się na niższym szczeblu. Doradca Erdoğana, Oktay Saral, napisał na X, że wykluczanie z zajęć z powodu nakrycia głowy jest niedopuszczalne. „Hidżab nie jest przeszkodą, jest wymogiem wiary" – stwierdził, nakłaniając Baku do szybkiego „naprawienia błędu". Władze Azerbejdżanu w reakcji przypomniały, że wspólnota z Turcją nie oznacza podporządkowania, i oskarżyły tureckie media o zniesławiającą kampanię.

Turcja aspiruje do odgrywania szerszej roli w świecie muzułmańskim, podczas gdy Azerbejdżan broni się przed radykalizmem islamskim. Spór o hidżab odsłonił tę różnicę interesów.

Konrad Kołodziejski

Śmierć za profanację meczetu

Arabia Saudyjska przeprowadziła egzekucje dwóch pracowników z Bangladeszu: sprzątacza Nazrula Islama Abdula Basira i sprzątaczki Siti Akhtar. Oboje zostali skazani na śmierć za „niemoralny czyn", którego dopuścili się w meczecie w Mekce.

W oficjalnym oświadczeniu saudyjskiego MSW nie sprecyzowano, na czym polegało ich przestępstwo. Stwierdzono tylko, że dokonali „naruszenia świętości czasu i miejsca". Resort przypomniał też, iż wymierzy sprawiedliwość „osobom, które profanują świętość meczetów lub naruszają honor innych", oraz ostrzegł „każdego, kto odważy się dopuścić się takich czynów, że zostanie ukarany zgodnie z prawem islamskim". Kara śmierci wydana przez sąd pierwszej instancji została utrzymana przez 13 sędziów w drugiej instancji i zatwierdzona dekretem królewskim.

Rząd Bangladeszu o egzekucji własnych obywateli dowiedział się już po wykonaniu wyroku z komunikatu saudyjskiej agencji prasowej. Władze tego kraju przyznają, że nie wiedzą nawet, czy podsądni mieli możliwość obrony. Z nakazu aresztowania, który Rijad dostarczył Dhace, wynika, że Nazrul został oskarżony o przestępstwo komputerowe, a Siti o cudzołóstwo. W mediach społecznościowych krąży opowieść, że skazańcy byli nowożeńcami straconymi za pocałunek, ale jest to legenda internetowa.

Tylko w 2025 r. w Arabii Saudyjskiej wykonano co najmniej 356 wyroków śmierci, głównie na osobach skazanych za przestępstwa narkotykowe bez użycia przemocy. Żadna z egzekucji nie wywołała jednak tak wielu protestów na świecie, co pojedyncze przypadki tej kary w Stanach Zjednoczonych, np. wobec morderczyni Christy Pike czy islamskiego terrorysty Nidala Hasana. Nawet Watykan wydał oświadczenie w sprawie egzekucji dżihadysty w USA, przypominając, że „stanowisko Kościoła jest całkowicie przeciwne karze śmierci". Podobnych protestów nie ma jednak w przypadku Arabii Saudyjskiej, gdy za zamkniętymi drzwiami za niewyjaśnione przestępstwo zostają bez prawa do obrony skazani na śmierć zastraszeni imigranci.

Grzegorz Górny



Arabia Saudyjska

eprasa.pl b95eb4ceae

Sukces Tuska, czyli jak coś dobrze obiecać, to dawać nie trzeba

Donald Tusk wrócił ze szczytu Rady Europejskiej z „sukcesem". Polska „wywalczyła" przegląd ETS2. Premier zapewnił, że nie pozwoli, by Polacy płacili za ten system. Można odetchnąć. No, chyba że akurat przyszła faktura za ogrzewanie albo tankujesz (nie za 5,19). Polacy już płacą krocie za paliwo, pellet i ciepło z sieci. Ludzie liczą każdą złotówkę, rezygnują z wydatków, a niektórzy wyprzedają, co mają, żeby dopiąć domowy budżet. I kiedy próbują ustalić, jak zapłacą za prąd, przed nimi majaczy kolejna podwyżka. Wtedy przychodzi premier i mówi, że wszystko jest pod kontrolą. Zapewne dlatego, że rachunek nie dotarł jeszcze do jego gabinetu



A co właściwie „wywalczył" rząd? Komisja ma zaktualizować ocenę skutków ETS2. Sprawdzić jego konstrukcję i zabezpieczenia. Zatem Bruksela jeszcze raz się zastanowi, a Polacy w tym czasie mogą się głowić, co sprzedać, żeby zapłacić za rachunki. Odroczenia ETS2 do 2030 r., o które zabiegały państwa Grupy Wyszehradzkiej, w konkluzjach nie ma. Nie ma też rezygnacji z opłaty ani gwarancji, że nie obciąży ona rodzin i firm.

Jest za to przegląd. Słowo piękne, pojemne i zupełnie darmowe. Przynajmniej na papierze. Można przeglądać system, można przeglądać dokumenty, można się przeglądać w lustrze i powtarzać: „Odnieśliśmy sukces". Tylko rachunek za ogrzewanie jakoś nie chce się od tego zmniejszyć.

Sam premier przyznał, że wynik debaty go nie satysfakcjonuje. I tu akurat powiedział prawdę. Potem jednak rząd ogłosił zwycięstwo. To jest mniej więcej tak, jakby wrócić z zakupów bez zakupów, ale z dumą opowiadać, że udało się wywalczyć paragon. Kiedy mówi się ludziom, że sprawę załatwiono, choć nie uzyskano nawet postulowanego odroczenia, to łże się w żywe oczy. A potem jeszcze oczekuje się braw.

W sprawie ETS też nie ma powodów do świętowania. Rada wezwała do dalszych prac nad rezerwą stabilności rynku i przewidywalnością cen uprawnień. Zatem znów będą prace, rozmowy i kolejne dokumenty. Ceny emisji od tego nie spadły. Przemysł nie dostał gwarancji tańszej energii, a bezpłatne uprawnienia nadal mają znikać. W efekcie droższa energia podnosi koszty produkcji, a te wracają do nas w cenach towarów i usług. Zielona polityka może być napisana drobnym drukiem, ale kosmiczne rachunki drukują się bardzo wyraźnie.

My proponowaliśmy odroczenie ETS2 do 2030 r., limit cen uprawnień i osłony dla rodzin oraz biedniejszych państw. W sprawie ETS wskazywaliśmy na pułap cenowy, utrzymanie bezpłatnych uprawnień, dopóki unijny mechanizm graniczny nie udowodni swojej skuteczności, wyjątki dla bezpieczeństwa energetycznego i większą swobodę w wykorzystaniu krajowych wpływów. Zamiast płacić za samo prowadzenie fabryki, trzeba dać firmom możliwość inwestowania w czystsze technologie. To chyba nie jest zbyt skomplikowane. Choć po ostatnim szczycie można odnieść wrażenie, że dla rządu nawet przeczytanie konkluzji to zadanie na kilka kadencji.

Rodzina nie ogrzeje domu przeglądem. Kierowca nie zatankuje obietnicą. Przedsiębiorca nie zapłaci faktury przemówieniem premiera. Tusk może ogłaszać sukcesy... Ale Polacy już wiedzą, że w tej sprawie najpewniejsze jest jedno. Rachunek przyjdzie. I znów będzie wyższy. Nikt nie będzie pytał, czy rząd jest zadowolony z wyniku negocjacji.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl b95eb4ceae

Azja Centralna – tu warto być



Marta Kaczyńska-Zielińska

Wizyta sekretarza stanu USA Marco Rubio w Samarkandzie 19 października br. pokazała rosnące zainteresowanie Waszyngtonu Azją Centralną. Po zeszłorocznym szczycie przywódców Kazachstanu, Kirgistanu, Tadżykistanu, Turkmenistanu i Uzbekistanu z prezydentem Donaldem Trumpem w Waszyngtonie stanowiła ona kontynuację amerykańskich działań na rzecz zacieśnienia współpracy gospodarczej i dyplomatycznej z wymienionymi państwami, a jednocześnie stworzenia im alternatywy dla zależności od słabnącej w tym regionie Rosji i wzmacniających swoje wpływy Chin. Amerykańskiej delegacji z Rubio na czele towarzyszyło ponad 200 przedstawicieli biznesu. Rozmowy koncentrowały się na surowcach krytycznych, połączeniach transportowych, inwestycjach i bezpieczeństwie regionalnym.

Położenie Azji Centralnej pomiędzy Rosją, Chinami, Iranem a Morzem Kaspijskim sprawia, że region ten nabiera coraz większego znaczenia w międzynarodowej rywalizacji o szlaki handlowe i zasoby strategiczne. Polityka zagraniczna państw tego obszaru opiera się na utrzymywaniu równowagi pomiędzy różnymi partnerami zewnętrznymi. Najbardziej prawdopodobnym rezultatem większego zaangażowania Stanów Zjednoczonych będą zatem dywersyfikacja gospodarcza i zwiększenie swobody dyplomatycznej tych państw, a nie zasadnicza zmiana ich orientacji geopolitycznej.

Zmiany zachodzące w Azji Centralnej mają istotne konsekwencje dla Unii Europejskiej, szczególnie dla państw położonych na jej wschodniej flance. Korytarz Środkowy stanowi jedną z najważniejszych szans. Ten transkaspijski szlak transportowy łączy Azję Centralną z rynkami europejskimi przez Morze Kaspijskie, Kaukaz Południowy i Turcję, tworząc alternatywę dla tras przebiegających przez Rosję. Jego rozwój może zwiększyć odporność europejskich łańcuchów dostaw i ograniczyć zależność od rosyjskiej infrastruktury tranzytowej.

Surowce krytyczne stanowią kolejny strategiczny obszar współpracy. Azja Centralna dysponuje znaczącymi zasobami uranu, miedzi, wolframu i innych minerałów niezbędnych dla nowoczesnego przemysłu, technologii obronnych oraz transformacji energetycznej. Dywersyfikacja łańcuchów dostaw tych surowców może przynieść korzyści zarówno USA, jak i Europie. W ostatnich latach Kazachstan i Uzbekistan stały się strategicznymi dostawcami uranu dla Ameryki. Ograniczenie zależności od Chin będzie jednak wymagało inwestycji nie tylko w wydobycie, lecz także w przetwarzanie i rafinację surowców. UE realizuje podobne cele. Ogłoszony w 2025 r. pakiet inwestycyjny Global Gateway o wartości 12 mld euro potwierdza zaangażowanie Brukseli w rozwój infrastruktury transportowej, współpracy energetycznej oraz partnerstw gospodarczych z Azją Centralną. Inicjatywy amerykańskie i europejskie są więc w dużej mierze komplementarne, choć ich interesy handlowe nie zawsze muszą być identyczne.

Dla Polski rosnące zainteresowanie międzynarodowe Azją Centralną to nowe możliwości w dziedzinie logistyki, handlu, inwestycji, technologii i edukacji. Kazachstan, z którym relacje w obszarze bezpieczeństwa energetycznego szczególnie rozwijał śp. prezydent Lech Kaczyński, pozostaje największym partnerem handlowym Polski w regionie. W 2024 r. odpowiadał za blisko 70 proc. polskich obrotów handlowych z pięcioma republikami Azji Centralnej. Polskie przedsiębiorstwa mogą wykorzystać swoje przewagi konkurencyjne w takich sektorach, jak rolnictwo i przetwórstwo spożywcze, farmacja, odnawialne źródła energii, maszyny i urządzenia przemysłowe, technologie informatyczne oraz logistyka. Logistyka może stać się największą strategiczną szansą Polski. Położenie naszego kraju w europejskiej sieci transportowej, rozwinięta infrastruktura kolejowa oraz rola Polski jako jednego z głównych centrów dystrybucyjnych Europy Środkowo-Wschodniej mogą umożliwić polskim firmom aktywne uczestnictwo w rozwoju handlu między Azją Centralną a Unią Europejską.

REKLAMA



300/0326/F

eprasa.pl b95eb4ceae



Walizka Marka Grabowskiego

socjologa, analityka polityki, działacza społecznego



W związku ze swoją pracą w agencjach i instytucjach, w których kierowałem pracami projektowymi zespołów badawczych, przez 20 lat dużo jeździłem po kraju i Europie. Jestem też założycielem pracowni badawczej Social Changes specjalizującej się w badaniach politycznych, społecznych i rynku. Działamy od 2014 r. Dwa lata później zostałem prezesem Fundacji Mamy i Taty. Zawodowo interesują mnie trendy społeczne i budowanie wizerunku marek. Lubię być na styku kultur i zjawisk. Prywatnie mąż i ojciec czwórki dzieci, miłośnik piłki nożnej, strzelectwa, muzyki i poezji.







ANALOGOWE APARATY

Magia zdjęć robionych na kliszy jest niedościgniona przez współczesne narzędzia cyfrowe. Analogowy aparat fotograficzny wymaga myślenia i większej wrażliwości. Robię m.in. amatorsko zdjęcia samolotów na różnego rodzaju piknikach czy zawodach lotniczych. Z kolei kieszonkowy Lomomatic sprawdza się w szybkiej fotografii miejskiej.



TELEFON ZE SŁUCHAWKAMI

....bezprzewodowymi. Jest to konieczność w pracy socjologa i dziennikarza. Moje przenośne biuro i okno na świat na wszelkiego rodzaju media społecznościowe czy platformy cyfrowe.



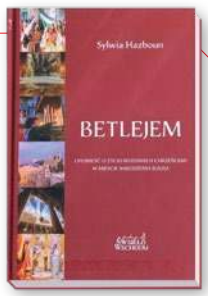
HARMONIJKA USTNA

Gdy jestem po całym dniu pracy lubię sobie w domu – ku irytacji rodziny – na niej pograć. Jest to dla mnie forma odprężenia.

Fot. Michał Korsun, archiwum Marka Grabowskiego, Shutterstock x2

eprasa.pl b95eb4ceae





„BETLEJEM...

Życie codzienne rdzennych chrześcijan w mieście narodzenia Jezusa" autorstwa Sylwii Hazboun. Ziemia Święta jest bardzo fascynująca pod wieloma względami społecznymi i kulturowymi. Od czasu do czasu lubię poczytać pozycje poświęcone tamtemu regionowi, z jednej strony bardzo głębokiemu duchowo, z drugiej bardzo zapalnemu.

KLASYCZNY ZEGAREK

Lubię punktualność. Napędzany światłem słonecznym, z radiową kontrolą czasu, daje mi poczucie pewności.



ERVING GOFFMAN

Napisał „Człowieka w teatrze życia codziennego", do którego lubię wracać, a zarazem polecam go moim studentom. To dosyć klasyczna pozycja socjologii, ale otwiera oczy na różne role społeczne, funkcje, w których działamy, i theatrum, w którym funkcjonujemy.



BIBLIA NAWARSKA

Moja obowiązkowa lektura. Zaopatrzona w obszerne komentarze, bardzo wzbogacające zrozumienie Pisma Świętego, jest dla mnie źródłem energii codziennej.

POLO

Lubię takie koszulki. Zawsze zabieram awaryjną do pracy, np. na wypadek zalania się kawą.





SCYZOR

Dosyć spory, marki Victorinox. Wielofunkcyjny, przydatny.

BIBLIA JAKUBA WUJKA

Prawdziwa perła polszczyzny. Jest to wydany w 1599 r. przekład Biblii, a dokładniej Wulgaty, autorstwa jezuity, ks. Jakuba Wujka. Medytując nad tym tłumaczeniem odczuwam łączność z przeszłymi pokoleniami naszych przodków i doceniam piękno naszego języka.





RÓŻANIEC

Zamiast tępo patrzeć przez okno podczas podróży samochodem czy pociągiem, lubię się modlić w jakiejś intencji.



OKULARKI

Uwielbiam pływać, zwłaszcza w morzu. W Bałtyku na dużych falach, w ciepłych akwenach, na długich dystansach. Relaks, ruch, chwila na spokojne przemyślenie spraw lub kontemplację.

„CZŁOWIEK W POSZUKIWANIU SENSU"

Wstrząsająca lektura. Jej autor Viktor Emil Frankl przeszedł przez cztery obozy koncentracyjne. Jest twórcą trzeciej wiedeńskiej szkoły psychoterapii oraz analizy egzystencjalnej, odnoszącej się do odnajdywania sensu życia i odpowiedzialności w życiu człowieka.





BUTY

Tylko Martensy. Są ciężkie, ale bardzo stylowe.

Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

eprasa.pl b95eb4ceae

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Ogarnijcie się, Polacy!



Jan Pietrzak

Zwycięstwo Mai Chwalińskiej w dalekich Chinach! Co za radość spotkała nas w tych ponurych dniach rządowych brewerii w Warszawie. Na trybunalskim korcie Berek kontra Godzilla. Na ulicznej widowni naród kontra gliny. Działo się to przy Trybunale Konstytucyjnym i, prawdę mówiąc, nie wiadomo, jak i kiedy się skończy. Jedyne zwycięstwa, jakie ostatnio przydarzają się Polakom, to triumfy wspaniałych sportowców. We wszystkich innych dziedzinach ludzkiej aktywności klęska goni klapę i porażką pogania.

Tak nas wykiwali oszuści z „uśmiechniętej koalicji". Szli do wyborów z wesołym sloganem, popartym obietnicą stu konkretów. „Cóż szkodzi obiecać" – wyjaśniał jeden z nich. Wiele naiwnych osób się zachęciło. Po trzech latach ich uśmiech okazał się fałszywym grymasem wściekłej gęby. Szyderczy chichot oszustów nie jest oznaką zdrowia społecznego. Ponieważ na wstępie swego urzędowania ukradli społeczeństwu polskie media, sprawa jest boleśnie konkretna: totalne kłamstwo wciskane przez te media w łepetyny podatne na kit. Mówił o tym dobitnie Przemysław Czarnek, kandydat prawicy na premiera. Właściwie trzeba by powiedzieć: kandydat Polaków, bo klasyczny podział na lewicę i prawicę już dawno w Polsce nie ma sensu.

Lewica jest partią spadkobierców komuny, czyli sytych rentierów, którzy przy pomocy okrągłego stołu porzucili Marksa i zostawili sobie „kapitał". Ludowcy stracili kontakt z ziemią, „skąd ich ród", natomiast zdominowali większość urzędów samorządowych. To nie jest partia na gruncie klasowym, lecz na gruncie deweloperskim. Liberałami nazywają się najwięksi zamordyści. Ich popisy represji, siłowych rozwiązań, radykalne czystki upatrzonych środowisk, popisy demokracji walczącej... pokazują istotę tej formacji. Są najbardziej podobni do faszystów z ich pogardą dla wszystkich innych opcji. No i najmocniej osadzeni w brukselskiej międzynarodówce szmalu i bajeru. To oni są zapleczem ugrupowań zmierzających do likwidacji naszej suwerenności. Już niewiele kroków dzieli ich od sukcesu. Jeszcze tylko przejęcie Trybunału Konstytucyjnego i Narodowego Banku Polskiego! I będzie po Polsce. Kolejny rozbiór, a raczej zabór tuż przed nami! 700 ton złota, którymi szczyci się prezes Adam Glapiński, dołączy do kredytu SAFE, by utrzymać niemiecki dobrostan na poziomie mocarstwa. Taki jest najczarniejszy scenariusz. Na szczęście mamy prawdziwie polskiego prezydenta Karola Nawrockiego. Musimy jedynie (!!!) wybrać prawdziwie polskiego premiera Czarnka i Polska ruszy do przodu z siłą wodospadu, z impetem historycznej husarii, z pasją Dywizjonu 303, z odwagą powstańców listopadowych, wielkopolskich, śląskich, warszawskich...

I wydobędzie się nasz kraj z finansowej przepaści Domańskiego/Tuska. Widzieliście, jak Domański z szajką zaśmiewali się w Sejmie podczas próby odsunięcia ich od kasy? Łatwo nie będzie, ale wszystko jeszcze przed nami! Wszystko zdarzyć się może!

Ogarnijcie się, bracia Polacy, to i Bóg dopomoże!

Przemysł pogardy wraca



Samuel Pereira

Znowu padło polecenie. Koalicja 13 grudnia uruchomiła dobrze znany mechanizm: przemysł pogardy. Tym razem pretekstem jest kuriozalny pomysł awansu ministra finansów Andrzeja Domańskiego – człowieka, który zapisał się w historii III RP rekordowym długiem publicznym. Premier Tusk wraz ze swoim zastępcą polecieli do Indii (a potem do Wietnamu), a w kraju ruszyły naciski na prezydenta Karola Nawrockiego, połączone z otwartymi groźbami.

Poseł Tomasz Trela z Lewicy zapowiedział, że jeśli prezydent „będzie wpychał nos w nieswoje sprawy", to on będzie wnioskował o ograniczenie wydatków na koszty osobowe Kancelarii Prezydenta RP. Innymi słowy: na złość Nawrockiemu zagłodzą kilkuset urzędników. Roman Giertych z KO poszedł jeszcze dalej i grozi totalnym odebraniem środków. Politycy opozycji słusznie pytają: skoro Tusk z Domańskim są za granicą, to czego właściwie oczekują Giertych z Trelą? Nie da się mianować wicepremiera *per procura*.

Konsekwencje polityki Domańskiego dla obywateli są brutalnie konkretne: deficyt, który wymusi albo likwidację programów społecznych, albo wyprzedaż majątku narodowego, ku uciesze naszych wrogów. A koalicjanci Tuska pytani o groźby wobec prezydenta albo odwracają głowę, albo nakręceni złymi emocjami pozwalają sobie na prostackie odzywki wobec dziennikarzy.

Wracają ponure wspomnienia – ten sam obóz polityczny już kilkanaście lat temu obrał na cel głowę państwa. Tak też walczono z prezydentem Lechem Kaczyńskim, ograniczając finansowanie jego kancelarii. Niczego nowego nie wymyślono. Ostatecznym skutkiem działania ówczesnego przemysłu pogardy było to, co stało się w Smoleńsku, a na pewno łatwiej realizować „eksperyment nad Wisłą", mając w pałacu prezydenckim kogoś usłużnego. Wracają słowa śp. Lecha Kaczyńskiego, który jeszcze przed wyborami 2005 r. ostrzegał przed tonem agresji ze strony Donalda Tuska i przed Polską, w której oponenci będą traktowani z dużą dozą nienawiści. Jak dzisiaj. Przemysł pogardy nie zniknął. On tylko na chwilę przycichł. Teraz wraca, z tymi samymi narzędziami i tymi samymi intencjami.

eprasa.pl b95eb4ceae

Nowy (stary) deal dla Europy, czyli „Germany First”



W ubiegłym tygodniu w Strasburgu odbyła się konferencja „Mój nowy deal dla Europy”, której głównym gościem była Alice Weidel, liderka niemieckiej AfD.

Podczas spotkania padło pytanie o przyszłość polityki Niemiec w przypadku dojścia AfD do władzy. Odpowiedź była wymowna. Weidel wprost opowiedziała się za powrotem do resetu z Rosją, współpracy energetycznej i projektu Nord Stream. Z jej ust padły też słowa: „Germany First!”, i to one chyba najlepiej oddają jej wizję Europy.

Przyznam, że dało mi to do myślenia, bo choć w wielu kwestiach się różnimy, wydawało mi się, że podobnie dostrzegamy niektóre problemy UE. Tymczasem z jej wypowiedzi wyłoniła się wizja Europy absolutnie podporządkowanej niemieckim interesom.

Trudno mieć pretensje do niemieckiej polityk, że chce bronić interesów własnego państwa, ale problem pojawia się wtedy, gdy ich realizacja ma się odbywać kosztem pozostałych państw członkowskich. Po prostu, bezkompromisowo.

I tu dochodzimy do sedna. Od lat obserwujemy przecież podobny mechanizm. Kolejne niemieckie rządy, szczególnie liberalno-lewicowe, przedstawiają własne interesy jako interesy całej Europy. Wszystko pod hasłami europejskiej jedności i solidarności.

Alice Weidel proponuje coś, wydawałoby się, innego, ale jednak tylko w formie, niekoniecznie w treści. Nie potrzebuje wielkich haseł o europejskich wartościach. Mówi otwarcie: najpierw Niemcy, reszta nas nie interesuje.

Sam również chciałem zabrać głos. Zamierzałem zapytać panią Weidel, czy w jej „nowym dealu dla Europy” znajdzie się miejsce na zasadę, że agresor powinien płacić za krzywdy wyrządzone ofiarom. A konkretnie: czy Niemcy pod rządami AfD byłyby gotowe usiąść z Polską do stołu i wypracować sposób wypłaty reparacji za zbrodnie i zniszczenia dokonane podczas II wojny światowej?

Niestety, niemieccy europosłowie AfD prowadzący spotkanie, widząc mnie, dopilnowali, bym nie mógł zadać pytania, które widocznie mogłoby okazać się dla pani Weidel zbyt trudne. Mimo wielokrotnego zgłaszania się do głosu nie otrzymałem takiej możliwości.

Dla nas to ważna lekcja. Niezależnie od tego, kto rządzi w Berlinie, musimy patrzeć nie na deklaracje, lecz na rzeczywiste zamiary niemieckich polityków.

Bo Europa suwerennych narodów to nie Europa podporządkowana interesom najsilniejszego państwa. I taka jest moja najważniejsza refleksja po spotkaniu z polityk, która aspiruje do objęcia urzędu kanclerza Niemiec.

Arkadiusz Mularczyk

Nie bójmy się pomagać

Z aktorem Dariuszem Wieteską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

„Na sygnale” silną ekipą wkroczyło w kolejny sezon.

Dariusz Wieteska: Już czternasty rok będziemy spędzać na planie. Nie spodziewaliśmy się, że to się tak rozrośnie. Cieszy mnie też, że w nowym sezonie wielowątkowo będziemy widzieli losy naszych bohaterów. I że „dorobiliśmy się” serialowego hymnu.

O czym mowa?

O utworze „Uratuj mnie”. Mamy uzdolnioną muzycznie ratowniczą bazę. Koledzy Hubert Jarczak i Adam Turczyk świetnie śpiewają, kilka osób z obsady gra na różnych instrumentach, ale to piosenka Adama [występującego także pod pseudonimem Graf – przyp. red.] towarzyszy nam od sierpnia. Według mnie to utwór, którego byśmy się nie powstydzili na Eurowizji.



Rozważacie założenie zespołu?

Być może... Jeżdżenie karetką, ratowanie naszych pacjentów oczywiście jest bardzo ważne, ale chodzi też o to, by było różnorodnie. I ta nasza muzyczna strefa, myślę, jest ciekawą opcją. Gorąco zachęcam do oglądania „Na sygnale”.

Od lat edukujecie zdrowotnie widzów. Jakie tematy pojawią się w tym sezonie?

Każdego dnia na planie jest z nami prawdziwy ratownik medyczny. Pilnuje, co i jak robimy... Zmienia się terminologia, wchodzą nowe leki, pojawiają się nowe wytyczne. My również przez cały czas się uczymy, ale uczą się także widzowie. A ratownicy i nam, i im przypominają, że jeżeli ktoś traci przytomność, niesiemy pomoc. Odchodzimy od metody usta-usta, skupiamy się na trzydziestu uciśnięciach klatki piersiowej. Aż do przyjazdu karetki. I nie boimy się, że złamiemy żebra. Gdy trzeba pomóc, nie odpuszczajmy. Działajmy.

Fot. TVP

eprasa.pl b95eb4ceae

TRENDY I OWĘDY

Stres przedłużony



Ryszard Makowski

Stres bożonarodzeniowy nie jest wymysłem teoretyków od mniemanologii stosowanej. Jest to zjawisko powszechne i wielopoziomowe. Święta wiążą się z wydatkami, a nie każdy ma odpowiednie zasoby, aby im podołać; wiążą się ze spotkaniami rodzinnymi, a w podzielonym społeczeństwie polityczne animozje dzielą nawet najbliższych. Nie każdemu też odpowiada wymuszone szaleństwo zakupów. W tym roku reklamy bożonarodzeniowe wyprzedziły Halloween. Do tej pory była taka niepisana zasada, że szanujemy Wszystkich Świętych i dopiero potem rusza machina promocyjna z mikołajami i piosenkami z dzwoneczkami.

Co więcej, w niektórych sklepach zaczął się już Black Weekend. Black Friday to piątek pod koniec listopada, po Święcie Dziękczynienia w USA. Potem ten piątek zmienił się u nas w tydzień, a teraz już nabrał wymiaru ponadmiesięcznego. A do tego premier oświadczył: „Wszystko się składa na jeden oczywisty komunikat: można spodziewać się jakiejś eskalacji jeszcze przed Wigilią". Może handel wziął pod uwagę to oświadczenie i chce wyprzedać, co się da, jak najszybciej.

Duża sieć handlowa wabi klientów sloganem: „Opłaca się świętować każdego dnia". Hasło trochę dziwne, bo w święta te sklepy są zamknięte. Ale też może to być zachęta, by urządzić sobie więcej Wigilii w tym roku. Trudno zakazać reklam, ale ich wszechobecny nadmiar może tak wymęczyć, że człowiekowi odechce się świąt.

Stres bożonarodzeniowy już w październiku serwują nam ci, którzy sami często świąt nie obchodzą albo obchodzą inne, a nam zakłócają kontemplowanie złotej polskiej jesieni.

ZDJĘCIE TYGODNIA Jesienne mgły nad Warszawą



Fot. Sergei GAPON/AFP/East News

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: MONTAŻ STUDIO GRAFICZNE SIECI: ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS, MOZCO/SHUTTERSTOCK; ANDRZEJ WIKTOR x3, SHUTTERSTOCK/PIERRE LABORDE, MARKUS WISSMANN

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl b95eb4ceae

Byle polska wieś spokojna



Andrzej Rafał Potocki

Trudno nadążyć za politycznymi kombinacjami Donalda Trumpa. Z tego, co wiemy, prezydent USA stara się za wszelką cenę doprowadzić do pokoju między Moskwą a Kijowem. Widać wyraźnie, że w negocjacjach zaczęła mu przeszkadzać postać Wołodymyra Zełenskiego. „Zełenski nie wie, o czym mówi. To człowiek, który już dawno powinien był doprowadzić do zakończenia tej wojny. Gdyby mnie posłuchał, już dawno wynegocjowałby znacznie lepsze porozumienie i miałby po swojej stronie milion ludzi, którzy nadal by żyli. I szczerze mówiąc, uważam, że nadszedł czas, aby ktoś inny negocjował w imieniu Ukrainy" – podsumował amerykański prezydent. Według „New York Times" Trump od początku swojej drugiej kadencji szuka „swojej Jałty" w wojnie Moskwy z Ukrainą. Podobnie jak niegdyś prezydent Franklin Delano Roosevelt Trump jest skłonny do kompromisów w imieniu innych. Roosevelt nie upierał się przy autonomii dla Polski i republik bałtyckich w 1945 r., a Trump jasno dał do zrozumienia, że zaakceptuje okrojoną autonomię Ukrainy – czytamy w amerykańskim dzienniku. Nie dość, że prezydent Stanów Zjednoczonych wezwał do zmiany prezydenta Ukrainy, to według Kijowa Biały Dom ograniczył jeszcze stronie ukraińskiej dostęp do internetu satelitarnego Starlink i opóźnił dostawę pocisków przechwytujących do systemów Patriot. Przedstawiciele USA zaprzeczają tym doniesieniom. Jednocześnie Trump zacieśnia stosunki z Kremlem, zawierając umowę na zakup rosyjskiego oleju napędowego i rezygnując z nowych sankcji wobec Federacji – przypomniał „NYT". Trumpowi marzy się szczyt Chiny–Moskwa–USA, ale bez udziału Ukrainy. Kolejny raz wolta obecnego prezydenta Ameryki zaskoczyła świat, ale jemu samemu zaufania nie przysporzyła.

W jednym Trump ma rację. Zełenski to zgrana karta. Skorumpowana do nieprzytomności władza w Kijowie (w domu jednego z polityków ostatnio znaleziono 180 mln dol. w gotówce) napotyka coraz większy opór w społeczeństwie ukraińskim. Z polskiego punktu widzenia wygłupy Zełenskiego z kultem UPA powinny narazić Kijów na ostrą reakcję rządu w Warszawie. Ale ekipa Tuska i Sikorskiego praktycznie udaje, że się nic nie dzieje, i krawaciarze w stolicy Ukrainy robią, co chcą. Ostatnio probanderowska zaraza przeniosła się do Lwowa, gdzie władze miasta ustanowiły 2027 rokiem UPA.

Zełenski naraził na szwank również stosunki z Koreą Południową. Draka z Seulem zaczęła się podczas debaty generalnej na sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, gdy prezydent Ukrainy ujawnił, że Kijów przekazał Korei Południowej dwóch wojskowych z Północy. Żołnierze ci zostali schwytani przez siły ukraińskie w styczniu 2025 r., podczas walk w obwodzie kurskim – byli częścią oddziałów północnokoreańskich wspierających Moskwę. Prezydent Korei Południowej Li Dze Mjung oskarżył Kijów o złamanie tajnych ustaleń. Według Seulu obie strony uzgodniły poufność transferu m.in. po to, by chronić bezpieczeństwo jeńców i ich rodzin pozostających w Korei Północnej. Li zażądał publicznych przeprosin, a po zaprzeczeniach ze strony ukraińskiej nazwał ujawnienie naruszeniem godności Republiki Korei.

Zresztą sam Zełenski dostrzegł, że pali mu się grunt pod nogami (refleks szachisty na emeryturze), bo nagle zasugerował gotowość oddania 25 proc. terytorium Ukrainy (Ługanda i Donbabwe) w zamian za pokój. Ale Trump gra na rozejm, podczas którego w Ukrainie można by było przeprowadzić prezydencką elekcję. Polityka Waszyngtonu zamiast jasno prowadzić do celu, zamieniła się w „szarpaninę Żyda po pustym sklepie" i raczej do niczego dobrego nie doprowadzi.

Choć sam Zełenski jest dla Polski utrapieniem i zamiana głowy państwa w Kijowie np. na gen. Załużnego mogłaby być nam na rękę, to niestety koniec wojny według obecnej wizji prezydenta USA powinien być dla nas koszmarem. Putin widzi miotanie się Trumpa i jego opętańczą wręcz chęć do zakończenia konfliktu, nawet na kiepskich dla Ameryki warunkach, i już kombinuje, jak napalonego na pokój czy na Pokojową Nagrodę Nobla Trumpa wysadzić w powietrze. Jakby mu się to udało, nie będzie mógł zasnąć na Kremlu, myśląc o ataku na Estonię, bo zwolnią mu się moce przerobowe w Ukrainie. Wbrew pozorom konflikt ten jest nam na rękę, bo w doktrynie Moskwy wojna na dwa fronty nie wchodzi w rachubę. Nadzieja w tym, że Trump się zorientuje, w jaką pułapkę sam się pakuje, i zmieni zdanie. To nic, że po raz pięćdziesiąty, byle polska wieś spokojna.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b95eb4ceae



eprasa.pl b95eb4ceae

Zabójca demokracji

„Demokracja walcząca" Donalda Tuska weszła w fazę, w której pożera niezależne instytucje, tworząc przedpole dla totalitaryzmu

„Rewolucja, jak Saturn, pożera własne dzieci" – stwierdził w 1793 r., tuż przed własną egzekucją na gilotynie, Pierre Vergniaud, jeden z przywódców żyrondystów. Na podobnej zasadzie „demokracja walcząca" Donalda Tuska musiała wejść w fazę, w której walka pożera demokrację. Tak się dzieje w drugiej połowie 2026 r.

Walka pożera demokrację, używając strachu i cenzury jako narzędzi spacyfikowania społeczeństwa. Przy tym w przypadku strachu chodzi zarówno o zastraszanie Polaków, by siedzieli cicho, jak i o straszenie wojną, czyli napaścią Rosji. Żeby to zrealizować, Donald Tusk potrafi nawet zamienić się w podżegacza wojennego. W przypadku cenzury chodzi zarówno o instytucję, jak i działanie rozproszone. Od 30 września 2026 r. działa w Polsce Ministerstwo Prawdy, czyli połączenie cenzury, policji myśli, urzędu ds. myślozbrodni i płatnych donosicieli. Dla niepoznaki Ministerstwo Prawdy nazywa się Centrum Walki z Dezinformacją. Formalnie Ministerstwem Prawdy kieruje Paweł Olszewski, a faktycznie sam Tusk – naczelny cenzor RP i oberpolicmajster myśli. Cenzurę rozproszoną w postaci administracyjnej rząd Tuska chciał wprowadzić ustawą wdrażającą unijny Akt o Usługach Cyfrowych. Prezydent Karol Nawrocki ją zawetował, zarzucając jej autorom łamanie art. 54 konstytucji, czyli wprowadzanie narzędzia służącego do eliminowania z przestrzeni publicznej poglądów niewygodnych dla władzy i nieprawomyślnych. Chodzi także o ustanowienie płatnych donosicieli.

Najważniejsza w planie pożerania demokracji jest likwidacja niezależnych instytucji (przy okazji mających status konstytucyjny), a najważniejszymi z nich są Trybunał Konstytucyjny i Narodowy Bank Polski. Uderzając w TK, reżim Tuska atakuje też prezydenta, przygotowując narzędzia do pozbawienia go konstytucyjnych uprawnień i prerogatyw. A nawet uznania go za niewypełniającego obowiązki głowy państwa i zastąpienia marszałkiem Sejmu Włodzimierzem Czarzastym.



STANISŁAW JANECKI

To wszystko składa się na pełzający zamach stanu, a rząd Donalda Tuska i jego parlamentarne zaplecze w październiku 2026 r. weszły w fazę realizacji jego najważniejszej części – zniesienia zapisów artykułów 7 i 10 konstytucji. Artykuł 7 stanowi: „Organy władzy publicznej działają na podstawie i w granicach prawa". Artykuł 10 w ustępie 1 głosi z kolei: „Ustrój Rzeczypospolitej Polskiej opiera się na podziale i równowadze władzy ustawodawczej, władzy wykonawczej i władzy sądowniczej".

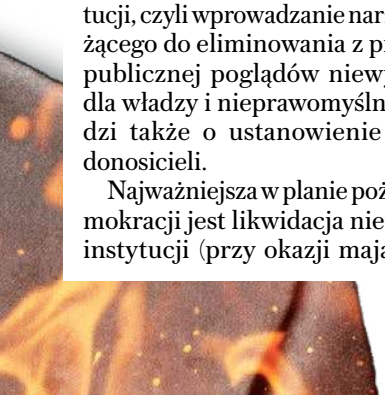
STRACH

Podczas protestów zorganizowanych w połowie października br. przed gmachem Trybunału Konstytucyjnego prezes Prawa i Sprawiedliwości, były premier Jarosław Kaczyński, stwierdził, że dochodzi do „łamania prawa na wszystkie możliwe sposoby", i wezwał do czynnego oporu: „Nie wolno temu ulec, trzeba po prostu atakować". Koncepcję „demokracji walczącej" Tuska nazwał „bezprawiem i bezpośrednim uderzeniem w podstawy demokratycznego państwa". Kaczyński zwrócił uwagę, że Trybunał Konstytucyjny jest, obok Narodowego Banku Polskiego, jedną z dwóch ostatnich instytucji, które nie zostały „opanowane przez tę władzę". „Być może niedługo przyjdzie moment, kiedy przyjdzie stanąć pod bankiem narodowym i banku narodowego bronić […]. Chodzi o to, żeby Polsce nie narzucono tego, co nas prowadzi do biedy, do nędzy. Chodzi tutaj przede wszystkim o euro, ale i cały ten plan dalszej integracji Unii Europejskiej".

Jarosław Kaczyński obnażył też metodę zastraszania społeczeństwa: „Pamiętacie, jak to było z demonstracją rolników? Bez żadnego powodu bito ludzi, było niewielu tych pobitych, ale mimo wszystko to okazało się skuteczne".

O zastraszaniu czy szerzej strachu mówił w telewizji wPolsce24 filozof prof. Ryszard Legutko, były minister edukacji i były eurodeputowany: „Strach to jest czynnik, wydawałoby się, z którym rozstaliśmy się po upadku ustroju komunistycznego, ale ten strach wrócił. Ludzie boją się mówić głośno, co myślą, boją się, że stracą pracę, ale też coraz bardziej wyraźne staje się to, że wszelkie formy protestu mogą być represjonowane w sposób bardzo brutalny". Skutek jest taki, że „w tej chwili w Polsce tworzy się system despotyczny. Agresja i kłamstwo to są cechy samego przywódcy. Pan premier Tusk jest chyba najbardziej kłamiącym politykiem ostatnich 30 czy 40 lat, podobnie jak jest najbardziej agresywnym politykiem. […] To się przelewa na instytucje państwa polskiego" – mówił prof. Legutko.

Planem zamachu stanu był już „Program 100 konkretów na 100 dni",



Fot. Shutterstock x2, Andrzej Wiktor

eprasa.pl b95eb4ceae

przedstawiony przez Donalda Tuska 9 września 2023 r. w Tarnowie. Tusk dlatego ma kłopoty z jego realizacją, że dotyczy on m.in. zniszczenia wielu instytucji, w tym tych zapisanych w konstytucji. To jest plan usunięcia przedstawicieli różnych organów państwa wbrew przepisom, także konstytucyjnym, chroniącym wypełnianie przez nich obowiązków przez całe kadencje. To plan rehabilitacji m.in. osób umacniających komunistyczny totalitaryzm, w tym uzależnionych od byłego ZSRR. To plan rozwalenia finansów państwa, co już się dzieje, a za co minister finansów Andrzej Domański ma być nagrodzony stanowiskiem wicepremiera. Bezpośrednim wykonaniem scenariusza zamachu stanu byłaby realizacja co piątego z „konkretów" Tuska, pośrednim – ok. 40 z nich.

Nie sposób przypuszczać, że autorzy przedstawionych przez Donalda Tuska „konkretów" nie zdawali sobie sprawy, że ich realizacja byłaby w różnym stopniu i w różnych formach zamachem na konstytucyjny ustrój RP oraz prawa gwarantowane i nabyte. Można nawet sądzić, że owe „konkrety" były z premedytacją tak sformułowane, żeby spektakularnie uderzały w wybrane organy państwa i reprezentujące je osoby. 100 konkretów można uznać za instrukcję obsługi zamachu stanu. Gdyby jakaś partia w Niemczech zaprezentowała podobne propozycje, z wysokim prawdopodobieństwem można by zakładać, że tuż po ich ujawnieniu zająłby się nimi Federalny Urząd Ochrony Konstytucji.

TRYBUNAŁ KONSTYTUCYJNY JAK BASTYLIA

Trybunał Konstytucyjny stał się celem ataku wręcz fizycznego. Przygotowaniem były przesłuchania w prokuraturze sędziów i pracowników TK. Były sprawdzaniem tego, którzy sędziowie zdecydowaliby się współpracować, aby można było zwołać Zgromadzenie Ogólne. Dlaczego? Bo mogłoby ono zdecydować o pozbawieniu prezesa Bogdana Święczkowskiego immunitetu pod pretekstem podejrzenia przekroczenia uprawnień w okresie, gdy pełnił funkcję prokuratora krajowego i z urzędu nadzorował używanie systemu Pegasus. Odebranie immunitetu nie byłoby w stanie doprowadzić do usunięcia prezesa TK ze stanowiska, bo to jest prawnie niemożliwe. Pozbawiony immunitetu, a nawet aresztowany Bogdan Święczkowski nadal byłby prezesem. A tylko prezes może zwołać Zgromadzenie Ogólne. Trzeba więc powołać neoprezesa.

Fizyczne zdobycie siedziby Trybunału jest Tuskowi i jego ludziom potrzebne jako symbol – jak zdobycie Bastylii 14 lipca 1789 r. To paryskie więzienie było słabo bronione, więc po kilku godzinach walk zostało przejęte. Komendant Bastylii został ścięty, jego głowę niesiono na pikach przez miasto, a przerażony król musiał ustąpić. Zdobywając fizycznie Trybunał Konstytucyjny, Donald Tusk chce uzyskać efekt Bastylii. A następnie zostałaby zrealizowana „misja" najbardziej zaufanego w strukturach rządu człowieka Tuska, czyli Macieja Berka, który pokierowałby „przejęciem" TK w całości, a tym byłoby uzyskanie większości w Zgromadzeniu Ogólnym. A wtedy mogłyby zostać uruchomione najbardziej brutalne i łamiące konstytucję elementy planu, czyli delegalizacja opozycyjnych partii (taka jest prerogatywa TK) – z założeniem, że mogłaby wystarczyć tylko delegalizacja Konfederacji Korony Polskiej.

Jeśli to by się udało, przeszkodą wciąż pozostawałby prezydent Karol Nawrocki. Ale drugą „misją" Macieja Berka jest zrealizowanie scenariusza (to nic, że bezwstydnie nielegalnego), w którym Trybunał Konstytucyjny uznaje niezdolność (nawet czasową) prezydenta do sprawowania urzędu i podstawia w jego miejsce marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego, który podpisuje wszystko, co tylko zdoła jako pełniący jego obowiązki.

ATAK NA PREZYDENTA

Scenariusz rozprawy z prezydentem Karolem Nawrockim przedstawił m.in. Roman Giertych, który stwierdził: „Powinniśmy uchwałą sejmową przypomnieć panu Nawrockiemu, jakie są funkcje prezydenta, skoro sprawuje tę funkcję. Jeżeli nie będzie wykonywał tych funkcji, które przewiduje dla niego konstytucja, to musimy uznać, że Nawrocki rezygnuje z tego sprawowania tej funkcji". Na zasadzie *facta concludentia*, czyli pokracznie wywodząc to z art. 60. kodeksu cywilnego: „Z zastrzeżeniem wyjątków w ustawie przewidzianych, wola osoby dokonującej czynności prawnej może być wyrażona przez każde zachowanie się tej osoby, które ujawnia jej wolę w sposób dostateczny". Nieważne, że konstytucja reguluje to zupełnie inaczej. W artykule 131 ust. 1 zapisano: „Jeżeli Prezydent Rzeczypospolitej nie może przejściowo sprawować urzędu, zawiadamia o tym Marszałka Sejmu, który tymczasowo przejmuje obowiązki Prezydenta Rzeczypospolitej. Gdy Prezydent Rzeczypospolitej nie jest w stanie zawiadomić Marszałka Sejmu o niemożności sprawowania urzędu, wówczas o stwierdzeniu przeszkody w sprawowaniu urzędu przez Prezydenta Rzeczypospolitej rozstrzyga Trybunał Konstytucyjny na wniosek Marszałka Sejmu. W razie uznania przejściowej niemożności sprawowania urzędu przez Prezydenta Rzeczypospolitej Trybunał Konstytucyjny powierza Marszałkowi Sejmu tymczasowe wykonywanie obowiązków Prezydenta Rzeczypospolitej".

Niemożność sprawowania urzędu może stwierdzić tylko sam prezydent albo Trybunał Konstytucyjny, gdyby głowa państwa nie była w stanie zawiadomić o tym marszałka Sejmu. Skończony jest też katalog sytuacji, w których prezydent przestaje pełnić swoją funkcję, a do czasu wyboru nowego to marszałek Sejmu wykonuje obowiązki głowy państwa (art. 131 ust. 2). Są to: „1) śmierć Prezydenta Rzeczypospolitej, 2) zrzeczenie się urzędu przez Prezydenta Rzeczypospolitej, 3) stwierdzenie nieważności wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej lub innych przyczyn nieobjęcia urzędu po wyborze, 4) uznanie przez Zgromadzenie Narodowe trwałej niezdolności Prezydenta Rzeczypospolitej do sprawowania urzędu ze względu na stan zdrowia, uchwałą podjętą większością co najmniej 2/3 głosów ustawowej liczby członków Zgromadzenia Narodowego, 5) złożenie Prezydenta Rzeczypospolitej z urzędu orzeczeniem Trybunału Stanu".

Tuskowi i jego ekipie żadne przepisy nie przeszkodzą, bo łamią je nagminnie.

eprasa.pl b95eb4ceae

ATAK NA PREZESA NBP

Częścią zamachu stanu jest plan postawienia przed Trybunałem Stanu prof. Adama Glapińskiego, prezesa Narodowego Banku Polskiego. Za „zniszczenie niezależności Narodowego Banku Polskiego i brak realizacji podstawowego zadania NBP, jakim jest walka z drożyzną". Ustawa o NBP nie mówi o „drożyźnie", lecz stanowi, że „podstawowym celem działalności NBP jest utrzymanie stabilnego poziomu cen, przy jednoczesnym wspieraniu polityki gospodarczej Rządu, o ile nie ogranicza to podstawowego celu NBP". Trybunał Stanu to i tak postęp, bowiem wcześniej (2 lipca 2022 r.) Donald Tusk zapowiadał: „Adam Glapiński jest nielegalny. Nie będzie ani jednego dnia dłużej prezesem NBP i nie trzeba będzie ustawy". Choćby Tusk stanął na uszach, nie udowodni, że prezes Glapiński doprowadził do obniżenia wartości złotego, jeśli istnieją czynniki zewnętrzne, takie jak wojna. Ale takimi drobiazgami się nie przejmuje. Ważne, że „podręczni" premiera stwierdzili, iż prof. Glapiński „zapewniał pośrednie finansowanie przez Narodowy Bank Polski deficytu budżetowego". Ponoć zawiązano wręcz spisek, aby prezes Glapiński „w latach 2020–2021 działając wspólnie i w porozumieniu z przedstawicielami Rady Ministrów, przedstawicielami Polskiego Funduszu Rozwoju SA, przedstawicielami Banku Gospodarstwa Krajowego oraz przedstawicielami niektórych banków komercyjnych, inicjował i uczestniczył w podejmowaniu przez Zarząd Narodowego Banku Polskiego oraz w wykonaniu decyzji o skupie skarbowych papierów wartościowych (obligacji) Skarbu Państwa oraz nieskarbowych papierów wartościowych (obligacji) gwarantowanych przez Skarb Państwa, emitowanych przez Polski Fundusz Rozwoju i Bank Gospodarstwa Krajowego, przez to zapewniał pośrednie finansowanie przez Narodowy Bank Polski deficytu budżetowego w łącznej kwocie co najmniej 144 mld zł, co stanowiło naruszenie art. 220 ust. 2 Konstytucji RP oraz art. 3 ust. 1 ustawy o Narodowym Banku Polskim".

Zbrodnia prof. Glapińskiego polega na tym, że jawnie – wszystkie dane są dostępne w raportach rocznych NBP oraz w dokumentach Międzynarodowego Funduszu Walutowego, a na bieżąco mówił o tym sam prezes NBP – stworzono mechanizm pomocy. Chodziło o „rządową politykę wsparcia dla przedsiębiorców, pracodawców i gospodarstw domowych znajdujących się w trudniej sytuacji w trakcie pandemii COVID-19 (w ramach tzw. tarcz antykryzysowych)". W efekcie „pośrednim i rzeczywistym beneficjentem był Skarb Państwa". Zatem państwo pomagało firmom i ludziom, żeby skorzystał na tym Skarb Państwa, a nie firmy i ludzie. Wedle tej logiki one i oni skorzystaliby dopiero wtedy, gdyby dostali pieniądze z powiększonego deficytu budżetowego. Rentowność państwowych papierów wartościowych w takim wariancie musiałaby poszybować w kosmos, ale kto by się tym przejmował.

> Najważniejsze w planie pożerania demokracji są likwidacja bądź przejęcie najważniejszych, niezależnych instytucji, czyli Trybunału Konstytucyjnego i Narodowego Banku Polskiego. Uderzając w TK, reżim Tuska atakuje też prezydenta Nawrockiego, przygotowując narzędzia do pozbawienia go konstytucyjnych uprawnień i prerogatyw. A nawet zastąpienia marszałkiem Sejmu Włodzimierzem Czarzastym

Straszne dla Tuska jest już to, że Narodowy Bank Polski jest częścią polskiego państwa, które pomaga swoim obywatelom. Rezultatem ataku na prezesa NBP byłyby zrujnowanie wiarygodności Polski na międzynarodowych rynkach finansowych i inwestycyjnych, groźba osłabienia złotego oraz pogorszenie ratingów Polski. Tusk by się tym nie przejmował, jeśli udałoby się pozbyć znienawidzonego przez obecną władzę prezesa banku centralnego i zaraz potem dogadać w sprawie przyjęcia w Polsce euro. I dogadać się w sprawie położenia europejskiej lub niemieckiej łapy na polskim złocie (obecnie 673 tony o wartości ok. 350 mld zł).

ATAK NA OPOZYCJĘ

Gdy chodzi o „wyczyszczenie" polskiej sceny partyjnej, to już 15 sierpnia 2026 r. w Gdyni Donald Tusk praktycznie uzasadnił plan delegalizacji opozycyjnych ugrupowań. Mówił: „Znacie te partie, tych polityków, którzy chcą Polsce i Polakom wmówić, że naszym problemem jest Europa, że naszym wrogiem jest Ukraina [...]. Nie możemy pozwolić na to, aby zdrada, głupota, brudne interesy osłabiały naszą obronność i bezpieczeństwo. Musimy skończyć z tą złą polityką niektórych polityków i partii". W istocie nie chodzi o skończenie ze „złą polityką", lecz ze złymi partiami. I w ten sposób można uzasadnić delegalizację tych „złych partii", gdyby powiodła się misja Macieja Berka dotycząca przejęcia Trybunału Konstytucyjnego.

Demolowanie demokracji w Polsce przez Donalda Tuska coraz bardziej się nasila. Najbardziej przerażające jest to, że może być zaakceptowane przez instytucje Unii Europejskiej i przywódców w najważniejszych europejskich stolicach. Bo przecież trzeba zatrzymać „brunatną falę", nawet wtedy, gdy najbardziej „brunatne" byłoby to, co robi Tusk. Ale skoro trzy lata temu zaakceptowano „demokrację walczącą" (Tusk uzasadniał jej konieczność w Parlamencie Europejskim i większość to przyjęła), to przyjęto by też plan pokonania demokracji zwykłej.

eprasa.pl b95eb4ceae



To mógł być każdy z nas. Pan Piotr doświadczył brutalnej przemocy aparatu państwa tylko dlatego, że miał odwagę stanąć przed Trybunałem Konstytucyjnym w obronie niszczonej demokracji. Jego przypadek przypomina działania najczarniejszych reżimów. I budzi wiele pytań o to, jakie prawa ma obywatel w starciu z „demokracją walczącą" Donalda Tuska

Polowanie na obywateli, *czyli* policyjne państwo w akcji





MARZENA NYKIEL

Takiej historii w III RP jeszcze nie było. Spotkanie pana Piotra z policją mogło się zakończyć nawet jego śmiercią. Gdyby nie nagrania świadków, nie wiedzielibyśmy, jak bestialsko został potraktowany przez funkcjonariuszy. W tej sprawie złamano wszelkie prawa i zasady. Uruchomiono polityczno-medialną nagonkę, a media publiczne przekazywały kłamliwą dezinformację o nożowniku, który zaatakował policjantkę. Ten atak na emerytowanego żołnierza Wojska Polskiego, ochotnika straży pożarnej i cenionego społecznika, stanowi skrajny przykład systemowego zastraszania obywateli.

BEZPRAWNE LEGITYMOWANIE

Wszystko zaczęło się od prozaicznej sceny przy ul. Marszałkowskiej. 16 października br. uczestnik pokojowego protestu, działający przy miasteczku namiotowym przed Trybunałem Konstytucyjnym, szedł w stronę przejścia dla pieszych i zatrzymał się w oczekiwaniu na zielone światło. Biegnący za nim od pewnego czasu policjanci, osaczyli go, żądając wylegitymowania się. Już na tym etapie naruszyli podstawowe procedury, a interwencja od początku nosiła znamiona prowokacji.

– Policja nie może legitymować obywateli pod byle pretekstem, np. dlatego, że chce wiedzieć, z kim rozmawia. Może to robić tylko w przypadkach opisanych w ustawie – podkreśla konstytucjonalista dr Oskar Kida. – Przystępując do czynności legitymowania, funkcjonariusz ma obowiązek przedstawić się w sposób umożliwiający zapisanie tych danych, a następnie podać przyczynę legitymowania. Te przyczyny są opisane w ustawie, najczęściej jest to podejrzenie popełnienia przestępstwa bądź wykroczenia. Dopóki funkcjonariusz nie poda przyczyny legitymowania, obywatel ma pełne prawo nie udzielić danych. Gdyby do uzyskania tych danych w taki sposób doszło, obywatel ma prawo zaskarżyć tę czynność – dodaje dr Kida.

Policjantka nie podała przyczyn. Jednocześnie naruszyła przestrzeń osobistą mężczyzny, trącając go ramieniem i kierując do niego prowokacyjne uwagi. Pan Piotr, słysząc aroganckie „Jest pan niemową czy jak?" i widząc narastającą presję, poczuł się zagrożony. Zaplótł na sobie ręce, by uniknąć podejrzeń o agresję, i milczał. Gdy policjanci naruszyli jego nietykalność, odepchnął chwytające go ręce i zaczął uciekać. „Uznałem, że to jest atak. A w takiej sytuacji człowiek instynktownie wybiera atak albo ucieczkę" – relacjonował później. Wybrał ucieczkę. Dobiegł do siedziby Stowarzyszenia Wolnego Słowa, biura społecznego rzecznika praw obywatelskich Adama Borowskiego, stanowiącego zaplecze miasteczka namiotowego. Szukał schronienia tam, gdzie są ludzie. Funkcjonariusze zgotowali mu jednak na ich oczach prawdziwy horror.

PIEKŁO INTERWENCJI

To, co nastąpiło później, przypominało najmroczniejsze działania z czasów bezpieki. Pan Piotr został powalony na ziemię, był przyduszany przez leżącą na nim trójkę policjantów, łżony i wyzywany. Nie reagowano, gdy resztką sił krzyczał, że się dusi. Zgromadzeni w biurze ludzie próbowali bezskutecznie powstrzymać agresję policji. Zdołali zarejestrować całą akcję, dzięki czemu istnieją niezbite dowody brutalności interwencji. Pan Piotr stracił przytomność. Wezwano pogotowie. Na filmach widać, że agresywna policjantka mówi coś na ucho przybyłemu ratownikowi. Przypiętego pasami do noszy i skutego w kajdanki pana Piotra przeniesiono do karetki. Potraktowano go jak groźnego bandytę, kolejny raz łamiąc prawo.

Byli policjanci oceniają tę sytuację niezwykle krytycznie. Wskazują na brak profesjonalizmu, doświadczenia, wiedzy i umiejętności. Nie dostrzegają też żadnego wykroczenia ze strony zatrzymanego. – Tam nie było czynnej napaści na policjanta. Tam był czynny opór. Ten człowiek nie chciał dać się zatrzymać. Odpychał ich ręce i praktycznie podejmował ucieczkę. Tylko



tyle. Tu nie ma mowy o czynnej napaści – podkreśla były antyterrorysta Marcin Tomczak.

Do karetki wskoczyła też agresywna policjantka, nie w charakterze osoby poszkodowanej, lecz konwojującej zatrzymanego. Na filmie nie widać, by doznała jakichkolwiek urazów. Nie zarejestrowano też wobec niej żadnego aktu agresji. Przeciwnie, to ona wykazuje się brutalnością. Fakty nie mają jednak dla aparatu władzy najmniejszego znaczenia. W chwili, w której pan Piotr leżał przyciśnięty do ziemi przez policjantów, propagandowa machina rządu pracowała już na najwyższych obrotach.

FABRYKA RZĄDOWEGO FEJKA

Prawdziwy spektakl zaczął się chwilę później. Komenda Stołeczna Policji napisała na platformie X, że „zaatakowana policjantka trafiła do szpitala. Zatrzymany mężczyzna miał przy sobie nóż". Nielegalnie przejęta Polska Agencja Prasowa podała, że „policjantka została zaatakowana nożem". Tuż za nią w kreowanie „nożownika" włączyła się TVP w likwidacji. „A teraz tragiczna informacja ze stolicy – policjantka została ranna w starciu z nożownikiem" – zaznaczyła TVP Info. Wersja sufłowana przez „Gazetę Wyborczą" głosiła z kolei, że protestujący mocno pchnął policjantkę na szklane drzwi. „Mężczyzna uciekał przed policjantami, przy



eprasa.pl b95eb4ceae

próbie wylegitymowania popchnął mocno policjantkę, która uderzyła głową w szklane drzwi. Drzwi pękły. Kobieta została opatrzona w szpitalu. Mężczyzna został zatrzymany za atak na funkcjonariuszkę" – pisała Dominika Wielowieyska. Tyle tylko, że do próby wylegitymowania doszło w zupełnie innym miejscu.

Do tej kłamliwej nagonki osobiście dołączył premier Donald Tusk, który tradycyjnie oskarżył politycznych oponentów: „Mężczyzna z nożem w kieszeni zaatakował policjantkę pilnującą porządku pod Trybunałem Konstytucyjnym. Został zatrzymany i odpowie przed prawem. Polityczna odpowiedzialność za wzrost agresji spada na Nawrockiego i Kaczyńskiego". W podobnym tonie wypowiadał się szef MSWiA Marcin Kierwiński.

Starcie tej narracji z rzeczywistością okazało się dla twórców propagandy bezlitosne. Ów wyolbrzymiony do rangi broni białej sprzęt to zwykły, niewielki scyzoryk (o ostrzu długości ok. 7 cm), używany jako codzienne narzędzie do robienia kanapek czy przecinania plastikowych trytytek mocujących banery w miasteczku namiotowym. Co kluczowe, scyzoryk ten został znaleziony w zamkniętej kieszeni kurtki pana Piotra dopiero po jego zatrzymaniu, już po obezwładnieniu, w trakcie przeszukania.

Mit o policjantce brutalnie pchniętej na drzwi również upadł. Nagrania dowodzą, że szyba pękła, gdy zatrzymany leżał już unieruchomiony na podłodze. Rzekomo ciężko ranna funkcjonariuszka nie tylko nie odniosła obrażeń, lecz także przez wiele godzin prowadziła dalsze czynności, np. bez udziału obrońcy spisywała z nim protokół zatrzymania.

50 GODZIN W SZPONACH BEZPRAWIA

Przez blisko 50 godzin pan Piotr doświadczał potężnej systemowej opresji. Był w tym zderzeniu zupełnie sam, choć po drugiej stronie stała cała armia ludzi chcących mu pomóc. Przez ponad dobę blokowano mu swobodny kontakt z adwokatami i rodziną, łamiąc konstytucyjne prawo do obrony. Mimo obrażeń głowy opóźniano udzielenie pomocy lekarskiej. Poruszony sprawą poseł Marek Jakubiak na własną rękę szukał go w szpitalach, a gdy wreszcie znalazł, okazało się, że karetka przez godzinę stała na podjeździe i nie wjeżdżała na SOR. Nawet w szpitalu ranny był osaczony kilkuosobową eskortą policji i przez cały czas miał ręce skute z tyłu. Wystarczy przypomnieć sobie, jak prowadzony był w szpitalu prawdziwy nożownik z Jarosławia, który zamordował księdza i groźnie ranił kilka osób, aby zdać sobie sprawę ze skali nadużyć, które spotkały pana Piotra.

> Wszystko wskazuje na to, że pan Piotr był namierzany już wcześniej. Od kilku tygodni działał w miasteczku przed Trybunałem Konstytucyjnym. Wygląda na to, że służby chciały wiedzieć, kim jest

Przez kilkadziesiąt godzin był przetrzymywany w izolacji, a jego pełnomocników, rodzinę i parlamentarzystów podejmujących interwencję poselską celowo wprowadzano w błąd, odsyłając od jednego komisariatu do drugiego. To wyglądało jak uprowadzenie. Jednocześnie obrońców informowano, że zatrzymany nie życzy sobie żadnych kontaktów, a deklarację tę zdobyto podstępem i szantażem, warunkując spotkanie podaniem personaliów. Nic dziwnego, że miał prawo obawiać się podstępu. Wystarczająco wiele krzywdy doznał już od funkcjonariuszy. Zgodził się na kontakt dopiero wówczas, gdy go poinformowano, że pełnomocnik został ustanowiony przez żonę.

Blisko przez 30 godzin pan Piotr musiał czekać na spotkanie z obrońcami, a i ono przebiegało w szokującej atmosferze. Nie wyrażono zgody na indywidualną rozmowę z adwokatami, co jest praktyką nawet w przypadku podejrzanych o ciężkie morderstwa. Zatrzymanego przyprowadziło aż siedmiu policjantów, a pan Piotr siedział na krześle na końcu dużego pomieszczenia z rękoma skutymi z tyłu. Policja tłumaczyła to względami „bezpieczeństwa obrońców", choć oni sami prosili o rozkucie. Mec. Magdalena Prządka-Leszczyńska, pełnomocnik zatrzymanego, już zapowiedziała zażalenie na cały proces zatrzymania. „Pan Piotr był w bardzo złym stanie zdrowotnym, ledwo siedział na krześle. Był wycieńczony w wyniku wcześniejszego urazu głowy, chwilowej utraty przytomności oraz problemów z oddychaniem po przebiegu samej interwencji" – relacjonowała mec. Leszczyńska. Od momentu zatrzymania niczego nie jadł, ponieważ obawiał się o swoje życie i zdrowie. Pił jedynie wodę z zamkniętej butelki, która była przy nim otwierana.

O jego złym stanie zdrowia mówi także drugi pełnomocnik, opisując przesłuchanie prokuratorskie. „W momencie, gdy pani prokurator zakomunikowała, że zamierza złożyć do sądu wniosek o zastosowanie tymczasowego, jednomiesięcznego aresztu, pan Piotr znowu gorzej się poczuł. Gdy policjanci chcieli go odprowadzić, podniósł się z krzesła i upadł na ziemię. Niestety, to spowodowało konieczność przetransportowania pana Piotra do szpitala i wykonania niezbędnych badań. Na szczęście ten stan się ustabilizował. Następnego dnia, kiedy widzieliśmy się ponownie, już w sądzie, pan Piotr wyglądał nieco lepiej" – mówi mec. Bartosz Malewski. Prokuratura twierdziła, że areszt ma „zabezpieczyć badania sądowo-psychiatryczne podejrzanego". „Od początku nie chciał wskazać danych osobowych i adresowych. Istnieje zatem obawa ukrywania się i utrudniania czynności procesowych" – przekonywał prok. Piotr Skiba, rzecznik Prokuratury Rejonowej.

KOMPROMITACJA PRZED SĄDEM ARESZTOWYM

Mimo tej zmasowanej kampanii zastraszania, kryminalizacji i presji ze strony najwyższych czynników politycznych kłamliwa narracja załamała się przed

eprasa.pl b95eb4ceae

sądem aresztowym. Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia po dokonaniu analizy materiału dowodowego kategorycznie odrzucił wniosek prokuratury o zastosowanie 30-dniowego aresztu tymczasowego. Sędzia Anna Kuzaj nie zastosowała nawet najmniej dolegliwego środka zapobiegawczego, nakazując natychmiastowe zwolnienie pana Piotra z uwagi na brak jakichkolwiek przesłanek prawnych i faktycznych.

Pan Piotr usłyszał w prokuraturze zarzuty przestępstwa polegającego na zmuszeniu funkcjonariuszy policji do zaniechania czynności służbowych oraz naruszeniu ich nietykalności cielesnej. „To, co w tej sprawie dla mnie najbardziej zadziwiające, to kwestia przypisania do tych zarzutów działania o charakterze chuligańskim, które ze swojej definicji charakteryzuje się tym, że ktoś działa bez żadnego powodu w celu lekceważenia obowiązującego porządku prawnego. Jak mając na uwadze tę sytuację, te nawet fragmentaryczne nagrania, które widzieliśmy wszyscy, możemy mówić o działaniu o charakterze chuligańskim?" – pyta mec. Prządka-Leszczyńska.

Obrońcy zapowiadają podjęcie dalszych kroków prawnych i zaskarżenie całego procesu zatrzymania. Skoro samo żądanie wylegitymowania i wydawane polecenia były bezpodstawne, to użycie siły przez policję było bezprawne, a obrona obywatela przed takim działaniem nie stanowi przestępstwa.

Sam pan Piotr mimo przeżytej traumy zachował klasę i hart ducha. Przyznaje, że od pierwszych chwil czuł się osaczony przez policjantów. „Ci państwo podbiegli do mnie i szybko mnie osaczyli, nie podając żadnej podstawy prawnej. Ponieważ tego nie usłyszałem, uznałem, że to jest atak" – mówi, uzasadniając decyzję o ucieczce do biura. Wiedział, że tam są ludzie, więc będzie bezpieczny. Okazało się inaczej. „Ja nie miałem żadnego zamiaru dotknąć tych funkcjonariuszy... Nikomu nie groziłem żadnym pozbawieniem życia czy zdrowia, więc nie wiem, za co miałbym być w ten sposób traktowany". Pytany, o to, jakie były motywy działania policji, odpowiada, że był ogniwem, które chcieli po prostu wykluczyć.

SYGNAŁ DLA SPOŁECZEŃSTWA

Wszystko wskazuje na to, że pan Piotr był namierzany już wcześniej. Od kilku tygodni działał w miasteczku przed Trybunałem Konstytucyjnym. Jako jeden z najbliższych współpracowników Adama Borowskiego wyróżniał się sprawnością i aktywnością. Należał do młodszej części protestujących, świetnie sprawdzał się w działaniach organizacyjnych. Wygląda na to, że służby chciały wiedzieć, kim jest. Gdy nadarzyła się okazja i szedł sam Aleją Szucha, nieszczęsny patrol postanowił go bez wskazania przyczyn wylegitymować. Pan Piotr miał pełne prawo do nieudzielenia informacji. Być może chciał w ten sposób chronić swoją rodzinę. Jako były żołnierz zawodowy i druh Ochotniczej Straży Pożarnej znał przepisy i nie chciał konfrontacji. Stał nieruchomo i milczał. Nie przypuszczał, że funkcjonariusze posuną się tak daleko. Stał się ofiarą policyjnej prowokacji, która nie tylko stanowiła zagrożenie dla jego życia, lecz także zniszczyła jego dobre imię. Mainstreamowe media i politycy na czele z premierem zrobili z niego agresywnego nożownika, który został pozbawiony wolności i musi dowodzić niewinności przed sądem. Wszystko to miało konkretny cel.

Ktokolwiek sprzeciwia się bezprawiu władzy, uznawany jest za wroga państwa. Dokładnie tak, jak za komuny. Tusk wie, że „ulica i zagranica" mają moc. Zagranica jest chwilowo po jego stronie, więc obawia się masowego sprzeciwu ulicy

Donaldowi Tuskowi puściły ostatnie hamulce. Opór protestujących i stanowczość prezesa Bogdana Święczkowskiego udaremniły plan wrześniowego przejęcia Trybunału. Uruchomiono więc opcję zastraszania obywateli i eskalację konfliktu. Na razie mamy uderzenia punktowe, ale składają się one na szerszy plan. Chodzi o to, by przedstawić protestujących jako agresorów zagrażających bezpieczeństwu publicznemu, a prezesa TK uznać za nieodpowiedzialnego wichrzyciela, wspierającego anarchię i łamiącego prawo.

Władza szuka skutecznych sposobów pacyfikacji. Było już rozpoznanie bojem, były prowokacje i sianie niepokoju. Dochodziło też do szokujących scen wywlekania z tłumu starszych ludzi. Teraz przyszedł czas na kryminalizację obywateli. Ktokolwiek sprzeciwia się bezprawiu władzy, uznawany jest za wroga państwa. Dokładnie tak, jak za komuny. Donald Tusk wie, że „ulica i zagranica" mają moc. Zagranica jest chwilowo po jego stronie, więc obawia się masowego sprzeciwu ulicy. Brutalna interwencja wobec pana Piotra zamieniła się w pokaz siły, mający wywołać w społeczeństwie głęboki efekt mrożący. Nie bez przyczyny premier rozsiewa histerię i wzmacnia poczucie zagrożenia.

Przesłanie jest czytelne: jeśli odważysz się wyjść na ulicę, by bronić prawa, instytucji i sprawiedliwości, władza może cię osaczyć, pognębić, odrzeć z dobrego imienia i pokazać światu jako terrorystę. Chodzi o to, by złamać narastającą solidarność ludzi wobec bezprawia, by zniechęcić ich do manifestacji i działań obywatelskich. Obojętność wystarcza, by powiódł się proces zniszczenia. Czy Polacy dadzą się zastraszyć? Odpowiedzią niech będą słowa pana Piotra, zapytanego, czy po tej całej traumie zamierza powrócić do protestujących przed TK: „Jeżeli uporządkuję swoje sprawy, a protest będzie trwał, to tak". Manifestacja 17 października pokazała, że walka o przywrócenie prawa i normalności, wbrew staraniom władzy, nie ustanie. Kolejna okazja do wspólnotowego wyrażenia obywatelskiej solidarności już 11 listopada, w Święto Niepodległości.

eprasa.pl b95eb4ceae



To są nasze Termopile. Nie damy się usunąć!

Z Adamem Borowskim, działaczem opozycji niepodległościowej od lat 70., inicjatorem utworzenia miasteczka obrony Trybunału Konstytucyjnego, rozmawia Jerzy Szmit

Jak doszło do założenia miasteczka obrońców Trybunału Konstytucyjnego?

Adam Borowski: Po zajęciu przez władzę Akademii Wymiaru Sprawiedliwości dostałem informację, że rząd Tuska przymierza się do siłowego zajęcia Trybunału Konstytucyjnego. Natychmiast postanowiłem zbudować miasteczko przed Trybunałem. Ponieważ mój Klub Gazety Polskiej i Wolni Polacy posiadamy namioty, następnego dnia rano rozłożyliśmy je przed TK. Obecnym tam rutynowo policjantom powiedziałem, że rozpoczynam spontaniczne zgromadzenie w obronie Trybunału. Jednak policjant nie przyjął zgłoszenia jako zgromadzenia spontanicznego, ale zarejestrował je jako zgromadzenie niezarejestrowane. To było spontaniczne, jednak szybko pojawiły się kolejne namioty. Przyjechali ludzie z Dolnego Śląska i tak się zaczęło. Złożyłem wniosek o zgromadzenie w trybie uproszczonym. Działamy zgodnie z prawem.

Dzisiaj to już prawdziwe miasteczko, żyjące dzień i noc.

Trzon stanowią ludzie z Klubów Gazety Polskiej, Ruchu Obrony Granic i niezrzeszeni. Ale specjalnie, aby nas wesprzeć, przyjechali Polacy z Los Angeles, Alaski, Australii, Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii. Teraz dołączyła Solidarność, a codziennie przyjeżdżają też ludzie z całej Polski. To nas ogromnie podnosi na duchu, dlatego nieustannie prosimy o obecność i wsparcie.

Miasteczko było kilkukrotnie atakowane przez policję.

Dla bezpieczeństwa i porządku, aby działać zgodnie z przepisami, wokół miasteczka postawiliśmy płotki. Zro-

eprasa.pl b95eb4ceae

Tusk z postkomunistami pustoszy i niszczy Polskę. Ja organizuję pokojowy protest przed Trybunałem. To Tusk wywołał wojnę z narodem, łamiąc konstytucję i ustawy. My bronimy wolności



Fot. Andrzej Wiktor

biliśmy to tak, aby jak najmniej utrudniać okoliczny ruch. Bardzo to się nie spodobało warszawskiemu ratuszowi, który kazał policji nas usunąć. Próbowaliśmy negocjować, ale zapadła decyzja o usunięciu nas siłą. Policja przygotowała się logistycznie i ruszyła, aby zlikwidować nasze miasteczko. Nie daliśmy się wypchnąć, obroniliśmy się.

Interwencja policji była bardzo brutalna.

W czasie jednej z takich operacji zostałem przewrócony i, mówiąc wprost, zdeptany. Całe szczęście nie połamano mi żeber, ale mocno mnie stłuczono. Do dzisiaj czuję ból w klatce piersiowej. Każdy, kto miał stłuczone żebra, wie, o czym mówię.

Piszą o panu: działacz opozycji demokratycznej, niepodległościowej w PRL, wydawca, społecznik. Kiedyś była to nieustanna walka z narażaniem zdrowia i życia. A teraz przeżywa pan to samo.

Jesteśmy szczęśliwi, bo doczekaliśmy się niepodległej Polski. Czasami tylko kiepsko wybieramy i oddajemy władzę nikczemnikom i łajdakom. Pan premier Tusk kiedyś powiedział, że jak się wybiera łajdaków, to ma się łajdackie rządy. Twierdził tak w kontekście rządów Zjednoczonej Prawicy. Dzisiaj w ten sposób myślę o rządach Donalda Tuska. Oni nie potrafią rządzić, urządzają tylko polityczne, rozliczeniowe igrzyska. A chleba będzie coraz mniej i będzie coraz droższy.

To nie jest pana pierwszy protest w ostatnich latach.

W grudniu 2023 r. organizowałem sprzeciw wobec nielegalnego zajęcia telewizji, a potem innych instytucji. Te działania władzy były nielegalne, tak jak próba zainstalowania Macieja Berka w Trybunale Konstytucyjnym. Dlatego protestowałem i protestuję.

Przed Trybunałem było jeszcze spektakularne zatrzymanie pana Piotra W. Po aresztowaniu został brutalnie potraktowany w komendzie.

Pretekstu nie było żadnego. Piotr, po pierwsze, był osobą istotną w trakcie organizowania miasteczka, a po drugie, jako młody, wysportowany człowiek burzył narrację o tym, że w miasteczku są sami staruszkowie. Pewnie ponownie uderzyliby we mnie, ale z wielu względów było to dla nich niezręczne. Piotr jest spokojnym, łagodnym człowiekiem, dlatego pewnie kalkulowano, że będzie słabym ogniwem. Ale okazał się mocnym ogniwem i nie uległ brutalnej presji. Po pierwszych nieudanych próbach usunięcia nas jako całości i likwidacji miasteczka zdecydowali się na wyrywanie pojedynczych ludzi. Ze mną już nie próbowali, bo wiedzieli, że nic z tego nie będzie, a jeszcze dużo szumu narobię.

Miasteczka musieliście bronić własnymi ciałami.

Tak, symboliczna jest barierka z biało-czerwoną flagą, która odgradza nas i nasze miasteczko. Podkreślam: nie da się nas zlikwidować, nie da się nas usunąć, będziemy przez cały czas. Można użyć policji i pojedynczo wyciągać nas z tłumu i wywozić. Tylko że wrócimy natychmiast w jeszcze większej liczbie. Nie przestraszymy się, bo wszyscy, którzy tutaj przyjeżdżają, wiedzą, w czym uczestniczą. Od 20 grudnia 2023 r., kiedy broniliśmy Telewizji Polskiej, wyjaśniałem, że my, ludzie wolności, musimy się liczyć z represjami. Mogą nas pobić, aresztować, wsadzić do więzienia czy ukarać grzywnami. Mają różne narzędzia represji: wyrzucą z pracy albo nasze dzieci z przedszkola, zawsze coś wymyślą. Mamy tego świadomość, ale się nie poddamy.

Za panem Piotrem stanęli prawnicy z Ordo Iuris i wyciągnęli go z aresztu, w którym był przetrzymywany i poddawany brutalnej presji psychicznej oraz fizycznej. Na szczęście sąd nie przedłużył aresztu. Przecież tak wyglądały prześladowania opozycji w PRL.

Oczywiście, choć nie porównywałbym naszej sytuacji wprost do PRL.

Raczej do władzy ośmiu gwiazdek?

Po pierwsze, rozmawiamy oficjalnie: nie musieliśmy się kryć w tajnym pomieszczeniu. Ten wywiad zostanie wydrukowany w powszechnie dostępnym, ogólnopolskim tygodniku, a przed drukiem na pewno nie zaniesie pan tekstu do cenzury. Są niezależne media, telewizje, prasa, rozgłośnie. To nie jest jeszcze pełna dyktatura, ale... Proszę sobie przypomnieć wybory prezydenckie, gdy Rafał Trzaskowski, dopytywany przez dziennikarza, oświadczył: „Te wybory są po to, żeby nie można było zadawać takich pytań". Oni tak widzą demokrację.

Jak w stosunku do ludzi w miasteczku zachowują się policjanci, gdy nie ma drastycznych sytuacji?

To są młodzi ludzie i nie mamy z nimi jakichś zadrażnień. Myślę, że zdają sobie sprawę z tego, że sankcjonują bezprawie, ale nie mają na tyle cywilnej

eprasa.pl b95eb4ceae

odwagi albo jeszcze nie przyszedł czas, aby odmówić wykonania rozkazu lub zażądać go na piśmie. Jednak sądzę, że świadomość tego, w czym uczestniczą, w nich jest.

A jak zachowują się oficerowie?

Z obecnymi tutaj oficerami nie mamy żadnego bezpośredniego konfliktu. Są sytuacje, że w rozsądnych granicach nawet się dogadujemy. Zdarzają się prowokatorzy, z którymi musimy zrobić porządek, ale nie możemy ich zatrzymać, wobec tego przekazujemy ich policji. Przecież miasteczko i wszystko, co się wokół niego dzieje, jest stale monitorowane. Problem zapewne ma komenda stołeczna ze względu na naciski polityczne władzy. Przecież stamtąd przychodzą rozkazy, jak się mają zachowywać.

Jak ocenić to, że wasz protest nie otrzymuje jednoznacznego poparcia całej opozycji?

Mamy jednoznaczne i pełne poparcie ze strony Prawa i Sprawiedliwości. Nie spodziewaliśmy się wielkiej pomocy ze strony konfederatów. Oni zachowują się niejednoznacznie. Jeżeli pan Mentzen opowiada, że może potencjalnie ułożyć się z Tuskiem, to co to za opozycja! Tusk jest wrogiem Polski i każdy, kto chce się z nim układać, staje się moim wrogiem. Choć bardzo bym chciał, żeby Konfederacja jednoznacznie opowiedziała się za obozem niepodległościowo-patriotycznym. Rozwój Plus uważa, że Tusk podejmuje te działania, żeby przykryć swoje katastrofalnie nieudolne rządy. Częściowo się z tym zgodzę, ale przede wszystkim to próba podporządkowania sobie Trybunału Konstytucyjnego, a to jest element pozbawiania Polski suwerenności. Jednak Mateusz Morawiecki udowodnił, że potrafi zarządzać gospodarką, i bardzo bym chciał, aby uczestniczył w przyszłym rządzie.

A co z Grzegorzem Braunem?

Nie akceptuję jego związków z Rosją ani zapowiedzi układania dobrosąsiedzkich stosunków z Moskwą. To samo w Sejmie mówił Donald Tusk: o współpracy z Rosją „taką, jaka ona jest". Dla mnie to nie do przyjęcia. Podobnie jak opinie Brauna na temat agresji Rosji na Ukrainę i zaniechania wsparcia dla napadniętego sąsiada.

Co powinna robić opozycja rok przed wyborami?

Powinna się zająć zdobywaniem wyborców. Zbyt wiele jest wewnątrz prawicy utarczek i walk. Prawu i Sprawiedliwości zeszło z 35 na 25 proc., w znacznej części na rzecz Brauna, i to jest pole do pracy oraz szukania nowych wyborców. Według sondaży za KO opowiada się dzisiaj ok. 30 proc. wyborców. Większości na pewno nie przekonamy, ale jeżeli choć 5–10 proc. odwiedziemy od myślenia „niech się wali, niech się pali, niech benzyna będzie po 10 zł, byleby tylko PiS nie rządziło", to sytuacja by się zmieniła. Mamy wielu specjalistów od docierania do ludzi, trzeba ich zebrać i zapytać, jak to zrobić. Wszyscy wiedzą, że sytuacja finansów publicznych jest katastrofalna, tak jak w wielu innych dziedzinach. Przyjmijmy to do serca. Na dziś kluczowa jest obrona Trybunału Konstytucyjnego, bo potem będą chcieli sięgnąć po NBP, a ostatecznie po urząd prezydenta.

> Mogą nas pobić, aresztować, wsadzić do więzienia czy ukarać grzywnami. Mają różne narzędzia represji: wyrzucą z pracy albo nasze dzieci z przedszkola, zawsze coś wymyślą. Mamy tego świadomość, ale się nie poddamy

W czasie wiecu przed TK 18 października został odtworzony utwór o legendarnym na Podhalu żołnierzu niezłomnym Józefie Kurasiu „Ogniu". Jak to należy odczytać?

Puściłem ten utwór przed swoim wystąpieniem, aby uczcić wielkiego bohatera. Jednak też po to, by przypomnieć, że Donald Tusk dla uzyskania władzy porozumiał się z najgorszymi resortowymi siłami, które mordowały i prześladowały polskich patriotów. Tusk zabrał pieniądze onkologii dziecięcej, a ponad 3 mld oddał łobuzom, którzy nas prześladowali i oddali w sowiecką niewolę. Ten utwór powstał niedawno, został napisany przez młodych ludzi. A przecież na Podhalu jest grupa osób, które od początku plują na postać „Ognia", odbierają mu wszelką godność, nazywając go mordercą. Prezentując ten utwór, pokazałem go jako człowieka niezłomnego, gotowego walczyć o wolną Polskę do ostatniej kropli krwi. Chciałem tym zagrzać do walki, bo to walka o rzeczy najważniejsze, lecz także przypomnieć, że nadal rządzą nami resortowe dzieci, np. Marcin Kierwiński, syn generała LWP Andrzeja Kierwińskiego.

W swoim wystąpieniu powiedział pan również, że idzie na wojnę z Tuskiem.

Tusk z postkomunistami pustoszy i niszczy Polskę. Ja organizuję pokojowy protest. To Tusk wywołał wojnę z narodem, łamiąc konstytucję i ustawy. Jaruzelski wyprowadził na ulicę czołgi, a ta wojna to jest wojna pełzająca, dokonywana nie jednym aktem woli, ale kolejnymi aktami przemocy. Tusk sprawdza, ile polskie społeczeństwo może jeszcze wytrzymać napięcia i nacisku. Myślę, że doszliśmy do takiego miejsca, że nie mamy się dokąd cofnąć. Trybunał Konstytucyjny to nasze Termopile, które musimy obronić. Musimy obalić rząd Tuska, obalić kartką wyborczą. Donald Tusk wypowiedział swojemu narodowi wojnę, mówiąc, że on będzie stosował prawo tak, jak on je rozumie. Nie tak, jak zostało napisane, i nie tak, jak przyjęliśmy w referendum konstytucyjnym. Na to nigdy nie będzie zgody.

eprasa.pl b95eb4ceae

Pragmatyzm zamiast podziałów



Zjednoczenie prawicy nadal wygląda na temat abstrakcyjny. Do opinii publicznej docierają sprzeczne sygnały: czasem deklaracje o chęci współpracy, a częściej wzajemne docinki i ataki. Jednocześnie są już przypadki cichej, całkiem zgodnej współpracy. Całość można podsumować następująco: o tym zjednoczeniu zdecyduje bardziej wola wyborców niż decyzje liderów



PIOTR GURSZTYN

Temat zjednoczenia prawicy pojawia się i znika niemal od zawsze. Mowa o różnych konfiguracjach: ponownym zejściu się PiS i Rozwoju Plus, a także o współpracy partii Jarosława Kaczyńskiego i Konfederacji.

Teraz wokół tej sprawy zrobiło się głośniej po nadzwyczaj pojednawczych słowach prezesa PiS, wygłoszonych w krakowskiej Hali Sokoła. Swoje przemówienie Kaczyński zaadresował do „wszystkich polskich sił patriotycznych". „Będziemy dążyli do tego, by powstała zjednoczona prawica w tej szerokiej formule, ale jeżeli to by się nie udało, nie daj Panie Boże, to także w tej węższej. Bo tylko zjednoczona prawica może pokonać tych, którzy dziś nie tyle Polską rządzą, tylko tych, którzy Polskę rujnują, niszczą" – mówił szef największej partii opozycyjnej.

Te słowa zostały odebrane jako coś nowego, bo odbiegają od tonu szeregu polityków PiS wypowiadających się o Rozwoju Plus. Widoczna jest coraz bardziej negatywna emocja, wręcz chęć „dojechania" grupy Morawieckiego. Zwłaszcza że jej ostatnie słabe notowania ośmielają do takich działań.

TRZY ZNAKI W HALI SOKOŁA

Jarosław Kaczyński zaproponował stworzenie wspólnej listy patriotycznej. Mówił o „szerokiej formule", a także „węższej". Patrząc na naszą scenę polityczną, nie da się tego zrozumieć inaczej jak propozycji dwóch wariantów. Szersza – to oferta skierowana do Konfederacji, a przynajmniej Ruchu Narodowego. Węższa – to zapowiedź tego, że możliwe jest pojednanie z Mateuszem Morawieckim i jego środowiskiem. Słowom prezesa PiS towarzyszyło wiele gestów, które można nazwać przekazem niewerbalnym, całkowicie spójnym z wypowiedzią Kaczyńskiego. Ba, wzmacniającym pojednawczą narrację.

Po pierwsze, to miejsce do wygłoszenia tych słów – Kraków tuż po przegranej Koalicji Obywatelskiej. Dosłownie traktując wynik tamtych wyborów: nie były sukcesem PiS w kategoriach *stricte* partyjnych. Mimo dobrego kandydata i sprawnej kampanii okazało się, że formacja jest w regresie. Przy czym pewną pociechą jest to, że i tak wypadła lepiej niż prawicowa konkurencja. Ale widać przy tym, że w nowej optyce Jarosława Kaczyńskiego to kwestia drugorzędna. Prezes PiS podpisuje się pod coraz bardziej nośnym hasłem „Każdy, byle nie Tusk".

Drugim znakiem był wybór Hali Sokoła. Miejsca szczęśliwego dla PiS, bo tam zaprezentowano dwie zwycięskie kandydatury prezydenckie. Najpierw Andrzeja Dudy, potem Karola Nawrockiego. A to znaczy, że Jarosław Kaczyński zlekceważył przekaz wielu mediów, iż dynamiczny i ekspansywny prezydent zdetronizował go z roli lidera prawicy. Wbrew oczekiwaniom nieżyczliwych mediów spokojnie zaakceptował rosnącą rolę prezydenta, a to on może być jedynym skutecznym jednoczycielem prawicy.

Fot. TomaszKudala/Shutterstock.com

eprasa.pl b95eb4ceae

Wreszcie trzeci znak – wyeksponowanie Beaty Szydło. Tu jest przekaz wielowątkowy, w tym skojarzenia z wprowadzeniem 500+. Niektórzy obserwatorzy twierdzili, że to na kontrze do Morawieckiego. Na zasadzie takiej, że rządy Szydło były dobre, a Morawieckiego to popsuły. Zapomnieli jednak o tym, że niedawno to Szydło głośno broniła Morawieckiego i całą jego grupę w momencie kryzysowym, czyli wtedy, gdy rozstrzygało się ich członkostwo w PiS. Czy zatem Szydło ma być gwarancją bezpiecznego powrotu Rozwoju Plus do PiS lub przynajmniej połączenia sił?

W tej chwili Mateusz Morawiecki jest w trudnej sytuacji. Źle wyglądają sondaże jego grupy. Mimo rzeczywiście intensywnej pracy Rozwój Plus spadł do poziomu PSL lub Polski 2050. Zaczyna stać przed następującym wyborem: albo strata kolejnych posłów pojedynczo przejmowanych przez PiS albo dogadanie się na jakiś akceptowalny przez obie strony kompromis. Jako znak niepalenia mostów można odebrać decyzję Morawieckiego o nieprzekształcaniu stowarzyszenia Rozwój Plus w partię. To oczywiście może być tylko kalkulacja wynikająca ze słabego startu nowej inicjatywy i jej buksowania. Ale jeśli zapadnie obopólna decyzja o reintegracji z PiS, to stowarzyszeniu będzie łatwiej wrócić niż partii.

Pomocna może tu być postawa prezydenta, który nie godzi się na wyeliminowanie z polityki wielu postaci z kręgu Morawieckiego. Łącznie z byłym premierem, który mocno angażował się w kampanię Karola Nawrockiego.

Reintegracji PiS służą też okoliczności, które można nazwać zewnętrznymi. To cała dynamika polskiej polityki ze szczególną rolą agresywnych działań premiera Donalda Tuska i jego ekipy. Nawet stosunkowo drobne wydarzenie, jak wniosek w sprawie odebrania immunitetu Danielowi Obajtkowi, ma takie znaczenie. Były prezes Orlenu został w PiS, ale znane są jego bardzo bliskie relacje z Morawieckim. Obajtek, podobnie jak Szydło, był jednym z najgłośniejszych adwokatów Morawieckiego w momencie rozłamu. Ściganie go przez Waldemara Żurka uderza tak samo w PiS, jak w Rozwój Plus.

Kluczową sprawą w naszym temacie jest jednak Trybunał Konstytucyjny. W sobotę 17 października nastąpił zgrzyt, gdy zwołana przez PiS manifestacja pokryła się z konwencją Rozwoju Plus. *Post factum* widać, że błędem było niezgranie tych terminów. Frekwencja była słaba. Prawdopodobnie także z powodu kłótni obu środowisk. Jakaś grupa prawicowych wyborców mogła zlekceważyć wezwania do obecności przed TK, wychodząc z założenia, że sytuacja nie jest tak groźna, skoro reprezentujący ich politycy mają czas na podjazdowe wojenki. Tu wracamy do sytuacji z lata br., gdy Kaczyński wzywał niektórych polityków swojej partii do wypicia szklanki wody zamiast wszczynania kłótni, a oni to zlekceważyli. Przy czym owym zagończykom trzeba zwrócić uwagę, że jeszcze bardziej lekceważą swoich wyborców, którzy tych sporów nie chcą. Najlepszym tego symbolem jest obecność przed TK Adama Borowskiego, który przez cały czas ma bliską relację z Morawieckim i jego środowiskiem.

PRZETASOWANIA W KONFEDERACJI

Próba przejęcia przez władzę Trybunału Konstytucyjnego w pewnym stopniu wpłynęła na postawę Konfederacji. Nie tylko polityków, lecz także ich wyborców, co można sprawdzić w mediach społecznościowych. Nie jest to zmiana rewolucyjna i w niektórych przypadkach była to chyba przejściowa emocja, a nie powód do głębszej refleksji. Jednak wielu działaczy i sympatyków Konfederacji z uwagą przyglądało się wydarzeniom wokół TK. Coraz bardziej było widać, po czyjej stronie zaczynają lokować swoje sympatie. I na pewno nie jest to obóz rządowy.

> Wybory uzupełniające do Senatu w Lubuskiem 22 listopada będą dla prawicy poligonem, sprawdzianem przed wielkim wyzwaniem, jakim ma być pakt senacki organizowany przez ośrodek prezydencki

Czy papierkiem lakmusowym nie jest tutaj Ewa Zajączkowska-Hernik? Kiedyś wygłupiła się z ośmioma gwiazdami na bluzie. Teraz jednak jest coraz ostrzej antyrządowa, i to w tonie zbliżonym do narracji PiS. Buduje własne środowisko, musi zbierać ludzi wokół siebie i widać, że hasła antyrządowe są bardziej nośne niż dawny slogan „PiS-PO – jedno zło".

Drugie pytanie dotyczy tego, czy nadal aktualne są scenariusze zakładające obrotowość Sławomira Mentzena? Niedawno tygodnik „Polityka" pisał, że lider Nowej Nadziei dąży do tego, aby móc zawierać koalicje tak samo z Tuskiem, jak z prawicą. Brzmi to dziwnie, bo wszystkie badania opinii publicznej pokazują, że większość elektoratu Konfederacji ocenia premiera coraz bardziej negatywnie. Taka jest też ogólna dynamika naszego życia gospodarczo-społecznego. Rząd Tuska nie dość, że nie dowozi żadnych ważnych tematów, to jeszcze dużo psuje i drażni tym obywateli mniej zainteresowanych polityką.

W życiu politycznym logika i racjonalność niekiedy przegrywają z błędnymi wizjami i egocentrycznym zaślepieniem poszczególnych polityków. Mentzen ostatnio ma złą passę, jeśli chodzi o jego przekaz do opinii publicznej. Weźmy np. drwiny z kobiet służących w policji czy atak na prezydenta za podpisanie ustawy podnoszącej akcyzę na e-papierosy. Nie pomaga mu „ukąszenie korwinowskie", przez co znów wracają dowcipy o odpalaniu „protokołu 4 procent". Tym razem przez Mentzena.

To przyczyny tego, że Sławomir Mentzen nie dominuje – tak jak do tej pory – nad Krzysztofem Bosakiem. Sondażownia OGB niedawno pytała, do kogo poszliby wyborcy Konfederacji, gdyby tam doszło do rozłamu – 60 proc. byłoby za Bosakiem, a 40 proc. za Mentzenem. To odwrócenie dotychczasowych proporcji. Ten sam sondaż zawierał

eprasa.pl b95eb4ceae

jeszcze jedno ciekawe pytanie. Wyborcy o poglądach prawicowych zostali poproszeni o odpowiedź, kogo uważają za lidera swojego nurtu. Bardzo wyraźnie wygrał Krzysztof Bosak – 49,6 proc. wskazań. Jarosław Kaczyński uzyskał 35,5 proc., a Mateusz Morawiecki 29,9 proc. Relatywnie wysoko znalazł się Grzegorz Braun z 28,4 proc. odpowiedzi, a na samym dole Mentzen z 27,5 proc. zwolenników.

Ryzykowne wydaje się budowanie daleko idących prognoz na podstawie tego jednego badania. Wadą jest nieuwzględnienie w nim Karola Nawrockiego jako obecnie najważniejszego ośrodka na prawicy. Jednak w tym sondażu widać potwierdzenie pewnych trendów. Dość podobnie układają się sondaże zaufania.

Także wyniki partyjnego exit poll w Krakowie (po wyborach uzupełniających) czy słaba frekwencja przed TK wskazują, że wyborcy prawicy chcą jakiejś zmiany.

Dotychczasowi liderzy prawicy nie potrafią opanować tej dynamiki. Również beneficjent sondażu Krzysztof Bosak jest niesiony na tej fali, ale ma na nią mocno ograniczony wpływ. Jedyną osobą, która ma pewną zdolność kierowania nastrojami wyborców prawicy, jest prezydent. A i tak to dynamika trudna do przewidzenia i opanowania.

Nastroje społeczne są w ogóle złe. W Krakowie osoby ankietowane w większości wskazywały na pogarszającą się sytuację materialną. Rząd próbuje od tego odwrócić uwagę przez wywoływanie kolejnych awantur i ciągłe konflikty z prezydentem. A i tak doniesienia teoretycznie mało polityczne – jak rabunek zwierząt z prywatnego zoo w Łącznej, rodząca kobieta wyrzucona z SOR, kompromitacja policji w związku z zatrzymaniem uczestnika manifestacji przed TK – to wszystko idzie na konto rządu. A władza zazwyczaj nie reaguje, udając, że jej to nie dotyczy. To praktyka inna niż w czasach rządów PiS, w których w analogicznym przypadku ministrowie odpowiadający za dane sprawy z miejsca urządzaliby serię konferencji prasowych, wysyłali kontrole i zapowiadali zmiany.

POLIGON W LUBUSKIEM

Niska jakość rządów Tuska plus zwykły upływ czasu dezaktualizują dawne hasło Konfederacji „PiS-PO – jedno zło". Konfederacja może być zła na polaryzację polityczną, ale nie może być obojętna na emocje, które udzielają się nie tylko wyborcom PiS czy KO. Atmosfera sprzyja działaniom, jeśli nie zjednoczeniowym, to przynajmniej koordynacji poczynań i zaprzestaniu wzajemnych ataków. Tego drugiego nadal nie ma, ale to pierwsze zaczęło już się dziać.

Kraków był pierwszym testem. Jeśli była tam jakaś wojna podjazdowa między prawicami, to opinia publiczna jej nie zauważyła. Teraz będzie drugi test. 22 listopada w województwie lubuskim odbędą się wybory uzupełniające po śmierci senatora Mirosława Różańskiego. Strona rządowa wystawiła wdowę po nim, Zdzisławę. PiS porozumiało się z Konfederacją i aktywnym tam środowiskiem Ewy Zajączkowskiej-Hernik. Wszyscy mają poprzeć Janusza Kubickiego. To były wieloletni prezydent Zielonej Góry. Co ciekawe, wywodzi się z Lewicy, więc znów zwyciężył pragmatyzm hasła „Każdy, byle nie Tusk". Do porozumienia jednak nie przystąpiła partia Grzegorza Brauna, która poparła kandydata startującego formalnie z własnego komitetu.

Lubuskie jest teraz przez wszystkich traktowane jako poligon. Także jako sprawdzian przed wielkim wyzwaniem, którym ma być pakt senacki organizowany przez ośrodek prezydencki. Pojawiły się pierwsze doniesienia o tym, jaki miałby być podział mandatów między uczestnikami. Zaproponować to miał pałac – jeśli chodzi o okręgi uznawane przez prawicę za „biorące" (zatem nie sumuje się to do 100). PiS miałoby dostać 17 miejsc, Rozwój Plus 6–7, Konfederacja 9–10, partia Brauna – 4. A kilkanaście obsadziłby prezydent.

> Braun jest dużo bardziej przeszkodą niż partnerem do jakiejkolwiek rozmowy. Sztuka będzie polegała na tym, żeby go tak ominąć, aby on sam to zaakceptował

To doniesienia Onetu, więc trzeba do nich podejść z ogromną ostrożnością. Ciekawe za to były publiczne komentarze senatorów PiS na tę rzekomą propozycję. To oni musieliby się najbardziej posunąć i byliby najbardziej stratni. Tymczasem ich wypowiedzi są spokojne, wskazujące nie tylko na zrozumienie idei tego paktu, lecz także gotowość do poważnych ustępstw.

W tym miejscu dochodzimy do najtrudniejszej dla prawicy sprawy. Co z Grzegorzem Braunem? A właściwie jego wyborcami, bo brodaty akwizytor kubeczków, filmów i propagator sprowadzania taniej siły roboczej z Azji jest dużo bardziej przeszkodą niż partnerem do jakiejkolwiek rozmowy. Sztuka będzie polegała na tym, żeby go tak ominąć, aby on sam to zaakceptował.

Będzie to trudne. Nie wiadomo, czy możliwe. Prezydent nie może zlekceważyć wyborców Brauna, bo oni będą mu potrzebni do reelekcji w 2030 r. Partie mają inną kalkulację. Zwłaszcza PiS, Morawiecki również. Spora część ich elektoratu, jak najbardziej prawicowego, reaguje na Brauna wręcz wrogo. Jest ryzyko, że wystawienie w jakimś okręgu senackim kandydata od Brauna, który będzie nie do zaakceptowania przez większość wyborców prawicowych, spowoduje, że oni nie oddadzą swojego głosu w wyborach do Senatu. A wtedy, tak czy owak, wygra kandydat Tuska.

To trudna rzecz dla prezydenta i innych partii. Wspomniane wyżej badanie OGB wskazuje na dużą akceptację Brauna wśród wyborców prawicowych. Szczególnie mocne na terenach wiejskich. Drugą okolicznością jest to, że straszenie Braunem będzie leitmotivem kampanii strony rządowej. Ale jest i trzecia: doświadczenie z kilku krajów europejskich pokazuje, że nie działa idea kordonów sanitarnych wokół dużych grup wyborców.

eprasa.pl b95eb4ceae



Większość egzotycznie wyglądających cudzoziemców, których napotykamy dzisiaj na ulicach polskich miast i miasteczek, to ludzie, którzy przebywają w Polsce całkowicie legalnie – z ważną wizą i pozwoleniem na pracę. To wielki imigracyjny biznes, z którym rząd Tuska wcale nie walczy

Drugi Paryż w Warszawie



KONRAD KOŁODZIEJSKI

„Polska nie powtórzy błędów innych europejskich państw, nie będzie też za nie płacić. Twardo bronimy granicy przed nielegalną migracją, mamy własną politykę azylową (nie przyjmujemy wniosków), deportujemy tych, którzy łamią polskie prawo. W kwestii bezpieczeństwa będziemy bezwzględni" – zapowiedział tydzień temu Donald Tusk.

Jego wpis na platformie X pojawił się w kontekście fali zamieszek, która w tym samym czasie przetoczyła się przez francuskie miasta. Tusk uwielbia wykorzystywać takie sytuacje propagandowo. Dzięki temu bez ponoszenia żadnych kosztów może się ustawiać w roli „mocnego człowieka z zasadami" lub „ostatniego sprawiedliwego", który – w tym konkretnym przypadku – broni własnego kraju (a może nawet i Europy) przed samozagładą.

Rozsądni ludzie w Polsce zdają sobie sprawę z tego, że jest to typowa dla tego polityka paplanina bez pokrycia w faktach. Jednak w Europie retoryczne popisy Tuska zdobyły duży aplauz, o czym może świadczyć liczba polubień jego wpisu, która przekroczyła 150 tys. Polska zyskała na Zachodzie wizerunek oazy spokoju i choć w żadnym wypadku nie jest to zasługa Tuska, uwielbia on przedstawiać się światu jako autor tego sukcesu i przyjmować z tego powodu wyrazy uznania.

Złośliwi natychmiast przypomnieli Tuskowi jego inny wpis – sprzed czterech lat – gdy po zwycięstwie Emmanuela Macrona wyrażał nadzieję, że „już niedługo nadejdzie taki dzień, że będziemy mieli Paryż w Warszawie". „Myślę, że najważniejszym wyzwaniem dla Polski na najbliższe 20 lat jest to, abyśmy nie mieli Paryża w Warszawie" – zareagował na to Krzysztof Stanowski.

CORAZ BARDZIEJ KOLOROWO

Przy obecnej polityce rządu sprostanie temu wyzwaniu może się jednak okazać bardzo trudne. Tusk mówi

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl b95eb4ceae



wprawdzie, że „twardo" broni Polski przed nielegalną imigracją, ale to nie ona jest w tej chwili naszym największym problemem. Większość egzotycznie wyglądających cudzoziemców, których napotykamy dzisiaj na ulicach polskich miast i miasteczek, to ludzie, którzy przebywają w Polsce całkowicie legalnie – z ważną wizą i pozwoleniem na pracę. To pogoń za zyskiem nakręca imigracyjną spiralę w Polsce. Rodzimi przedsiębiorcy i zagraniczne korporacje po całym świecie szukają taniej siły roboczej, bo chcą w ten sposób zaoszczędzić na kosztach pracy. A pomagają im w tym wyspecjalizowane agencje. To wielki imigracyjny biznes, z którym Tusk wcale nie walczy.

Od tego samego zaczęły się obecne kłopoty Europy Zachodniej. Pół wieku temu nie było przecież nielegalnej imigracji na dużą skalę. Było za to stopniowe sprowadzanie cudzoziemców do nisko płatnej pracy. Najpierw z ówczesnych peryferiów Zachodu – z południowych Włoch, Portugalii i Bałkanów. Potem z Turcji, a na koniec z dawnych kolonii rozsianych po całym świecie.

Imigranci zarobkowi ciężko pracowali, początkowo nie sprawiając kłopotów gospodarzom. Z czasem zakładali lub ściągali rodziny i osiedlali się na stałe, tworząc zwarte, rozrastające się społeczności – odrębne kulturowo wyspy na mapie Europy. Te wyspy nie asymilowały się z otoczeniem, przeciwnie – wraz ze wzrostem swojej liczebności dokonywały ekspansji, przejmując coraz więcej przestrzeni. Nielegalna imigracja, z którą od ponad dziesięciu lat mamy do czynienia na dużą skalę, jedynie przypieczętowała i tak już nieuchronną katastrofę.

W tej chwili w Polsce jesteśmy u progu tego samego procesu. Kryzys demograficzny przybiera już rozmiary narodowej katastrofy, a liczba zarobkowych imigrantów z odległych zakątków świata przez cały czas wzrasta, napędzana przez przedsiębiorców szukających łatwego zysku. Polacy nie chcą już zasuwać za „miskę ryżu", a i Ukraińców gotowych do pracy za grosze też jest coraz mniej, rośnie więc popyt na egzotyczne nacje.

Pokazują to nawet rządowe statystyki, według których od 2023 r. zwiększa się liczba decyzji pobytowych wydanych m.in. dla obywateli Kolumbii, Bangladeszu i Zimbabwe. I choć, jak wskazują zwolennicy rządu, ogólna liczba takich decyzji utrzymuje się na – mniej więcej – stałym poziomie ok. 350 tys. w roku, to istotny jest inny parametr: jaką część tej grupy stanowią przyjezdni z dalekich stron. I gdy spojrzymy na to z tej strony, okaże się, że egzotycznych cudzoziemców stale przybywa, głównie kosztem Ukraińców i Białorusinów, których z kolei jest coraz mniej. Dzięki temu ogólna liczba zezwoleń na pobyt wprawdzie nie rośnie, ale za to zwiększa się w niej udział imigrantów z odległych krajów.

Propaganda Tuska takich szczegółów nie podaje. Czytamy jedynie uspokajające komunikaty, że imigracja utrzymuje się na niezmienionym poziomie. To prawda, tyle że w ostatnim czasie nabrała znacznie bardziej egzotycznego charakteru niż kiedyś, gdy zdecydowanie dominowali przyjezdni z Ukrainy.

OBROTOWY TUSK

Tydzień temu Donald Tusk nagrał wypowiedź dla mediów społecznościowych, w której zapewniał o swojej determinacji w obronie polskich granic przed nielegalną imigracją. „Polska granica lądowa stała się najlepiej, najskuteczniej chronioną granicą w całej Europie. Dlatego nie boimy się takich obrazków, jakie widzieliśmy ostatnio w wielu europejskich stolicach" – stwierdził. Jego zdaniem PiS za swoich rządów „wszystko schrzaniło". W 2022 r. – wyliczał – doszło do ponad 20 tys. nielegalnych przejść przez granicę z Białorusią. Tymczasem w tym roku służby zarejestrowały zero takich przypadków. „Ile my musieliśmy naprawić, żeby polska granica była szczelna i bezpieczna" – lamentował.

Nie jest żadną nowością to, że Tusk potrafi zmienić swoje zdanie o 180 stopni. Tak jest również z nielegalnymi imigrantami, którzy – w trakcie wojny hybrydowej na granicy z Białorusią – byli dla niego „biednymi ludźmi, którzy szukają swojego miejsca na ziemi", aby wkrótce po przejęciu przez niego rządów stać się „zorganizowanymi grupami młodych, agresywnych mężczyzn".

Także w tym przypadku Tusk przypisuje sobie cudze zasługi. Falę nielegalnych imigrantów udało się zatrzymać dopiero dzięki budowie przez pisowski rząd zapory na granicy, czemu on wówczas ostro się sprzeciwiał. Dzisiejszy spokój wynika zaś nie tyle z jakiejś nadzwyczajnej skuteczności obecnego rządu, ile raczej z wyhamowania inwazji przez reżim Łukaszenki. Nieprawdą jest również twierdzenie premiera, że Polska nie przyjmuje wniosków azylowych – w samym pierwszym półroczu 2026 r. przyjęliśmy ich ok. 2,6 tys.

Tusk nie byłby jednak sobą, gdyby nie posłużył się imigracją do uderzenia w poprzedników. „Rząd PiS otworzył bramy Polski dla wszystkich migrantów najszerzej ze wszystkich państw europejskich" – oświadczył. Tego rodzaju przerysowania oczywiście go ośmieszają, bo gdyby literalnie przyjąć jego słowa, to należałoby uznać, że nikt inny – nawet Angela Merkel – nie wpuścił do kraju tylu imigrantów, ile wpuścili pisowcy.

W rzeczywistości zdecydowany skok imigracji nastąpił w 2022 r., gdy wydano 303 tys. pozwoleń na pobyt czasowy wobec 197 tys. rok wcześniej. Był to początek wojny w Ukrainie. Trudno uwierzyć, że ktoś może mieć aż tak krótką pamięć, aby zupełnie już zapomnieć o dziesiątkach tysięcy ludzi uciekających wówczas do Polski przed wojną.

Znacznie ciekawsze są za to dane z ubiegłego roku, gdy po raz pierwszy w pierwszej piątce ubiegających się o pobyt czasowy znaleźli się przybysze z Indii oraz Kolumbii. Tak się złożyło, że w tym czasie rządy w Polsce sprawował i nadal sprawuje Donald Tusk. I to jego urzędników należałoby zapytać, dlaczego sprowadza się do Polski coraz więcej imigrantów z Azji i Ameryki Łacińskiej.

KOLEJNI PRZYBYWAJĄ

Ze statystyk ZUS wynika, że w ostatnim dniu września br. pracowało w Polsce 1366 tys. obcokrajowców, z czego większość stanowili Ukraińcy. Według tych danych liczba cudzoziemców przez cały czas rośnie. W 2020 r.

eprasa.pl b95eb4ceae

było ich 725 tys., w 2022 r. – 1063 tys., w 2023 r. – 1128 tys., w 2024 r. – 1193 tys., a w 2025 r. – 1290 tys. Zmiana władzy w 2023 r. niczego tu nie zmieniła, przeciwnie – trend wzrostowy się utrzymuje.

Stały wzrost liczby zatrudnionych cudzoziemców w Polsce potwierdzają też informacje GUS. Z danych za marzec 2026 r. wynika, że liczba pracujących obcokrajowców była wyższa o 8 proc. niż w analogicznym okresie ub.r. Oprócz Ukraińców najczęściej zatrudniano Białorusinów, Hindusów, Gruzinów, Filipińczyków, Kolumbijczyków i Nepalczyków.

Najszybciej wzrosła w tym okresie liczba pracowników z Indii, którzy awansowali na trzecie miejsce, oraz z Kolumbii – skok z 5,2 tys. osób pod koniec 2023 r. do 23,2 tys. w czerwcu 2026 r. (dane ZUS). Są to osoby opłacające składki ubezpieczeniowe. Gdybyśmy zaś liczyli populację Kolumbijczyków według liczby wydanych im zezwoleń na pracę, skok byłby jeszcze większy – z 4,1 tys. w 2022 r. do 37,3 tys. w 2025 r. Przy czym zezwolenie nie jest tożsame z pracownikiem – jedna osoba może mieć kilka zezwoleń u różnych pracodawców, a część dokumentów nigdy nie zostaje wykorzystana. Podane statystyki nie obejmują oczywiście osób pracujących nielegalnie. W przypadku wspomnianych Kolumbijczyków chodzi o kilka tysięcy osób – tak przynajmniej wynika z cząstkowych danych Straży Granicznej.

Dane są nieubłagane. Wbrew zaklęciom Tuska imigracja do Polski – zwłaszcza ta z egzotycznych krajów – ciągle rośnie. Zresztą widzi to chyba każdy, kto przejdzie się ulicami polskich miast.

NAGANIACZE IMIGRACJI

Wszystko to prowadzi nas do wniosku, że głównym zagrożeniem dla Polski nie są w tej chwili ani nielegalna imigracja, ani osławione pushbacki, ani nawet pakt migracyjny, lecz sprowadzanie imigrantów zarobkowych do nisko płatnej pracy.

To bardzo dochodowy biznes, na którym duże pieniądze zarabiają agencje pośrednictwa pracy. W zagranicznych mediach społecznościowych, zwłaszcza w Azji, można natrafić na wiele reklam agencji, które oferują legalne zatrudnienie w Polsce. Pośrednicy zbierają zapotrzebowanie od polskich przedsiębiorstw, najczęściej z branży przetwórstwa mięsnego i spożywczego, logistyki, transportu lub budownictwa, a potem werbują pracowników w Azji lub Ameryce Południowej. Załatwia się dla nich wizy i pozwolenia na pobyt. Liczba składanych wniosków jest tak duża, że w wymaganym terminie urzędy nie są w stanie ich skrupulatnie sprawdzić. W ten sposób do Polski może się prześlizgnąć niemal każdy. Wielu, zwłaszcza Kolumbijczyków, dzięki strefie Schengen dociera do nas bezpośrednio z Hiszpanii, która za sprawą proimigracyjnej polityki tamtejszego rządu stała się największym rezerwuarem Latynosów w Europie.

> Z danych za marzec 2026 r. wynika, że liczba pracujących obcokrajowców była wyższa o 8 proc. niż w analogicznym okresie roku poprzedniego

Inną drogą, szeroko opisywaną w mediach, jest ściąganie imigrantów pod pretekstem podjęcia przez nich studiów wyższych. W Polsce powstały dziesiątki „uczelni prywatnych", stworzonych głównie po to, aby zarabiać na rzekomych studentach. Ten szlak jest szczególnie popularny wśród przyjezdnych z Afryki. Właśnie „studiami" należy tłumaczyć nagły skok imigracji z Zimbabwe, który obserwujemy w ostatnich latach. Z tego powodu obywatele tego odległego państwa są już trzecią najliczniejszą grupą cudzoziemców na Lubelszczyźnie, ustępując jedynie Ukraińcom i Białorusinom.

BIZNES SAMOZAGŁADY

Ukraińców jest jednak w Polsce coraz mniej, na co wskazują najnowsze dane Eurostatu. Wynika z nich, że we wrześniu liczba obywateli Ukrainy objętych u nas ochroną międzynarodową miała spaść do 858 tys., a więc aż o 81 tys. osób w stosunku do poprzedniego miesiąca. Ten trend wyraźnie niepokoi naszych przedsiębiorców, którzy przyzwyczaili się już do mniej wymagającej siły roboczej. Nic więc dziwnego, że Ukraińcy coraz częściej są zastępowani Latynosami i Azjatami, a popyt na pracowników z dalekiego świata ciągle rośnie. Ucieszyło to niektórych polityków od Brauna, którzy – jak wynika z nagrań ujawnionych przez Bartłomieja Graczaka z PRZEkanału – chętnie zastąpiliby Ukraińców Hindusami. Śniadolicy pracownicy mają się stać ostatnią nadzieją polskiego biznesu, który gotów jest ściągnąć do pracy każdego, komu nie trzeba będzie podnosić zarobków.

„U nas na Południowym Podlasiu bardzo wiele biznesów padnie, bo nie ma komu ich zastąpić. Polaków nie ma, a ci, co są, nie chcą pracować np. w pieczarkarniach. Szkoda mi sąsiada – rolnika, który zatrudnia 500 Filipińczyków i 300 Ukraińców" – napisał na platformie X prezes Związku Przedsiębiorców i Pracodawców Cezary Kaźmierczak.

Jego wpis wywołał mnóstwo ostrych reakcji. Zwrócono uwagę na to, że przedsiębiorcy proponują Polakom głodowe stawki za niezwykle ciężką pracę, nic więc dziwnego, że brakuje im chętnych. „Taki przedsiębiorca, który zatrudnia tylko Filipińczyków i Ukraińców, jest Polsce niepotrzebny i dla Polski szkodliwy. Prywatyzuje zyski, a koszty imigracji są nacjonalizowane i spadają na społeczeństwo. Najlepiej jakby upadł albo się wyprowadził" – komentował jeden z internautów. A inny zauważył, że podobnie myślący przedsiębiorcy we Francji sprowadzili na swój kraj ogromne kłopoty. „Oni też mówili podobnie, że nie miał kto u nich zbierać winogron" – podsumował.

Trudno się z tym nie zgodzić. Społeczeństwo nie może dłużej być zakładnikiem partykularnych interesów biznesu, bo wszystko skończy się tak samo jak we Francji. A życzenie Tuska, abyśmy mieli drugi Paryż w Warszawie, stanie się brutalną rzeczywistością.

eprasa.pl b95eb4ceae

Szpitalny horror

Dziecko, które umiera po przewiezieniu do szpitala. Kobieta, która spędza niemal dwie doby na SOR i umiera. Młody człowiek, który błaga o dializę, ale jej nie otrzymuje. To tylko kilka głośnych historii z polskich szpitali z ostatnich kilku tygodni. Kolejne dramaty pacjentów odsłaniają słabość systemu, który w teorii ma chronić ludzkie życie. Czy pacjent może jeszcze wierzyć, że gdy trafi do szpitala, ktoś rzeczywiście zrobi wszystko, by go uratować?



DOROTA ŁOSIEWICZ

Fot. Shutterstock

Historię małego Kacpra zna chyba każdy. 3,5-letni chłopiec trafił karetką z Warszawy do Szpitala Zachodniego w Grodzisku Mazowieckim. Mimo reanimacji dziecko zmarło na oczach ojca. Początkowo lekarze brali pod uwagę zakażenie meningokokami, jednak sekcja zwłok wykazała inną przyczynę: zadzierzgnięcie jelita połączone z martwicą. Niestety, nie wykonano USG. Prokuratura bada okoliczności śmierci chłopca, a placówkę kontroluje Narodowy Fundusz Zdrowia.

Problemy z opieką nad najmłodszymi pacjentami sygnalizowano już rok wcześniej. Dyrekcja szpitala ostrzegała, że bezpieczeństwo dzieci wymaga odpowiedniej obsady specjalistów i zaplecza chirurgii oraz ortopedii dziecięcej. Czy szpital może skutecznie ratować pacjentów, jeśli sam wcześniej alarmuje o ograniczeniach, które mogą zagrażać ich życiu?

46 GODZIN NA SOR

67-letnia Maria, chorująca na szpiczaka mnogiego i przechodząca chemioterapię, trafiła do Szpitala Wojewódzkiego w Poznaniu z biegunką, wymiotami i odwodnieniem.

eprasa.pl b95eb4ceae

Na SOR spędziła ponad 46 godzin. Według relacji syna przebywała w dusznym pomieszczeniu, bez dzwonka przywoławczego. Stan kobiety stopniowo się pogarszał. Dopiero po interwencji rodziny pacjentka trafiła na oddział, gdzie lekarz ocenił jej stan jako skrajnie krytyczny. Następnego dnia Maria zmarła. Szpital utrzymywał, że diagnostyka i leczenie były adekwatne do rozpoznanego stanu klinicznego. Sekcja zwłok nie pozwoliła jednoznacznie ustalić przyczyny śmierci. Sprawą zajęły się prokuratura i Rzecznik Praw Pacjenta.

PORÓD, KTÓRY MIAŁ SIĘ ODBYĆ W SZPITALU

Wiktoria, będąca trzy dni przed terminem porodu, zgłosiła się do Międzyleskiego Szpitala Specjalistycznego w Warszawie z regularnymi skurczami. Po badaniach uznano, że akcja porodowa jeszcze się nie rozpoczęła. Kobieta usłyszała zalecenie powrotu do domu i wzięcia ciepłej kąpieli. Niecałą godzinę po opuszczeniu szpitala urodziła syna na podłodze w łazience. Dziecko uderzyło głową o posadzkę, a matka zaczęła mocno krwawić. Oboje z powrotem przewieziono do szpitala. Przerażony ojciec dziecka, który po otrzymaniu chaotycznej informacji o porodzie, krwi i upadku noworodka, wpadł w szał, pojechał do szpitala, groził personelowi i zdemolował część wyposażenia placówki. Dyrekcja szpitala twierdziła, że personel proponował pacjentce pozostanie na obserwacji, ale ta chciała wrócić do domu. Wiktoria zaprzeczała, że opuściła szpital na własne żądanie. Złożyła skargę do Rzecznika Praw Pacjenta.

Jeśli pacjent ma być zmuszany do nieustannej walki o to, by jego objawy potraktowano poważnie, to na czym właściwie ma polegać jego bezpieczeństwo?

BŁAGAŁ O DIALIZĘ

29-letni Kacper ze Świdnicy chorował na cukrzycę i zmagał się z poważnymi powikłaniami. Po ataku padaczki trafił na SOR szpitala „Latawiec", ale został odesłany do domu. Według relacji rodziny w drodze do placówki doszło do zatrzymania krążenia. Zamiast na planowaną dializę w Wałbrzychu mężczyzna został skierowany do szpitala psychiatrycznego. Nie potwierdzono tam zaburzeń psychicznych. Rodzina twierdziła, że Kacper przez kolejne dni cierpiał i błagał o dializę. Zmarł 5 września na oddziale intensywnej terapii. Po nagłośnieniu sprawy prokuratura podjęła czynności sprawdzające, a dyrekcja szpitala zawiesiła personel SOR odpowiedzialny za leczenie pacjenta. Jednocześnie placówka nie stwierdziła nieprawidłowości w udzielaniu świadczeń. Ojciec zmarłego domaga się odpowiedzi, dlaczego nie wykonano dializy i jakie leki podano synowi.

Czy pacjent z ciężką chorobą przewlekłą może zostać pozbawiony ciągłości leczenia, a jego rodzina przez tygodnie nie otrzymywać podstawowych wyjaśnień?

PODTLENEK AZOTU ZAMIAST TLENU

W grudniu 2025 r. 31-letnia Kalina, będąca w 14. tygodniu ciąży, zgłosiła się na zabieg ginekologiczny do warszawskiego Szpitala Specjalistycznego im. Świętej Rodziny. Zamiast tlenu podano jej podtlenek azotu. Pomyłkę rozpoznano dopiero po zatrzymaniu funkcji życiowych. Kobieta zmarła po dziesięciu dniach w innym szpitalu, pozostawiając dwuletnie dziecko. Śledczy badają nie tylko przebieg zabiegu, lecz także instalację gazów medycznych. Wcześniejszy eksperyment procesowy wykazał, że z przewodu oznaczonego jako tlenowy wydobywał się podtlenek azotu. Prokuratura rozszerzyła oględziny na kolejne elementy wyposażenia. Nie wiadomo jeszcze, kto ponosi odpowiedzialność za tragedię. Ale pytanie o bezpieczeństwo procedur i sprzętu jest nieuniknione. Jeśli nieprawidłowość może pozostać niewykryta aż do chwili zatrzymania funkcji życiowych pacjenta, problem wykracza poza pojedynczą pomyłkę.

BRAK ODPOWIEDZIALNOŚCI

Te historie nagłośniły media. Wiele dramatów pacjentów i ich rodzin nie trafia do opinii publicznej. To nie seria odrębnych tragedii, ale sygnał, że system nie potrafi wystarczająco skutecznie uczyć się na własnych błędach.

Co więcej, w Polsce odpowiedzialność za błędy lekarzy jest niemal zerowa. – Mamy prawie najwięcej specjalizacji lekarskich w Europie i jedne z najwyższych wynagrodzeń lekarzy i pielęgniarek w relacji do siły nabywczej pieniądza. Jednocześnie mamy system, w którym odpowiedzialność lekarzy za błędy bywa rażąco niewspółmierna do ich skutków, a odszkodowania za zaniedbania publicznej ochrony zdrowia często nie odpowiadają skali tragedii. Specjaliści są. Dyżury są. Pieniądze są. Tylko podstawowej diagnostyki, skutecznej pomocy i rzeczywistej odpowiedzialności zabrakło. Ile jeszcze dzieci musi umrzeć, zanim zrozumiemy, że problemem nie jest wyłącznie brak pieniędzy, lecz również organizacja, kompetencje i bezkarność? A konsekwencje? Kolejna nagana do lekarskiego dzienniczka i odszkodowanie, które nawet nie zbliży się do wartości utraconego życia? – pyta Piotr Kusznieruk, rektor Warszawskiej Akademii Medycznej.

W latach 2022–2024 prokuratura wszczęła ponad 5,6 tys. spraw o błędy medyczne. Rocznie w ich wyniku dochodzi nawet do ponad 20 tys. zgonów – a dane te najprawdopodobniej są niedoszacowane. Jednak już aktów oskarżenia dotyczących błędów medycznych, kierowanych przez prokuraturę do sądów, jest zdecydowanie mniej. W ub.r. było ich 86, w 2024 r. – 84. Każdego roku do izb lekarskich jest zgłaszanych ok. 4 tys. błędów. Niestety, lekarze kryją lekarzy i tak w 40–45 proc. przypadków dochodzi do odmowy wszczęcia postępowania. W 25–30 proc. przypadków mamy umorzenie postępowania. W 15–20 proc. przypadków sporządzane są wnioski o ukaranie do Sądu Lekarskiego. Jednak jeśli ten odrzuci dowody, to sąd powszechny nie może już do nich wrócić. W 10 proc. przypadków dochodzi do ukarania lekarza przez samorząd zawodowy (upomnieniem, naganą, karą pieniężną, a w skrajnych sytuacjach zawieszeniem lub pozbawieniem prawa wykonywania zawodu). To upomnienie czy nagana to ów wpis do lekarskiego dzienniczka, z którego dworował Kusznieruk.

– Samorząd lekarski ma ustawowo sprawować pieczę nad należytym wykonywaniem zawodu w interesie publicznym. Nie tylko reprezentować interesy finansowe środowiska – przypomina rektor WAM, uważając, że sprawa druga bierze górę nad pierwszą.

eprasa.pl b95eb4ceae

ZAKŁAMANE STATYSTYKI

Od połowy 2024 r. placówki medyczne mają prowadzić wewnętrzne rejestry zdarzeń niepożądanych i wykorzystywać je do poprawy jakości leczenia. Badanie z początku 2026 r. wskazuje jednak na poważne wątpliwości dotyczące kompletności tych danych. Aż 45,3 proc. szpitali w ciągu roku zarejestrowało najwyżej 50 zdarzeń niepożądanych. Eksperci Rzecznika Praw Pacjenta uznali takie wyniki za statystycznie niewiarygodne. Według analiz WHO incydenty związane z opieką medyczną dotykają średnio nawet 10 proc. hospitalizowanych. Nie każde zdarzenie niepożądane oznacza błąd lekarza. Jednak tak duża rozbieżność między przewidywaną skalą problemu a liczbą rejestrowanych przypadków powinna budzić niepokój. Jedną z głównych barier jest strach przed konsekwencjami. Aż 36 proc. szpitali wskazało, że personel obawia się odpowiedzialności karnej, cywilnej lub dyscyplinarnej związanej ze zgłaszaniem zdarzeń. Powstaje paradoks: bez rzetelnego raportowania nie da się poprawiać bezpieczeństwa, ale jeśli personel obawia się, że każde zgłoszenie stanie się podstawą do ukarania konkretnej osoby, może unikać ujawniania problemów. System traci wtedy szansę na ustalenie, co zawiodło i jak zapobiec powtórzeniu podobnej sytuacji.

FUNDUSZ OCHRONY LEKARZY

W 2023 r. powstał Fundusz Kompensacyjny Zdarzeń Medycznych, który umożliwia uzyskanie świadczenia bez konieczności prowadzenia klasycznego procesu o odszkodowanie. Uzyskanie świadczenia nie wymaga udowodnienia winy placówki medycznej. Podstawowym warunkiem pozytywnej decyzji jest stwierdzenie, że doszło do zdarzenia, którego z wysokim prawdopodobieństwem można było uniknąć, gdyby świadczenie zdrowotne zostało pacjentowi udzielone zgodnie z aktualną wiedzą medyczną albo gdyby zastosowano inną dostępną metodę diagnostyczną lub leczniczą. W praktyce Fundusz to zasłona dymna dla błędów lekarskich, bowiem nie orzeka się o błędzie. Co więcej, na Fundusz zrzucają się wszyscy podatnicy.

Maksymalna kwota rekompensaty dla pacjenta wynosi 222,8 tys. zł. W razie śmierci pacjenta świadczenie wynosi do 111,4 tys. zł dla każdej uprawnionej osoby. Z wnioskami o przyznanie świadczenia mogą w takim przypadku wystąpić dzieci pacjenta, jego rodzice oraz małżonek lub partner. Od uruchomienia funduszu pod koniec 2023 do połowy 2026 r. łączna kwota przyznanych wypłat przekroczyła 61 mln zł.

> Mamy system, w którym odpowiedzialność lekarzy za błędy bywa rażąco niewspółmierna do ich skutków, a odszkodowania za zaniedbania publicznej ochrony zdrowia często nie odpowiadają skali tragedii – mówi Piotr Kusznieruk, rektor Warszawskiej Akademii Medycznej

Do Rzecznika Praw Pacjenta wpływa rocznie ponad 2,5 tys. wniosków. Do połowy 2026 r. wydano ponad 1,3 tys. pozytywnych decyzji, a średnia wypłata wynosi ok. 58 tys. zł. Pieniądze mogą pomóc pokryć koszty następstw zdarzenia, ale nie zastąpią odpowiedzi na pytanie, co się wydarzyło i czy można było temu zapobiec.

CZY MOŻNA JESZCZE UFAĆ SZPITALOM?

Zaufania do ochrony zdrowia nie da się zadekretować. Rodzi się ono z przekonania, że pacjent zostanie wysłuchany, otrzyma odpowiednią diagnostykę, a gdy jego stan się pogorszy, ktoś zareaguje. Nie każde leczenie kończy się uratowaniem życia. Medycyna ma swoje granice, a śmierć pacjenta nie jest automatycznie dowodem błędu. Dlatego potrzebne są niezależne procedury wyjaśniające, które oddzielą nieuniknioną tragedię od możliwego do uniknięcia zaniedbania. Jeśli system chce odzyskać zaufanie, musi pokazać, że potrafi rozpoznawać zagrożenia, wyjaśniać błędy i wprowadzać zmiany. Potrzebne są wiarygodne rejestry zdarzeń niepożądanych, skuteczna kontrola jakości, odpowiednie warunki pracy, dostęp do diagnostyki i przejrzyste zasady odpowiedzialności.

Nie wolno udawać, że powtarzające się tragedie nie mają znaczenia. Każda odsłania obszar wymagający wyjaśnienia: organizację opieki, diagnostykę, ciągłość leczenia, bezpieczeństwo sprzętu lub reakcję na pogarszający się stan pacjenta.

Polska ochrona zdrowia to nie tylko błędy i dramaty. Każdego dnia lekarze, pielęgniarki i ratownicy ratują ludzkie życie, często w trudnych warunkach. Właśnie dlatego nie można pozwolić, by poważne nieprawidłowości ginęły w ogólnych narzekaniach na system albo były traktowane jako nieunikniona cena jego funkcjonowania.

Nie wystarczy powiedzieć, że brakuje pieniędzy. Nie wystarczy też wskazać pojedynczego lekarza i uznać sprawę za zamkniętą. Trzeba ustalić, co zawiodło, kto ponosi odpowiedzialność i co należy zmienić, by tragedia się nie powtórzyła.

Pacjent nie idzie do szpitala po obietnicę, że wszystko na pewno skończy się dobrze. Idzie tam z nadzieją, że otrzyma pomoc, której potrzebuje, a jego życie i zdrowie będą traktowane poważnie. Jeśli tej nadziei nie potrafimy ochronić, a rodziny muszą same walczyć o dokumentację i odpowiedzi, pytanie o kryzys ochrony zdrowia staje się pytaniem o coś znacznie poważniejszego: czy państwo potrafi zagwarantować obywatelowi bezpieczeństwo w chwili, w której jest najbardziej bezbronny?

eprasa.pl b95eb4ceae



Uchodźcy z Ukrainy. Polityka, pieniądze, wpływy

„Rosja nas zabija” – powiedział prezydent Zełenski dziennikarzom po spotkaniu z przywódcami Wspólnoty Europejskiej w Brukseli i przyznał, że elementem strategii Kremla w obecnej fazie wojny jest „wypychanie” obywateli Ukrainy i zmuszanie ich do opuszczenia państwa. Ostrzegł też, że nawet 20 mln ludzi może opuścić kraj, jeśli Moskwa wygra wojnę, co oznaczałoby największy kryzys migracyjny na naszym kontynencie po II wojnie światowej



MAREK BUDZISZ

Czy te liczby mają sens? Nawet w ukraińskich mediach wspierających Zełenskiego można przeczytać, że „nie jest to scenariusz na podstawie danych”, lecz jedynie prognoza możliwych zagrożeń, rzucona w związku z prowadzonymi negocjacjami. Ich przedmiotem jest pomoc finansowa państw naszego kontynentu dla Ukrainy szacowana przez jej władze na 70 mld euro w przyszłym roku. Ciąg logiczny zaprezentowany przez ukraińskiego prezydenta jest zatem następujący: jeśli Kijów nie dostanie takiej kwoty, to „nie ustoi”, Rosjanie zaczną przeważać w wojnie i przerażeni rozwojem wydarzeń Ukraińcy ruszą na Zachód. Wielkości są oczywiście przesadzone, bo według nieoficjalnych danych na Ukrainie mieszka obecnie 29–30,5 mln ludzi, a zatem ucieczka niemal 70 proc. populacji jest mało prawdopodobna. Ale takie liczby mają wzmocnić przekaz Zełenskiego domagającego się pieniędzy, choć niezrealizującego reform, zwłaszcza tych dotyczących walki z korupcją.

Warto się jednak zastanowić, czy prawdopodobna jest kolejna fala migracji z Ukrainy i jak może być duża. W ukraińskich mediach pytania z tym związane są formułowane już od lata, kiedy Rosjanie zwiększyli intensywność i skuteczność ataków. Portal Kommentari zapytał nawet o to różne modele sztucznej inteligencji. W dwóch przypadkach chaty uchyliły się od podania dokładnej liczby, wskazując jednak, że kolejna fala mi-

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl b95eb4ceae

gracyjna jest bardzo prawdopodobna. Jedynie chatbot Gemini pokusił się o dokładniejsze prognozy, podając, że przed zimą ucieknie z kraju od 200 do 400 tys. Ukraińców.

Rzeczywista skala może być jednak większa, bo, jak podpowiadają badania opinii publicznej przeprowadzone przez Agencję Gradus na początku września, aż 40 proc. pytanych rozważało „plan B", czyli możliwość opuszczenia miast i przeprowadzki w bezpieczniejsze miejsce. Wynika to z faktu, że nadal 42 proc. Ukraińców mieszka w blokach uzależnionych od scentralizowanych sieci komunalnych, które atakują Rosjanie. Pytani o to, co może ich skłonić do opuszczenia domostwa i szukania bezpiecznego azylu, 69 proc. wskazało na przedłużające się przerwy w dostawach prądu, 58 proc. wody, a 48 proc. na brak ogrzewania.

Już obecnie, przed najcięższą, jak się uważa, zimą tej wojny Ukraińcy wyjeżdżają z miast, szukając bezpiecznego schronienia w zachodnich obwodach. W ub.r., kiedy rosyjskie ataki spowodowały wyłączenia energii elektrycznej i przerwy w ogrzewaniu, Kijów według oficjalnych danych opuściło 600 tys. ludzi. W tym roku może być gorzej, bo oskarżany o nieprzygotowanie miasta na zimę mer Witalij Kliczko wezwał mieszkańców ukraińskiej stolicy do „samoewakuacji".

Według niektórych danych popyt na wynajem mieszkań w zachodniej części Ukrainy jest największy w obwodzie iwano-frankowskim oraz rówieńskim i już obecnie przewyższa podaż nawet 15–17 razy, dlatego ceny szybko rosną. W Łucku, jak powiedziała portalowi Gławkom szefowa jednego z biur nieruchomości, osiągnęły „historyczne maksimum" i w porównaniu z latem 2023 r. wzrosły o 80 proc. Najtańsze oferty praktycznie zniknęły z rynku, a te, które się pojawiają, zlokalizowane są w okolicach dworców kolejowych, gdzie nikt nie chce mieszkać, bo Rosjanie atakują infrastrukturę transportową. Od początku wojny ukraińskie koleje z powodu uderzeń wroga straciły ponad 500 lokomotyw, z czego 60 proc. w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy, a na dodatek atakowane są węzły kolejowe.

ROŚNIE LICZBA CYWILNYCH OFIAR

Tylko we wrześniu, według danych Misji Monitorującej ONZ, na Ukrainie w wyniku rosyjskich ataków życie straciło 328 cywilów, a ponad 2 tys. odniosło rany. Mamy do czynienia ze wzrostem o 85 proc. liczby ofiar wśród ludności cywilnej w skali roku, co potwierdza, że jest to element rosyjskiej strategii, której celem może być sterroryzowanie państwa i w efekcie zmuszenie walczącego narodu do przyjęcia trudnych warunków pokojowych.

Z danych ukraińskiego wywiadu wynika, że Rosjanie zgromadzili „zapas" ponad 700 rakiet balistycznych i kilku tysięcy manewrujących. Miesięcznie rosyjski sektor zbrojeniowy jest w stanie dostarczać 200 pocisków rakietowych, z których ok. 100 przemieszcza się po trajektorii balistycznej, co powoduje, że w związku z deficytem rakiet do systemów Patriot nie ma czym ich zwalczać. Do tej liczby należy dodać ataki z użyciem dronów, w tym najgroźniejszych, odrzutowych konstrukcji nowej generacji Geran 4 i 5.

Jurij Ihnat, rzecznik ukraińskiego lotnictwa, kilka dni temu poinformował, że we wrześniu Ukraina była atakowana przy użyciu 3,5 tys. systemów bezzałogowych, a co gorsza, jak zauważył, „w tej liczbie szybko rośnie" udział dronów z silnikami odrzutowymi. W ciągu czterech miesięcy, od czerwca, liczba wystrzelonych przez Rosjan dronów odrzutowych wzrosła dziesięciokrotnie. Skuteczność ukraińskiej obrony przestrzeni powietrznej wynosi, w przypadku dronów z tym napędem, 60 proc., zaś jeśli mówimy o rakietach, to jest w gruncie rzeczy symboliczna, bo do istniejących problemów dołączyły się nowe, choćby te dotyczące „zakłóceń" w przekazywaniu przez Amerykanów danych z rozpoznania kosmicznego. W rezultacie w każdym z ostatnich dwóch miesięcy 1,7–1,8 tys. celów na Ukrainie było skutecznie atakowanych przez Rosjan, a ta niebezpieczna tendencja w kolejnych miesiącach będzie zapewne rosła, bo wyczerpują się zdolności ukraińskiej obrony powietrznej.

CORAZ WIĘCEJ ATAKÓW

Zniszczenia narastają lawinowo, a na dodatek Kreml znacznie rozszerzył listę atakowanych celów, co według doniesień zachodnich mediów miał zaproponować sam Putin. Niszczone są, prócz sieci energetycznych, mosty, stacje benzynowe, centra przetwarzania danych, co zakłóca funkcjonowanie internetu oraz system zaopatrzenia miast w żywność. Najgorzej jest na wschód od Dniepru, bo zdaniem niektórych ukraińskich ekspertów celem Rosjan jest odcięcie tych terenów i ich przekształcenie w strefę buforową, a następnie opanowanie. Mówi o tym publicznie Zełenski, który podkreśla, że jeśli Ukraina odda „miasta-twierdze" w Donbasie, takie jak Słowiańsk czy Kramatorsk, to Rosjanie „pójdą dalej".

Już obecnie uderzeniami z powietrza Moskale chcą przekształcić Charków, Sumy, Mikołajów czy Zaporoże, duże ukraińskie miasta, w miejsca, w których „nie da się żyć", zmuszając ludzi do ucieczki stamtąd.

Intencje Rosjan są przejrzyste. Chcą wywołać panikę, najlepiej wśród kobiet. Dlatego w trakcie niedawnego ataku na park w miejscowości Nowa Wodołaha rosyjscy operatorzy urządzili sobie „polowanie" na ludzi pijących kawę. W efekcie zginęły dwie kobiety i roczne niemowlę w wózku, a rannych zostało siedmioro dzieci.

GOSPODARKA W ZAPAŚCI

Na to nakłada się kolejny problem, z którym Ukraina dotychczas sobie radziła. W konsekwencji rosyjskich ataków „staje gospodarka", spada liczba miejsc pracy, a niektóre ważne gałęzie przemysłu są już całkowicie zniszczone. Od początku 2026 r. rosyjskie wojska atakowały przedsiębiorstwa górnicze i metalurgiczne co najmniej 30 razy. Z powodu uderzeń siedem wielkich pieców zostało uszkodzonych lub zniszczonych, a 18 robotników zginęło. Po raz pierwszy od 100 lat w jednym z tygodni września nie wytopiono ani jednej tony stali, co oznacza, że metalurgia, przed wojną odpowiadająca za nawet 7 proc. ukraińskiego PKB, już nie istnieje. Tysiące ludzi tylko w tej branży

eprasa.pl b95eb4ceae



Intencje Rosjan są przejrzyste. Chcą wywołać panikę, najlepiej wśród kobiet. Dlatego w trakcie niedawnego ataku na park w miejscowości Nowa Wodołaha rosyjscy operatorzy urządzili sobie „polowanie" na ludzi pijących kawę. W efekcie zginęły dwie kobiety i roczne niemowlę w wózku, a rannych zostało siedmioro dzieci. Na zdj. ukraińscy uchodźcy na przemyskim dworcu kolejowym w pierwszych dniach wojny

straciło pracę, ale problem jest poważniejszy, bo ciągłe, wielogodzinne alarmy bombowe uniemożliwiają normalne funkcjonowanie całej gospodarki, nie tylko bezpośrednio i pośrednio związanej z sektorem zbrojeniowym. Ten notabene został zbudowany już w czasie wojny, w modelu rozproszonym, co oznacza, że trudniej go atakować i niszczyć niż „cywilną" część ukraińskiego przemysłu. Według oficjalnych danych podanych przez Ministerstwo Gospodarki każda godzina przestoju związanego z alarmami kosztuje gospodarkę Ukrainy 45 mln dol.

Aby temu przeciwdziałać, już w sierpniu zmieniono zasady ostrzegania o niebezpieczeństwie. Teraz w ukraińskich miastach uruchamiane są alarmy czerwone i żółte. Te pierwsze ogłasza się w razie uderzeń rakietami i w ich trakcie trzeba przerwać pracę i udać się do schronów. W czasie żółtego alarmu, kiedy miasta atakowane są dronami – które mimo że mają 90-kilogramowe głowice bojowe, są mniej groźne i zabijają mniej ludzi niż rakiety – można kontynuować pracę.

Od sierpnia w związku z ciągłymi atakami i alarmami znacząco zmniejszają się dochody podatkowe ukraińskiego budżetu. Premier Koretsky na początku września mówił, że budżet „może stracić" do końca roku 70, a nawet 100 mld hrywien dochodów podatkowych, co powiększa i tak już gigantyczną dziurę w budżecie, bo trzeba pamiętać, że wszystko, co Ukrainie udaje się zebrać w postaci danin publicznych, jest przeznaczane na kontynuowanie wojny.

CZEGO CHCE UKRAINA

Wiadomo, czego chcą Rosjanie, ale w co grają przedstawiciele ukraińskiego, szeroko rozumianego obozu władzy, którzy ostrzegają przed kolejną falą migrantów? Zełenski, co oczywiste, chce zwiększenia pomocy finansowej dla Kijowa. Ale w grze są też niemałe interesy regionalnych i lokalnych grup politycznych oraz ekonomicznych. Wojna oznacza bowiem zniszczenia i straty, jednak nie są one rozłożone równomiernie i sprawiedliwie. Przykładem jest Lwów, do 2022 r. stolica jednego z mniej znaczących na mapie ukraińskiej gospodarki województw, a dziś „stolica" kraju w dziedzinie IT. Lwów, w którym mieszkało do wojny 710 tys. ludzi, dziś według szacunków może liczyć nawet milion osób, które pobudzają lokalny rynek nieruchomości oraz dóbr i towarów. W czasie wojny ceny nieruchomości, gdybyśmy zwracali uwagę wyłącznie na ten wskaźnik, wzrosły o 64 proc., a popyt, wraz z zapowiedziami kolejnej fali migracyjnej w ostatnich miesiącach, szybko rośnie. Ktoś na tym, i to niemało, zarabia.

W czasie ostatniego kryzysu w relacjach polsko-ukraińskich, który wybuchł po tym, jak Zełenski postanowił nadać jednej z jednostek wojskowych tytuł „bohaterów UPA", w wielu wypowiedziach na ten temat w ukraińskich mediach regularnie pojawiał się jeden wątek. Wypowiadający się zwracali uwagę, jak to pracujący w Polsce Ukraińcy przyczyniają się do naszego „cudu gospodarczego", powodując wzrost PKB od 4,5 do 5 proc. rocznie. Jeśli zamieszka u nas kolejny milion czy nawet 500 tys. uchodźców zza wschodniej granicy, którzy będą tu pracować, kupować lub wynajmować nieruchomości i wydawać pieniądze, to dysproporcja potencjałów między nami a wschodnim sąsiadem powiększy się: 1 proc. naszego PKB to 5 proc. ukraińskiego. Gra więc toczy się o co najmniej 10 mld dol. rocznie, które albo zostaną w zachodniej Ukrainie – jeśli uciekający z miast na wschodzie nie zdecydują się na przekroczenie granicy – albo przyspieszą nasz rozwój. O to też toczy się rywalizacja, bo to oznacza, że zarobią przedsiębiorcy w Polsce, u nas wzrośnie popyt na nieruchomości i artykuły konsumpcyjne, a stracą na Ukrainie, w tym zwłaszcza w zachodniej jej części.

Najłatwiej zatem wzniecić kolejną waśń między obydwoma państwami, aby uciekający, obawiając się zimnego przyjęcia przez Polaków, osiedli pod Lwowem, a nie 100 km dalej na zachód. Temu może służyć ostatnia uchwała samorządu okręgu lwowskiego, który postanowił uhonorować UPA i postacie w rodzaju zbrodniarza wojennego Szuchewycza. Czy to bezwzględna gra o pieniądze, wpływy i pozycję kosztem bogu ducha winnych „zwykłych Ukraińców" uciekających z bombardowanego Kijowa czy wschodniej części kraju? Oczywiście, że tak. A od kiedy losem zwykłych ludzi przejmowały się ukraińskie elity władzy i pieniądza?

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl b95eb4ceae



Na krawędzi chaosu

Sceny zniszczeń, grabieży i przemocy we Francji charakteryzowały się nieobecnością funkcjonariuszy organów ścigania oraz dobrym humorem napastników, którzy plądrowali Paryż, krzycząc radośnie: „Wallah, Wallah!”



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Na nagraniu krążącym w mediach społecznościowych widać drobną postać kobiety otuloną w obszerny zielony płaszcz, z chustą na głowie, stojącą w drzwiach sklepu. W rękach trzyma żelazny pręt i usiłuje nim odepchnąć młodych mężczyzn, o dwie głowy wyższych od niej. Słychać, jak krzyczy: „Mam 54 lata, mam 54 lata! Dlaczego to robicie?!”. Panuje chaos. Część witryny sklepowej została rozbita. Pod stopami napastników słychać odgłos tłuczonego szkła. Assia Sanaa jest właścicielką siedmiu butików z ubraniami w okolicach Châtelet – Les Halles w centrum Paryża. 17 października zostały całkowicie zdewastowane.

W Montpellier w departamencie Hérauly Wim Schuyten także bronił swojego butiku przed rabusiami. W towarzystwie ojca, brata i kolegi usiłowali zapobiec wtargnięciu grup młodych mężczyzn do środka. W przepychance Schuyten został ranny. Założono mu pięć szwów na głowie. „Mój brat i ojciec trzymali drzwi, a ja chodziłem od lewej do prawej po witrynach, żeby uniemożliwić im otworzenie metalowych krat w oknach” – wyjaśnił w rozmowie z telewizją TF1. Zarówno Sanaa, jak i Schuyten błagali władze o pomoc. Bezskutecznie.

GDZIE JEST CHANEL?

Zamieszki trwają już od końca września. Zaczęło się od protestów licealistów, a skończyło się jak zawsze. Demolowaniem infrastruktury i budynków kojarzonych z państwem – w Limoges spłonął zabytkowy ratusz – oraz plądrowaniem czego się da. „To wszystko narastało latami. Wychodzenie na miasto, żeby rabować, śmiać się głupkowato z przyjaciółmi, zachowywać się jak idioci, atakować każdego, kto próbuje interweniować, a potem spokojnie wracać do domu” – opisywał z goryczą Jean-Christophe Couvy, sekretarz krajowy związku zawodowego policjantów UNiTÉ.

Według kryminologa Alaina Bauera cztery różne grupy uczestniczyły w protestach 17 października przeciwko wysokim kosztom życia i cenom diesla: pokojowi demonstranci, czyli licealiści i członkowie ruchu żółtych kamizelek, lewicowe bojówki chcące niszczyć symbole kapitalizmu oraz rabusie, którzy pojawili się, ponieważ policja nie dawała sobie rady. Czwarta grupa to szeregowi handlarze narkotyków oraz sfrustrowana młodzież z imigranckich gett, która miała potrzebę demolować wszystko, co stało na drodze.

Efektem były obrazy wręcz apokaliptyczne. Z rozbitych witryn sklepowych wychodziły gromady zakapturzonych osobników obładowanych smartfonami, butami sportowymi i innymi akcesoriami reklamowanymi przez influencerów, które od razu odsprzedawano na platformach internetowych. Według „Le Figaro” plądrowano przede wszystkim luksusowe butiki. Młodzież z przedmieść krzyczała: „Gdzie, do cholery, jest Chanel?”. Nie wiadomo jeszcze, ile wyniosły szkody, ale sieć izb handlowych i przemysłowych Francji mówi o „setkach milionów euro”. Ubezpieczyciele szacują, że będzie to co najmniej miliard euro, a być może i więcej. Ponad 3 tys. sklepów zostało zdewastowanych.

Ale najgorsze jest to, że minister spraw wewnętrznych Laurent Nuñez przyznał, iż siły porządkowe – zmobilizowanych policjantów było między 60 a 80 tys. – „straciły podczas zamieszek kontrolę” nad niektórymi miastami. W skrócie: państwo okazało się bezsilne. W konsekwencji Nuñez podał się do dymisji, jednak prezydent Emmanuel Macron jej nie przyjął. Nikogo lepszego, kto chciałby pełnić ten urząd pół roku przed wyborami prezydenckimi, i tak nie znajdzie.

Francuzi są świadomi bezradności państwa. W sondażu instytutu Elabe dla BFMTV 61 proc. uznało, że musi samemu zadbać o bezpieczeństwo, a prawie co drugi (49 proc.) odpowiadający przyznał, że boi

Fot. Thibaud MORITZ/AFP/East News

eprasa.pl b95eb4ceae

się, iż padnie ofiarą przemocy. 85 proc. respondentów stwierdziło ponadto, że Francja znajduje się w stanie kryzysu.

45 LAT POBŁAŻLIWOŚCI

Politycy tacy jak były prezydent François Hollande mówili o „kryzysie władzy", „słabym rządzie" oraz braku dalekowzroczności i reakcji. Marine Le Pen oskarżyła Macrona wręcz o „utratę kontroli nad wszystkim". Ta nieudolność nie ogranicza się bowiem do kwestii bezpieczeństwa, widoczna jest również w zarządzaniu finansami publicznymi. Dług publiczny osiągnął 119 proc. PKB. Francja obecnie zaciąga pożyczki wyższe o 144 punkty bazowe od Niemiec i o 96 punktów od Portugalii. Nie lepiej jest w edukacji publicznej – w której, według rankingu PISA, z roku na rok widać wyraźny spadek poziomu francuskich uczniów nie tylko w matematyce.

„Od 1981 r. Francja zmaga się z najgorszą chorobą, jaka może dotknąć państwo: pobłażliwością. 45 lat pobłażliwości w kwestiach imigracji, integracji, edukacji, sądownictwa i finansów doprowadziło kraj do obecnej sytuacji" – czytamy na łamach „Le Figaro". Na domiar złego państwo nieumiejące ochronić drobnych handlarzy dało radę w przypadku dwóch cukierni: Trogneux w Amiens oraz w Touquet w Pas-de-Calais. Należą one do rodziny żony Macrona, pierwszej damy Brigitte. Tak twierdzą związki zawodowe policji Alliance, które pisały na Facebooku o „furgonetkach sił prewencyjnych CRS grupujących się przed cukierniami". Prefekt zaprzeczył temu stanowczo, ale nagrania z akcji krążą w mediach społecznościowych. „Państwo nie należy do ciebie, Macron!" – piszą oburzeni Francuzi w sieci.

Można by na to machnąć ręką i powiedzieć: we Francji już tak jest. Nie od dziś zresztą. W sieci można oglądać obrazki Paryżan popijających wino w kawiarniach na tle płonących sklepów i śmietników. Zamieszki jako społeczne zjawisko pojawiły się pod koniec lat 70. Ponad 20 lat temu, w październiku 2005 r., stały się masowe po śmierci dwojga nastolatków w Clichy-sous-Bois, w departamencie Seine-Saint-Denis. Tragedia ta wywołała falę przemocy, która trwała trzy tygodnie. Niepokoje ogarnęły prawie 200 miast i wsi, w tym 97 w regionie Île-de-France, w 25 departamentach.

PRZEMOC ALBO REPUBLIKA

Tyle że przerwy między zamieszkami stają się coraz krótsze – do ostatnich doszło w maju 2025 r., po meczu Paris Saint-Germain z Inter Milanem. I są coraz brutalniejsze, coraz bardziej niszczycielskie. Tradycyjne marsze, organizowane przez związki zawodowe, są infiltrowane przez grupy anarchistów lub antykapitalistycznych awanturników stosujących taktykę Czarnego Bloku. Ci skrajnie lewicowi aktywiści, którzy pojawili się we Francji dekadę temu, są teraz zawsze obecni na demonstracjach. „W maju 1968 r. podpalono samochody i zniszczono kilka sklepów. Ale to dotyczyło tylko jednej lub dwóch ulic w Paryżu. Teraz dzieje się to we wszystkich miastach Francji" – zaznaczył w rozmowie z „La Presse" politolog Dominique Andolfatto z Uniwersytetu Burgundzkiego. Według niego „przemoc narasta, ponieważ piętrzą się skargi". „Oprócz protestów robotników, emerytów, urzędników, rolników, studentów, uczniów szkół średnich i przedstawicieli ruchu żółtych kamizelek, do głosu dochodzą radykalni aktywiści i bezrobotna młodzież z przedmieść. Słabość i nieudolność władz podsyca niepokoje" – dodał.

Podsycają je także politycy skrajnej lewicy. „Macron, dawaj pieniądze", „kapitalizm zabija" i „można bić faszystów" – graffiti, którymi został wymalowany pomnik republiki w 11. dzielnicy Paryża, mówiły same za siebie. Politycy skrajnie lewicowej Francji Niepokornej (LFI) wraz z jej liderem Jeanem-Lukiem Mélenchonem byli obecni na wszystkich protestach licealistów i zachęcali ich do „nieposłuszeństwa". Podczas debaty w izbie niższej francuskiego parlamentu premier Sébastien Lecornu oraz szef MSW Laurent Nuñez otwarcie oskarżyli posłów LFI o to, że „podsycali zamieszki, stojąc u boku bojówkarzy". Lecornu zwrócił się również do każdego z nich, by „wybrali stronę – przemoc albo Republikę". Mélenchon, były trockista, wydaje się, już dawno wybrał tę pierwszą opcję, bo nie ukrywa, że dąży do rewolucji, do zniszczenia starego porządku i zbudowania na jego zgliszczach „nowej Francji". Polityk, który uważa siebie za reinkarnację „teoretyka terroru" rewolucji z 1789 r., Louis-Antoine'a de Saint-Justa, chce tę nową Francję zbudować z pomocą mieszkańców imigranckich gett. Mélenchon mówi o pokoleniu młodych ludzi pochodzących z imigracji jako o „siłach zmian", które można zmobilizować przeciwko „białej", „starej", „przestarzałej" Francji, czyniąc z nich nieświadomych sprawców wielkiego wymazania. Przemoc dla tego działacza to przy tym narzędzie polityczne jak każde inne. Powtarza przy tym w kółko, że nie istnieje żadna unikalna, odrębna kultura francuska, którą można by przekazać dalej; istnieje jedynie nieustanna mieszanka, w której dziedzictwo się rozpuszcza.

TAKTYKA NACISKU I ZASTRASZANIA

To zresztą nie spisek uknuty w cieniu. To powolna, niemal niedostrzegalna, zmiana. Najpierw zmiana intelektualna: wartości uniwersalne stały się w debacie publicznej zamaskowaną formą dominacji. Asymilacja jest karykaturyzowana jako przemoc symboliczna. Następnie zmiana polityczna: troska o dobro wspólne ustąpiła miejsca zarządzaniu kruchą równowagą. Naród nie jest już postrzegany jako żywy byt, lecz jako zbiór grup interesów, które należy udobruchać. Czerwone linie stały się niewyraźne, negocjowalne, kontekstowe. W walce politycznej nie liczy się już dobro wspólne, ale wykorzystywanie podziałów. I to dokładnie czyni Mélenchon. Ma nadzieję, że głosy lewicowej młodzieży i mieszkańców gett dadzą mu zwycięstwo w wyborach prezydenckich.

„Moralna – a zatem polityczna – odpowiedzialność LFI za rozpętanie przemocy jest oczywista. To taktyka nacisku i zastraszania, wyraźnie wymierzona w nadchodzące wybory" – czytamy w „Le Figaro".

Z tym że na razie wygląda na to, że to nie Mélenchon, ale Marine Le Pen skorzysta na chaosie. Według sondażu Ifop-Fiducial dla „Le Figaro", LCI i Radia Sud, opublikowanego 20 października, kandydatka Zgromadzenia Narodowego zyskała od jednego do dwóch punktów procentowych, osiągając od 34 do 38 proc. poparcia. Le Pen, która obiecuje „pokojową Francję", zdecydowanie umocniła swój wizerunek jako kandydatki prawa i porządku. Co więcej, w drugiej turze również powiększyła przewagę nad rywalami. Przewiduje się, że uzyskałaby 56 proc. głosów w starciu z Édouardem Philippe'em, kandydatem centrum, 58 proc. przeciwko Gabrielowi Attalowi, 59 proc. w przypadku

12/1026/F

eprasa.pl b95eb4ceae

wejścia François Hollande'a do II tury i 57 proc. przeciwko kandydatowi centrolewicy Raphaëlowi Glucksmannowi. W przypadku Jeana-Luca Mélenchona byłoby to nawet 68 proc. To znacznie więcej, niż udało jej się zdobyć w starciu z Macronem w 2017 i 2022 r.

„Wówczas ludzie sądzili, że wraz z jej wyborem dojdzie do zamieszek, przemocy; że Francja zostanie pogrążona. Teraz stało się oczywiste, że i bez niej sytuacja jest wybuchowa. A zagrożenie jest gdzie indziej, na lewicy" – podkreślił Frédéric Dabi, prezes instytutu IFOP, w rozmowie z „Le Journal du Dimanche".

ZIMA ZAMIESZEK

Zamieszki mogą więc dać Marine Le Pen i jej ugrupowaniu władzę. Stanowią także smutny koniec drugiej, niezbyt udanej, kadencji Macrona. Prezydent usiłował uspokoić nastroje i pokazać, że słyszy skargi obywateli na inflację, a szczególnie na wysokie ceny paliw. Pojechał z oficjalną wizytą do Kuwejtu, Bahrajnu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Wrócił z obietnicą dodatkowych dostaw oleju napędowego, które w połączeniu z wcześniejszym zobowiązaniem Arabii Saudyjskiej mają pokryć nieco ponad jedną dziesiątą francuskiego zużycia. Pałac Elizejski nie ujawnia, ile mogą wynieść nowe ładunki z Zatoki Perskiej, które TotalEnergies ma kupić i przetransportować – cena na stacjach jest obecnie o blisko dwie piąte wyższa niż rok temu. Nie uspokoi to zresztą sytuacji.

Związki zawodowe, licealiści, skrajna lewica i żółte kamizelki już zapowiadają kolejne protesty. Być może będą one trwały nawet do samych wyborów prezydenckich. Pieniędzy, w każdym razie skrajnej lewicy i jej bojówkom, na kolejne rozróby raczej nie zabraknie. Hiszpański dziennik „La Gaceta" poinformował, że siedem organizacji zaangażowanych w październikowe demonstracje otrzymywało pieniądze od fundacji George'a Sorosa lub utrzymywało z nimi kontakty. Raport powstał po dochodzeniu przeprowadzonym przez Fox News Digital, w którego wyniku zidentyfikowano 101 lewicowych organizacji w 13 krajach koordynujących lub podsycających zamieszki.

A bilans tych zamieszek jest zatrważający. Tylko 17 października prawie tysiąc policjantów i żandarmów zostało rannych, a ok. 2,5 tys. osób zatrzymano (od początku protestów z końca września – ponad 6 tys.).

Carrefour, który doliczył się 50 splądrowanych sklepów, ostrzegł, że grabieże, zniszczenia i godziny policyjne wprowadzone w niektórych miastach mogą kosztować go nawet 200 mln euro zysku operacyjnego. Zredukował więc swoje plany inwestycyjne we Francji i odnotował spadek akcji o ponad 12 proc.

Ale zakres tych wydarzeń jest szerszy. Protesty rozprzestrzeniły się już na Belgię, Włochy, Portugalię, Hiszpanię i Albanię. Europę, podkreślił „Le Monde", czeka „zima zamieszek, strajków i protestów". Z nieprzewidywalnymi skutkami.

REKLAMA

KALENDARZ-PORADNIK NA 2027



miejsce na notatki | niedzielne Ewangelie z komentarzami | motta dnia | patroni na każdy dzień | odnośniki do czytań liturgicznych | przepisy kulinarne | użyteczne rady, ciekawostki i sentencje

CENA:
~~25,00 zł~~
18,00 zł*

*Cena promocyjna – najniższa z ostatnich 30 dni.

ZAMÓW:
tel.: **34 369 43 22** w godz. 7-15
e-mail: **sekretariat@niedziela.pl**

*Z nami **odkryjesz** **piękno** każdego dnia!*

eprasa.pl b95eb4ceae



Stop pornografii w sieci

Anglia i Walia mają szybko wprowadzić przepisy zakazujące pokazywania ekstremalnych form pornografii



GORAN ANDRIJANIĆ

Wszyscy, którzy zdają sobie sprawę z ogromnej szkody, jaką treści pornograficzne wyrządzają naszemu społeczeństwu, będą tą wiadomością podniesieni na duchu.

Anglia i Walia mają szybko wprowadzić najsurowsze na świecie przepisy ograniczające dostępność pornografii internetowej.

Od 6 listopada każda pornografia przedstawiająca duszenie lub związki kazirodcze – prawdziwe lub symulowane – będzie zakazana – ogłosił rząd laburzystów pod przewodnictwem premiera Andy'ego Burnhama. Zakazane zostaną również materiały pornograficzne, w których osoba dorosła podszywa się pod nieletnią poniżej 16. roku życia. Każdy, kto zostanie przyłapany na posiadaniu lub produkcji takiej pornografii, będzie podlegał karze grzywny, z możliwością orzeczenia do pięciu lat więzienia.

WNIOSKI Z RAPORTU

Inicjatywa ustawodawcza, która dla niektórych była pewnym zaskoczeniem, została złożona po opublikowaniu w ub.r. obszernego raportu przygotowanego przez panel pod przewodnictwem baronessy Gabby Bertin, konserwatywnej członkini Izby Lordów. Komisja, która pracowała przez dwa lata, miała za zadanie zbadać najbardziej destrukcyjny wpływ pornografii internetowej na społeczeństwo i znaleźć sposoby jego ograniczenia.

Jak donosiły wówczas media, gdy konserwatywna polityk przybyła na spotkanie z ówczesnym ministrem nauki z Partii Pracy Peterem Kyle'em, aby przedstawić prace komisji, zaczęła od położenia na biurku ministra kilku szokujących zdjęć pornograficznych. Przedstawiały one nieletnie dziewczęta duszone przez mężczyzn podczas stosunku. Wyjaśniła ministrowi, że są to zdjęcia z legalnej, bardzo popularnej strony pornograficznej. Jej przesłanie było jasne – internet jest pełen nieakceptowalnych treści, o których mało kto mówi, a jeszcze mniej w ich sprawie robi, aby chronić przed nimi młodzież i dzieci.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl b95eb4ceae

W trakcie prezentacji swojego raportu konserwatywna polityk mówiła o fali milczenia. Niektórzy politycy, jak wówczas powiedziała, unikają rozmów na ten temat, ponieważ jest dla nich niewygodny. Inni obawiają się, że krytykując pornografię, będą postrzegani jako purytanie. Wnioski z raportu były druzgocące.

Internetowa pornografia (którą każdego miesiąca ogląda szacunkowo 13,8 mln dorosłych mieszkańców Wielkiej Brytanii) nie podlega tak ścisłym regulacjom, jak materiały wyświetlane w kinach czy na kasetach wideo – mimo że te ostatnie są już od dziesięcioleci przeżytkiem, a do kin w celu oglądania pornografii zagląda dziś znikoma liczba osób. Brak nadzoru doprowadził do powstania środowiska, w którym znaczna część tworzonych treści jest pełna przemocy, poniżająca, krzywdząca i mizoginiczna. W raporcie zaproponowano 32 konkretne środki, ze szczególnym naciskiem na treści, w których dochodzi do duszenia kobiet, czyli praktykę, która stała się trendem w pornografii, a filmy z takimi scenami można zobaczyć również na popularnych stronach. I jeszcze gorzej – takie zachowanie stało się normą w realnym świecie.

Badanie przeprowadzone wśród kobiet w Wielkiej Brytanii wykazało, że 38 proc. ankietowanych w wieku 18–39 lat doświadczyło duszenia podczas stosunku seksualnego, na który wyraziły zgodę, a 34 proc. doznało odruchu wymiotnego. Choć 53 proc. respondentek stwierdziło, że działania te były w pewnych sytuacjach niechciane, ale dla 10 proc. były niechciane za każdym razem, gdy do nich dochodziło. Inne badanie wykazało, że 13 proc. aktywnych seksualnie dziewcząt w wieku 14–17 lat było już poddawanych duszeniu. W raporcie Bertin wskazano na przykład 14-letniego chłopca, który pytał nauczyciela, w jaki sposób w trakcie seksu dusić dziewczyny.

WALKA Z PRZEMOCĄ

Od 6 listopada posiadanie i/lub udostępnianie treści pornograficznych, które w sposób realistyczny przedstawiają duszenie – polegające na wywieraniu przez jedną osobę nacisku na szyję drugiej osoby – jest zabronione. Przepisy obejmują również przypadki powodowania duszenia lub pozbawiania danej osoby dostępu do powietrza w sposób utrudniający jej oddychanie, np. poprzez zakrywanie jej ust i nosa.

Ponadto zostaną zakazane filmy przedstawiające kazirodztwo – prawdziwe lub takie, w których aktorzy porno udają członków rodziny. Dotyczy to również tzw. step family porno, czyli pornografii przedstawiającej seks między członkami „nowej rodziny", w której dorośli aktorzy często „grają" nieletnie adoptowane córki i synów. To właśnie filmy, w których dorośli grają nieletnich, są kolejnym zakazanym gatunkiem. Celem tych zakazów jest próba ograniczenia częstotliwości wykorzystywania seksualnego nieletnich.

„Nie chodzi o »kryminalizację nieszkodliwych preferencji seksualnych«" – zaznaczyła minister sprawiedliwości Alex Davies-Jones. „Chodzi o to, że pornografia może kształtować wyobrażenia ludzi o zdrowym związku, zwłaszcza młodych ludzi. Treści, które normalizują, a nawet gloryfikują przemoc wobec kobiet, mogą zacierać granicę między tym, co jest akceptowalne w prawdziwym życiu. Jeśli państwo mają taki materiał, usuńcie go. Jeśli go udostępniacie, przestańcie. To nie jest takie nieszkodliwe, jak mogłoby się wydawać, a po 6 listopada będzie przestępstwem".

Organizacje walczące z przemocą w internecie poparły nowe przepisy z euforią. Janaya Walker z organizacji „Zatrzymajmy przemoc wobec kobiet" (End Violence Against Women) określiła je jako „ważny krok w kierunku powstrzymania normalizacji przemocy wobec kobiet". Prawniczka Clare McGlynn, która od lat zajmuje się walką z przemocą w ekstremalnej pornografii, również poparła nowe środki mające na celu powstrzymanie rozprzestrzeniania się normalizacji przemocy. „Nie chodzi tu o ściganie poszczególnych osób ani o narzucanie im, co mają oglądać. Chodzi o pociągnięcie platform i mediów społecznościowych do odpowiedzialności za treści przedstawiające przemoc seksualną, które są przez nie udostępniane i algorytmicznie promowane. Musimy teraz wszyscy zachować najwyższą czujność, aby dopilnować, że prawo to będzie rzeczywiście egzekwowane" – powiedziała.

Formalnie nowe prawo może również karać osoby posiadające materiały zabronione. Niemniej jasne jest, że główny nacisk zostanie skierowany na firmy i strony internetowe związane z treściami pornograficznymi, a także na portale społecznościowe i inne platformy rozpowszechniające takie treści.

Główną rolę w egzekucji prawa będzie miał Ofcom (Office of Communications), organ państwowy, który jest głównym narzędziem państwa do kontroli mediów i telekomunikacji.

Pojawiają się także głosy krytykujące nowe środki, głównie z pozycji klasycznie liberalnych. Niektórzy zwracają uwagę, że rząd zyskuje zbyt dużą władzę nad życiem jednostki, zagrażając tym samym wolności słowa.

Co ciekawe, głosy krytyki słychać też ze strony chrześcijańskiej prawicy. Znany amerykański portal The First Things opublikował artykuł, w którym określił nowe środki jako obalające kłamstwo rewolucji seksualnej. Jak argumentuje autor Nial Gooch, twierdzenie, że pornografia, która zostanie zakazana w tym przypadku, jest bardziej szkodliwa niż klasyczne treści pornograficzne, jest błędne. Niemniej dodaje od razu, że wydarzenia te udowadniają również, że w pewnym sensie nawet we współczesnym społeczeństwie istnieje odraza do brutalnej i egoistycznej seksualności, być może silniejsza, niż nam się wydaje.

KOLEJNA KAMPANIA

Nową ustawę należy jednak określić jako mocny krok w kierunku uwolnienia się od negatywnych konsekwencji rewolucji seksualnej. Wpisuje się ona również w trend surowego zakazu pornografii internetowej dla nieletnich, który wprowadzono niedawno w Australii i kilku stanach Ameryki.

W Wielkiej Brytanii trwa kolejna kampania mająca na celu ograniczenie wpływu pornografii. Nastolatki z kilku brytyjskich szkół średnich lobbują za zakazem używania mundurków szkolnych w filmach pornograficznych i ich sprzedaży w sex shopach. Powodem jest to, że seksualizacja mundurków prowadzi do negatywnych doświadczeń w ich życiu oraz wzrostu liczby sytuacji, w których były molestowane seksualnie. A to pokazuje, że wciąż jest wielu młodych ludzi, którzy nie chcą, aby rynek seksualny sprowadzał ich do roli przedmiotów.

eprasa.pl b95eb4ceae

Samobójstwo Europy

Skoncentrowany na walce z dżihadem Zachód przeoczył rosnące zagrożenie ze strony skrajnej, agresywnej lewicy. Ta wraca do swoich korzeni i znów bawi się w to, co lubi najbardziej, czyli przemoc i zamordyzm



DARIUSZ MATUSZAK

Wskładającym się z kilkudziesięciu esejów tomie filozof i polityk Éric Zemmour opisuje, jak od dekad, rok po roku, Francja podcina sobie żyły, wiesza się, podpala, strzela sobie w łeb i serce, zażywa garściami psychotropy, popija to litrami alko i w ten sposób popełnia rozciągnięte w czasie samobójstwo. Małe zdarzenia – ot, jakaś ustawa o mieszkaniach, nadanie przybyszom przywilejów socjalnych, skrócenie tygodnia pracy do 35 godzin, jakieś parady gejowe, akcje ekoterrorystów – tysiące małych, z osobna drobnych, niewinnych zdarzeń i decyzji doprowadziło Francję do miejsca, w którym jest teraz. Tytuł monumentalnego dzieła: „Francuskie samobójstwo".

KAŹŃ TYSIĄCA CIĘĆ

Właściwie to wszystko jest jak wykonywana na sobie chińska kaźń lingchi. Przez tysiąc lat, aż do 1905 r., nieszczęśników w Kraju Środka przywiązywano do pala albo ramy i wystawiano na widok publiczny. Potem podchodził kat z workiem noży, pilników, dłut, pił i przystępował do dzieła. Zaczynał skazanego nacinać i kroić. Do zadawania różnych ran i okaleczeń dobierał różne narzędzia. Zaczynał najczęściej od płatków uszu, potem zabierał się za nos, wycinał brwi... Na tym poprzestaniemy. Czasami zadawano kilkadziesiąt ran, czasami, jak wspominają kroniki, nawet trzy tysiące. Czasami szybko wymierzano litościwy cios, jak powiedzieliby Francuzi: „coup de grâce", i skracano agonię, ale najczęściej męka trwała całymi dniami. Żadne cięcie nie było tym ostatecznym, ale wszystkie sprowadzały nieuchronny koniec.

Tak umiera Europa, tak popełnia samobójstwo, bo ofiara jest jednocześnie katem. Lingchi – to z opisu tej kaźni wziął się w języku angielskim idiom „death by a thousand cuts" – śmierć od tysiąca cięć, oznaczający koniec czegoś, upadek, ruinę, porażkę nie w wyniku jednego wielkiego wydarzenia, ale z powodu tysięcy małych okoliczności, z których każda z osobna mogłaby wydawać się stosunkowo niegroźna, nieszkodliwa. Ale jest i tak, że jedno małe zdarzenie bywa symbolem i syntezą dziesiątków zjawisk, a nawet tematem do opowieści o tysiącach czy milionach ofiar.

Oto holenderska minister mieszkalnictwa Elanor Boekholt-O'Sullivan w wywiadzie dla gazety „De Telegraaf" powiedziała, że opłacane przez Holendrów mieszkania państwowe czy komunalne powinny być przeznaczone dla imigrantów, ponieważ młodzi Holendrzy mogą mieszkać u rodziców. Jedną wypowiedź można rozpisać na całe tomy opowieści o niekontrolowanej imigracji do Europy. W 2025 r. do Unii Europejskiej wbiło się blisko 3 mln przybyszy, więcej niż Litwa ma mieszkańców. Dokładnie nie wiadomo ilu, bo dane dotyczące nielegalnych przekroczeń są brane z powietrza. Takie tam szacowanie, że może niecałe 200 tys. Ale i na ten problem europejscy władcy znaleźli sposób. Claudio Galzerano, szef włoskiego urzędu ds. imigracji i straży granicznej, oznajmił, że celem jest przekształcenie wszelkich nielegalnych strumieni migracji w ścieżki legalne: „Zwalczamy nielegalną migrację i popieramy tworzenie legalnych dróg migracji".

Wróćmy do wypowiedzi holenderskiej minister. Ona ni mniej, ni więcej tylko potwierdziła teorię wielkiego zastąpienia. Ludy Europy mają zniknąć, a z nimi cała nasza cywilizacja. Dla Holenderki imigranci są ważniejsi niż Holendrzy. Ta kobieta nie ma ojczyzny, nie ma rodaków, o których miałaby dbać, dla niej są tylko jakieś masy ludzkie, które trzeba gdzieś zmagazynować. Ta minister to jedna z tych dziesiątków tysięcy urzędników aktywistów, którzy wynarodawiają, zabijają Europę.



Jest i kolejny wątek. Co najmniej 3 mln ludzi rok w rok wbijających się do Europy – nieważne, czy legalnie – musi gdzieś mieszkać. Z powodu najazdu w Portugalii brakuje 300 tys. mieszkań, a ich ceny i czynsze od 2015 r. wzrosły o ponad 120 proc. W Hiszpanii niedobór wynosi 700 tys., a czynsze w Madrycie i Barcelonie sięgają 75 proc. średniego wynagrodzenia. 87-letnia Maricarmen

eprasa.pl b95eb4ceae

Abascal żyła ponad 70 lat w mieszkaniu w Madrycie, płacąc ok. 500 euro za wynajem. Czynsz wzrósł jednak do 2 tys. i był wyższy niż jej emerytura. Staruszkę eksmitowano, dosłownie na noszach wyniesiono z mieszkania. Dwa tygodnie później zmarła w szpitalu. Przerażony historią premier Pedro Sánchez, którego rząd doprowadził do katastrofy, ogłosił przedterminowe wybory, bo to ostania szansa na utrzymanie władzy.

W międzyczasie hiszpańskie urzędy analizują miliony wniosków o nadanie obywatelstwa ludziom, którzy nigdy nad Tagiem nie mieszkali, a są tylko potomkami Hiszpanów, którzy wyemigrowali. Do tego 1,3 mln podań o legalizację pobytu od tych, którzy wbili się bezprawnie. Ciesz się, Europo, będziesz miała dodatkowe 4,5 mln nowych, świeżutkich mieszkańców. Niemcy potrzebują 400 tys. mieszkań rocznie, Francja 500 tys., a w całej Unii trzeba ich budować co roku 2,5 mln. Nie buduje się. Pisałem o milionach skazanych – to ci, jak hiszpańska staruszka i młodzi, którzy żyjąc w epoce fantastycznych technologii, nigdy nie będą mieli własnego mieszkania i muszą się modlić, by to, co przez stulecie zbudowali ich przodkowie, nie zwaliło im się na łeb.



NIHILIZM ULICY I ELIT

Ale są i radosne wydarzenia. Kiedy minister Boekholt-O'Sullivan mówiła młodym, że mają mieszkać u swoich starych, jej szef, premier Rob Jetten, obwieścił, że będzie miał dzidziusia. On i jego argentyński kochaś Nicolás Keenan zamówili sobie w hodowli stworzonko. Od jednej znajomej zdobyli jajeczko, druga wynajęła im swoją macicę i na wiosnę cała transakcja i procedura zostaną domknięte. Na razie nie wiadomo, czy to będzie samczyk, czy samiczka. Jetten mówi: „maleństwo". Urodzi się dziecko, człowiek bez rodziców, bez dziadków, bez tożsamości, ze ślepą pamięcią genetyczną, owoc transakcji, hodowli i eksperymentu. Do czasu, kiedy przyjdzie na świat, powiedzmy w maju, eutanazji zostanie poddanych 7 tys. Holendrów. Państwo zabije chorych, a także niepotrzebnych nikomu, zużytych staruchów, więc jeśli się gnieździli w mieszkaniach państwowych, to zwolni się trochę miejsca dla imigrantów.

Czy to nie jest samobójstwo? Czy taka polityka, taki stosunek do człowieczeństwa, bezwstydne ogłaszanie zwycięstwa idei odhumanizowania ludzi, to nie są cięcia i rany na duszy wspólnoty, na jestestwie człowieka i całego narodu? Holenderska minister i holenderski premier wchodzą na kolejny poziom nihilizmu.

O klęsce Francji, o upadku państwa jako sposobu organizacji wspólnoty, ale też właśnie o współczesnym nihilizmie dzikich hord, intelektualistów i ludzi władzy pisał w „Le Figaro" francuski filozof Pascal Bruckner, komentując wydarzenia z 17 października br. Uczony mówi o sojuszu nihilizmu ulicznego z nihilizmem elit. Bandy rozwalające dzisiaj Francję chcą upadku systemu, zniszczenia zastanego porządku prawnego i cywilizacyjnego, jednak nie proponują nic w zamian. Tacy jak holenderska minister chcą stłamsić narody, ale nie mają najmniejszego pojęcia, jaka ciżba miałaby je zastąpić. Homoseksualista

eprasa.pl b95eb4ceae

Jetten co prawda projektuje sobie i zamawia nowego człowieka, ale jednocześnie pozbawia go przyrodzonej każdemu odrębności i przynależności.

Ale jest coś, co zdobywa sobie miejsce w wyzutej z wartości Europie. „Jeśli Europa odrzuci chrześcijaństwo, to dostanie islam" – ostrzegał już 200 lat temu francuski pisarz i dyplomata François-René de Chateaubriand. Nad zgliszczami francuskich miast, we Włoszech, w Belgii, Portugalii, Hiszpanii – wszędzie tam, gdzie tego samego dnia doszło do rozruchów, nad wszystkim powiewały nie tylko czerwone flagi komunistów, czarne anarchistów, lecz także palestyńskie. Transparenty z sierpem i młotem i kefije – chusty arafatki po palestyńskim terroryście i zbrodniarzu Jaserze Arafacie.

Sojusz islamistów i lewaków nie podlega dyskusji. Chwile lichej satysfakcji, schadenfreude ma Izrael: popieraliście Palestynę, ściągaliście do siebie Palestyńczyków, no to teraz będziecie mieli intifady i Liban. I podpowiadają: zróbcie tak, jak nam doradzacie. Rozwiązaniem może być powstanie na waszym terytorium dwóch państw: Francji i Palestyny, a Paryż niech będzie wspólny, jak Jerozolima.

Dziennikarze śledczy Fox News, największej stacji informacyjnej Ameryki, odkryli powiązania 54 organizacji z 12 państw, które przygotowały rozruchy we Francji i w innych krajach. Od młodzieżówek, poprzez komunistyczne związki zawodowe, kolektywy anarchistów, komuny ekologów i co tam jeszcze, aż po struktury dżihadu i ekspozytury Palestyny. Marksista Vijay Prashad, hinduski dziennikarz i wykładowca, jeden z tkaczy tej sieci, na 20 listopada zapowiada rozruchy w kilkunastu krajach. Od Paryża, poprzez Nowe Delhi, aż po Buenos Aires. „Niech nadejdzie furia, gniew może być naszą siłą" – cytuje fragment utworu brytyjskiego zespołu punkowego The Clash. A za wszystkim pieniądze Sorosa i pracującego dla Chin, a pochodzącego ze Sri Lanki, amerykańskiego miliardera Neville'a Roya Singhama.

HYBRYDOWA WOJNA DOMOWA

W lipcu w Waszyngtonie, w obecności przedstawicieli 70 państw (Sikorskiego nie było), amerykański sekretarz stanu Marco Rubio mówił o nowych globalnych zagrożeniach terrorystycznych. Już nie światowy islam, ale lewica stanowi największe wyzwanie. Rubio wskazał, że od szczytu działalności ISIS liczba ataków i spisków dżihadystów w Stanach Zjednoczonych spadła o dwie trzecie, a osób zabitych przez terroryzm islamski w Europie pomiędzy 2015 a 2024 r. o blisko 97 proc. Zagrożenie oczywiście nie zniknęło, jednak można mówić o sukcesie.

Skoncentrowany na walce z dżihadem Zachód przeoczył jednak rosnące zagrożenie ze strony skrajnej, agresywnej lewicy. Ta wraca do swoich korzeni i znów bawi się w to, co lubi najbardziej, czyli przemoc i zamordyzm. A może Rubio i Waszyngton coś przeoczyli? Może wojujący islam się przyczaił, budował bazę, obłaskawiał zdemenciałą Europę? Krwawe, wielkie zamachy odrzucają przerażony lud, budzą czujność. Może zamiast wielkich akcji trzeba w sojuszu z lewakami przyjąć metodę tysiąca cięć. Żaden z tych tzw. ekspertów od Europy, jak komuch, peerolowski konfident, były ambasador III RP we Francji Andrzej Byrt, nie nazwie tego wojną hybrydową – bo ten termin jest zarezerwowany dla działań Rosji – tylko będą bredzić o słusznych protestach młodzieży, która nie ma gdzie się uczyć, i o rosnących kosztach życia z powodu wojny USA z Iranem. Ludzie jak Byrt są wrogami Europy, oni ją rozbrajają.

> Nad zgliszczami francuskich miast, we Włoszech, w Belgii, Portugalii, Hiszpanii – wszędzie tam, gdzie tego samego dnia doszło do rozruchów, nad wszystkim powiewały nie tylko czerwone flagi komunistów, czarne anarchistów, lecz także palestyńskie. Transparenty z sierpem i młotem i kefije – chusty arafatki po palestyńskim terroryście

We Francji jednak już w otwarty sposób zaczyna się mówić o nadchodzącej wojnie domowej. Już przed laty ostrzegali przed nią w dwóch otwartych listach wojskowi, w tym generałowie, i deklarowali, że armia może wziąć sprawy w swoje ręce. Co to będzie: wojna domowa, zamach stanu? Prowadzący studia nad konfliktami zbrojnymi profesor King's College London, David Betz, szacuje prawdopodobieństwo wybuchu wojny domowej w jakimś europejskim kraju na 50 proc. A jak już się rozpocznie, to jest 60 proc. szans, że rozprzestrzeni się na inne. Szacuje się, że w całej Unii Europejskiej nawet 12 mln osób może mieszkać w strefach non-go, czyli tam, gdzie państwo utraciło kontrolę. We Francji nawet 5 mln. Zemmour, który ponownie będzie ubiegał się o prezydenturę Francji, twierdzi, że wojna domowa już się rozpoczęła.

Fundamentalnym problemem Europy nie jest fatalny stan gospodarki, rozpadający się system socjalny, ubożenie i brak perspektyw. Z tym wszystkim bajecznie bogaty, wyposażony w liczące tysiące lat zasoby cywilizacyjne kontynent mógłby sobie stosunkowo łatwo poradzić, wracając do tego, co zbudowało jego potęgę. Dekada dyscypliny, zaciśnięcia zębów i zakasania rękawów by wystarczyła. Ale nie ma woli. Europa sama na sobie dokonała kastracji i lobotomii. Bruckner pisze: „Przez lata hodowano w Europie kulturę usprawiedliwiania przemocy. Każdy wybuch agresji tłumaczono »wykluczeniem«, »rasizmem systemowym« czy »frustracją młodzieży«. Dzisiejszy terror i chaos są logiczną konsekwencją tej kapitulacji intelektualnej. Kiedy państwo boi się egzekwować prawo, by nie zostać oskarżonym o brutalność, to ulica zaczyna dyktować warunki. Oglądaliśmy narodziny barbarzyństwa, które nie potrzebuje już żadnego pretekstu, by uderzyć".

Kiedy piszę ten tekst, we Francji zapadają pierwsze wyroki. Sprawcy grabieży, napadów i podpaleń dostają kary pogrożenia paluszkiem albo są uniewinniani.

eprasa.pl b95eb4ceae

Pochwała wykorzenienia

W swojej nowej powieści Olga Tokarczuk tożsamości narodowej przeciwstawia wizję „niepolskiej Polski". Nie ukrywa swej niechęci do „piastowskiej" tożsamości Ziem Zachodnich i ironizuje z „uchrobryzowanego" Wałbrzycha





Nowa i długo zapowiadana powieść Olgi Tokarczuk jest w każdym calu przewidywalna. Dowodzi, że autorce jest absolutnie wygodnie w obowiązującym kanonie poprawności politycznej, czego dowiodła, unikając nawet odpowiedzi na pisemne pytania dziennikarza „Rzeczpospolitej", które uznano za konfrontacyjne i wykraczające poza umówiony temat. Już sam tytuł „Świata jest za dużo" zapowiada powieść długą, ale też taką, za pomocą której autorka pragnie wszystko do końca opowiedzieć, wyjaśnić, precyzyjnie ustawić czytelnika wobec swoich bohaterów. Narrator nie jest specjalnie czuły, ale z belferskim zacięciem pilnie prowadzi nieoświeconego czytelnika po fabule, dbając o jego świadomość.

Nie wiem, ile w tym było inwencji sztucznej inteligencji, z którą – jak sama Tokarczuk nieopatrznie ujawniła – przegadywała pomysły. Tym, którzy czytać nie zamierzają, podpowiedzmy, że autorka wyłożyła sens książki w przemówieniu, które w grudniu ub.r. wygłosiła w czasie zorganizowanych przez rząd Donalda Tuska i prezydenta Wałbrzycha Romana Szełemeja uroczystości 80. rocznicy powrotu Ziem Zachodnich do Polski. Wybór miejsca dla tak niewygodnego dla obecnej władzy jubileuszu nie był przypadkowy.

Pisarka w swoim wystąpieniu wyraziła tęsknotę za wielokulturową Rzecząpospolitą, której absolutny koniec nastąpił właśnie w czasie powojennych przesiedleń. A jako winowajcę, posiłkując się tezami Normana Daviesa, wskazała... Romana Dmowskiego, którego wizja „nacjonalistycznej homogenizacji" miała rzekomo zostać wykorzystana przez

MACIEJ WALASZCZYK

Markus Wissmann/Shutterstock.com/Materiały prasowe

eprasa.pl b95eb4ceae

komunistów w budowie nowej wspólnoty na ziemiach odzyskanych. „Przez histerię antyniemiecką, ale także poprzez antyukraińskość czy antyżydowskość realizowali więc w gruncie rzeczy wizję Dmowskiego, by nie powiedzieć: całego obozu narodowego, z tym najradykalniejszym włącznie". Choć, jak wiemy, bolszewicy nacjonalizmem posługiwali się wszędzie, gdzie było to dla nich wygodne, szczególnie tym ukraińskim.

W wizji Tokarczuk wielokulturowy ideał jednak powrócił, gdy w powojennym Wałbrzychu na kilka lat odrodził się ten odchodzący w niebyt świat. Co więcej, teraz „z osobliwej mieszaniny ludów, chodzącej po ulicach tego miasta 80 lat temu, powstało spójne w swojej pasji, otwarte społeczeństwo Polaków i Europejczyków".

Znam ten świat, bo stamtąd pochodzę, a o sprawach, o których Tokarczuk mówi i pisze, słyszałem od dziecka. Żydzi i Niemcy szybko stamtąd wyjechali, podobnie jak greccy komuniści, których na Dolny Śląsk ściągnęły te same komunistyczne władze. Na miejscu pozostała zlepiona z przesiedleńców polska większość, nad którą starali się dominować przesiąknięci komunizmem repatrianci z północnej Francji. Tak zrodziło się afirmowane dziś przez autorkę „otwarte społeczeństwo", wspólnota rozbita, wykorzeniona i okaleczona duchowo, co znakomicie ujawniają socjologiczne mapy, np. opisujące rozpad rodziny, religijność czy dokonywane przestępstwa.

BOLESŁAW CHROBRY Z PPR

Powieść cofa nas do ostatnich dni Festung Breslau, zmieniającej się we Wrocław. A przede wszystkim do Waldenburga, stającego się w 1945 r. polskim Wałbrzychem. Tokarczuk kreuje nowy, mitologiczny rodowód tego miasta jako wielonarodowego tygla. Choć przezornie też zastrzegała, zapewne spodziewając się krytyki, że to, co napisała, nie jest książką historyczną. Mamy nawet historię mitycznego strażnika, tu Kapitana, mającego rzekomo pilnować po wojnie tajemnic kompleksu „Riese" i ukrywającego się w lasach Gór Sowich. Brakuje tylko „złotego pociągu".

„Realizm jest jednym z błędów myślenia, a opisując przeszłość, nigdy nie wiemy, czy taka była, jaką ją przedstawiamy" – pisze autorka, umieszczając ową myśl w tekście pewnego żydowskiego myśliciela z Drohobycza. Choć jednocześnie konsekwentnie próbuje odtworzyć obraz tego świata materialnego, który pozostawili po sobie Niemcy: architektury, miejsc, zakładów przemysłowych, hoteli, szpitali, domów, sprzętów, towarów, takich jak

> Literatura, którą tworzy Olga Tokarczuk, jest kierowana do nowego mieszczaństwa, a więc nowej klasy społecznej, która pojawiła się w miejsce polskiej inteligencji. Grupy najczęściej o rodowodzie prowincjonalnym, a więc wykorzenionej, opierającej swój byt na pozorach bogactwa i niepewnej tożsamości

znakomite wina, piwa czy likiery. Uczulić – co jest prawdą – że wiele z tego bogactwa poszło w ciągu ostatnich 80 lat w ruinę. Ale już prawdę o ludziach i ich tożsamości umieszcza w „płynnym stanie skupienia".

Zatem opowieść o wielkim exodusie Polaków z Kresów i innych stron kraju i świata do nowej ziemi obiecanej przypomina rodzaj dalekiej od prawdy hebrajskiej hagady. Przeczytane w archiwach historie, zebrane relacje i lokalne mity Tokarczuk wrzuciła do swego alchemicznego kociołka, zaprawiając je jungowską psychologią czy kabalistyczną filozofią. „Ludzie byty płynne, a kultura i pamięć jedynie podtrzymują iluzję" – poucza Tokarczuk. A więc opisany przez nią „tygiel uniwersalnej wspólnoty" to po prostu konfrontacja z narodową tożsamością i pamięcią.

„A tu są Panie ludzie zewsząd" – mówi jeden z bohaterów książki. Ten Wrocław zaludniają cwaniacy z Garwolina, Zabużanie, ludzie ze Lwowa, Sybiracy. Polacy zalewający kolejnymi falami Wrocław i Wałbrzych nie są jednak zbyt sympatyczni. Miasto jest pełne kombinatorów, szabrowników, złodziei, cwaniaków, którzy mieszają się z ludźmi delegowanymi do osadnictwa, wojskiem, byłymi więźniami, jeńcami i miejscowymi Niemcami. To intruzi w cywilizowanym świecie. Browar Schultheiss został zastąpiony słowem „Piast", więc autorka ironizuje, że stara dynastia wróciła w postaci tych wszystkich przybłędów, wygnańców i mas nieszczęśliwych ludzi, którzy potracili własne domy. A Bolesław Chrobry to nominat PPR, bo „wszystko tu nagle stało się piastowskie, to znaczy polskie".

Mieszkańcy tych ziem nie tyle czekali na kolejną wojnę, o której wspomina się w książce, ile przez wiele lat żyli w atmosferze cichej tymczasowości wynikającej z nieuznawania przez Niemcy i USA polskiej granicy zachodniej. O tym jednak wszechwiedzący narrator czule milczy.

LUDZIE ZEWSZĄD

Przewijają się znajome nazwy, jak Hausdorf – zamieniony potem na Jugowice, Walim, Jedlina-Zdrój, Dzierżoniów, Świdnica i moja rodzinna Nowa Ruda, czyli przedwojenna Neurode. Mój pradziadek tuż po wojnie jako więzień gestapo przejął gospodarstwo ogrodnicze górujące nad rozpalającą dziś wyobraźnię amatorów historii fabryką zbrojeniową w Ludwikowicach. Jego klientami kupującymi do domu kwiaty na niedzielę byli właśnie Żydzi z obozowych filii Gross-Rosen. Po wyjściu z obozów nie chcieli i nie mieli dokąd wracać, więc skupiali się wokół organizacji syjonistycznych. Tylko na chwilę

eprasa.pl b95eb4ceae

m.in. w Wałbrzychu, a dokładnie na Sobięcinie, w tzw. Palestynie, lub Dzierżoniowie znaleźli swoje miejsce, ale dość szybko zdecydowali się na wyjazd do tworzącego się państwa Izrael. Inni, jak książkowa Wanda Lewicz, filtrowali nielegalnie przez zieloną granicę do Wiednia, skąd otwierała się przed nimi droga na wszystkie strony świata.

Osobną kategorię stanowią Polacy z Francji, pogardliwie nazywani „Francuzami" z Pas-de-Calais, którzy przyjechali do kopalni w Wałbrzychu. Repatrianci rosną w oczach Tokarczuk, bo wracają do Wałbrzycha odmienieni jako uosobienie kartezjańskiego racjonalizmu, są zaczynem nowej wspólnoty przekraczającej tradycyjną polskość. „Francuzy" to po prostu komuniści z Francuskiej Partii Komunistycznej. Jules-Julian to nie tylko górnik, lecz także weteran wojny hiszpańskiej, którą wspomina „ze wzruszeniem i rozrzewnieniem". Narrator czule lakieruje swoich bohaterów, więc dopowiedzmy – to w czasach stalinowskich milicjanci, donosiciele, strażnicy więzienni, urzędnicy, zadeklarowani wrogowie Kościoła, pierwsi zdejmujący krzyże w szkołach. Awangarda nowej wspólnoty afirmowanej przez Tokarczuk.

Figurą Zabużan z Borysławia, Drohobycza czy spod Lwowa jest małżeństwo znad Strypy na Podolu. Sołomyja, a potem Salomea, oraz Stepan, Szczepan, a ostatecznie Stefan, skrzyżowanie tożsamości zachodnio-wschodniej. Zastanawiają się nad tym, kim stali się teraz po przejściach. W zrujnowanym Wrocławiu natykają się na zniszczony, ale lepszy świat, mimo wszystko stojący cywilizacyjnie wyżej, choćby dając szansę na wyleczenie raka „niemiecką maszyną" do napromieniania. „Mają szczęście, że się tutaj znaleźli, gdzie indziej byłoby to niemożliwe" – podpowiada czule narrator, który pomija wszechobecność armii sowieckiej i NKWD, masowe rabowanie fabryk, całych linii produkcyjnych i ekonomiczną eksploatację terenów uznanych za wojenny łup. Małżeństwo to też ocaleńcy z wołyńskiej rzezi, ujętej w jednym z obszerniejszych epizodów książki. Przewijają się w niej także ich krewni, którzy śmierci uniknęli tylko dlatego, że jeszcze przed wojną popłynęli do Argentyny.

PONURY CIEŃ POLSKIEGO PANA

Jak jeden z repatriantów trafił do francuskiej kopalni? Ponoć w wojnie polsko- bolszewickiej walczyli jego ojciec i stryj, a „rząd obiecał każdemu żołnierzowi pracę". Gdy więc po powrocie poprosili o nią jadącego na koniu dziedzica, ten szyderczo ich spławił. To jedynie kilkuzdaniowy epizod, w którym ów „polski pan" jawi się jako postać absolutnie ponura. Choć anonimowy, zdaje się symbolicznie uosabiać tę tradycyjną Polskę. Mamy też zagubione w odmętach historii trzy kobiety, które utraciły swego męża i ojca Wacława Horodeckiego – zubożałego polskiego ziemianina z Kozłowa, który trafił na Sybir, potem do Armii Andersa, by po wojnie osiąść na londyńskim Ealingu. Człowiek ten, reprezentujący polską elitę, okazuje się egoistą, który nawet nie próbuje nawiązać ze swoimi kobietami kontaktu.

Jednocześnie Niemcy, którzy w czasie wielkiej ewakuacji nie uciekli przed Sowietami w styczniu 1945 r., może poza esesmanami są szlachetni, hardzi, kulturalni i dumni. Czy ktoś z nich przed wojną głosował na NSDAP? Tego tak narrator nie przypomina.

Wyjątkowo perwersyjna jest (przy) opowieść o ofierze patriarchalnej przemocy, którą stała się sybiraczka Nina Lewandowska. Nie wiem, czy tę historię podpowiedziała autorce sztuczna inteligencja. Niewinna dziewczyna jako ofiara gwałtu zmuszona jest opuścić postulat przeprowadzonych wprost ze Lwowa sióstr benedyktynek, które cudem po długiej tułaczce odnalazła w Krzeszowie. Już poza murami klasztoru, broniąc siebie i swojej towarzyszki przed kolejnym gwałtem, dokonuje przestępstwa i trafia do celi wrocławskiego aresztu przy Kleczkowskiej. Tworzy tam kobiecą wspólnotę z Niemką i Ukrainą oskarżoną o współpracę z UPA. Co więcej, w tej samej celi, w której 20 lat wcześniej odsiadywała sama Róża Luxemburg. Po wyjściu z więzienia jest już aktywną lesbijką.

W tym czasie, o czym czule milczy narrator, areszt przy Kleczkowskiej zaludniony jest więźniami politycznymi, żołnierzami antykomunistycznego podziemia, akowcami, których oprawców pierwszy demaskował prof. Krzysztof Szwagrzyk. Choć mamy opowieść o narodowym tyglu, nie dowiadujemy się o żydowskich działaczach Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy na stanowiskach naczelników więzienia, prokuratorów i funkcjonariuszy wrocławskiego MBP.

LITERATURA WYKORZENIONYCH

Jak zauważył Wawrzyniec Rymkiewicz, literatura, którą tworzą tacy autorzy jak Szczepan Twardoch czy właśnie Olga Tokarczuk, kierowana jest do nowego mieszczaństwa, a więc nowej klasy społecznej, która pojawiła się w miejsce polskiej inteligencji. Grupy najczęściej o rodowodzie prowincjonalnym, a więc wykorzenionej, opierającej swój byt na pozorach bogactwa i niepewnej tożsamości. „Świata jest za dużo" jest afirmacją ich statusu, wizją narodzin – jak pisze autorka – „niepolskiej Polski", niepasującej do reszty kraju i jego historii. Inne są tu architektura, historia i krajobraz, ale nawet prognoza pogody ogłaszana z Warszawy, która nigdy się nie sprawdza. Autorka kibicuje temu niedopasowaniu, twórczo rozwijając słynne „polskość to nienormalność".

Tokarczuk, a raczej jej bohaterowie zadają sobie pytanie, czy w rzeczywistości pełnej ruchu i zmian, w tym tak dramatycznych wydarzeń, jak wojna, wywózki, przesiedlenia, zniszczenia i śmierć, pozostają wciąż tymi samymi ludźmi. Tym bardziej że oddzielając się od własnej przeszłości, mają przeżywać „nieustanną euforię". Pisarka głosi więc pochwałę wykorzenienia, afirmując u współczesnych mieszkańców tych ziem (nie wszystkich) rodzaj specyficznego nihilizmu. Posuwa się nawet dalej, idąc tropem zapewne Baumana: głosi, że i granica państwa staje się płynna. Bo skoro kiedyś, w tym samym miejscu, rozdzielała Śląsk od Czech, Austrię od Prus, a teraz Polskę od Czech (do niedawna od Czechosłowacji), to „być może pojawią się tu jakieś inne państwa, o których na razie nikt nie ma zielonego pojęcia". I o to tutaj chodzi.

eprasa.pl b95eb4ceae

Siedem błędów rządu Tuska, *które przypominają drogę do rozbiorów*



Ambasador Niemiec Miguel Berger był obecny polskim w sejmie podczas głosowania nad programem SAFE

Rozbiory nie zaczęły się w dniu, w którym obce wojska przekroczyły granice Rzeczypospolitej. Zaczęły się w głowach elit, które uwierzyły, że interes własnego stronnictwa jest ważniejszy od interesu państwa, że pomoc obcych mocarstw można wykorzystać bez ponoszenia kosztów, a suwerenność da się obronić, powierzając jej ocenę zagranicznym protektorom



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Historia nie powtarza się dokładnie tak samo, a dzisiejszej Polski nie można utożsamiać z XVIII-wieczną Rzecząpospolitą. Nie oznacza to jednak, że możemy lekceważyć lekcje z przeszłości. W XVIII w. zapłaciliśmy za to niepodległością. Dziś stawką jest zdolność Polski do samodzielnego decydowania o swoim bezpieczeństwie, gospodarce, edukacji i miejscu w Europie.

Przyjrzyjmy się decyzjom i kierunkom polityki obecnego rządu, które każą postawić niewygodne pytanie: czy polskie elity wyciągnęły wnioski z jednej z największych katastrof w naszych dziejach?

OBCY PROTEKTOR GWARANTEM NASZEJ WOLNOŚCI?

Jedną z największych ironii schyłku I Rzeczypospolitej było to, że część szlachty szukała ratunku dla swojej wolności w mocarstwie, które planowało tę wolność zniszczyć. W 1767 r. konfederacja radomska, skupiająca przeciwników króla Stanisława Augusta Poniatowskiego i jego reform, powstała przy wsparciu rosyjskiego ambasadora Nikołaja Repnina. Jej uczestnicy liczyli, że rosyjska pomoc pozwoli im pokonać politycznych rywali i zachować dotychczasowe przywileje. Tak zwany sejm repninowski, obradujący pod rosyjską presją, utrwalił rozwiązania ustrojowe korzystne dla Petersburga, wprowadził tzw. prawa kardynalne i doprowadził do formalnego objęcia RP rosyjskim protektoratem. Repnin wykorzystał polityczne ambicje magnatów, by umocnić rosyjskie wpływy i ograniczyć suwerenność Rzeczypospolitej.

Podobny mechanizm ujawnił się ćwierć wieku później. Konfederacja targowicka, zawiązana w 1792 r. pod hasłami obrony dawnych praw i wolności, wystąpiła przeciwko reformom Konstytucji 3 maja, korzystając z rosyjskiego wsparcia. Jej przywódcy twierdzili, że bronią tradycji i ustroju. W ten sposób

Fot. Adam Burakowski/East News

eprasa.pl b95eb4ceae

otworzyli drogę rosyjskiej interwencji, a następnie do drugiego rozbioru Polski.

Dziś mamy zupełnie inny porządek międzynarodowy. Polska należy do Unii Europejskiej i NATO, a współpraca z partnerami jest fundamentem naszego bezpieczeństwa. Nie należy utożsamiać europejskich instytucji z rosyjskim ambasadorem XVIII w. Można jednak zapytać, czy polska polityka nie wpada niekiedy w tę samą pułapkę myślenia. Kiedy Platforma Obywatelska znajdowała się w opozycji, jej politycy zabiegali na forum europejskim o wywieranie presji na rząd Zjednoczonej Prawicy w sporach dotyczących praworządności. Uzasadniali te działania obroną europejskich standardów. Rezultatem było przenoszenie krajowego konfliktu na arenę międzynarodową i zachęcanie zagranicznych instytucji do wywierania nacisku na polskie władze.

Nie każde odwołanie się do prawa europejskiego jest zdradą interesu narodowego. Nie każde międzynarodowe zobowiązanie ogranicza suwerenność w sposób szkodliwy. Niebezpieczna staje się jednak strategia, w której zagraniczna presja służy jako narzędzie krajowej walki o władzę. Ci, którzy uznają ją za użyteczną broń przeciwko politycznym rywalom, muszą pamiętać, że nie zawsze pozostaje ona pod ich kontrolą.

AMBASADOR JAKO DYPLOMATA CZY NAMIESTNIK?

W XVII i XVIII w. zagraniczni ambasadorowie na dworze królewskim zabiegali o wpływy, wspierali wybrane stronnictwa i utrzymywali kontakty z magnatami oraz posłami. Niekiedy bezpośrednio ingerowali w przebieg polskich obrad. Pod koniec istnienia I Rzeczypospolitej rosyjski ambasador w praktyce pełnił funkcję namiestnika. Symbolem tej polityki stał się wspomniany już Nikołaj Repnin, kierujący rosyjską placówką w Warszawie w latach 1764–1769. Później podobną rolę odgrywali: Otto Magnus von Stackelberg, kształtujący polską politykę po pierwszym rozbiorze, Jakob Sievers, który nadzorował działania prowadzące do odwrócenia części reform Konstytucji 3 maja, oraz Osip Igelström, odpowiedzialny za redukcję wojska Rzeczypospolitej, wypędzony z Warszawy podczas insurekcji kościuszkowskiej.

Uwagę opinii publicznej zwróciła obecność ambasadora Niemiec podczas głosowania nad programem SAFE. Sama obecność niemieckiego urzędnika nie dowodzi ingerencji w głosowanie. Udział dyplomatów w wydarzeniach publicznych jest normalnym elementem stosunków międzynarodowych. Warto jednak pytać, jakie znaczenie polityczne nadają takim wydarzeniom uczestnicy życia publicznego i czy zagraniczną aprobatę można wykorzystywać jako argument w krajowym sporze. Tym bardziej że głosowanie nad SAFE budziło wątpliwości dotyczące warunków finansowania i zobowiązań, które ma przyjąć Polska. Pytania o koszty pożyczki, zasady wydatkowania środków, korzyści dla przemysłu obronnego i warunkowość wypłacania pieniędzy wymagają konkretnych odpowiedzi.

Historyczna analogia dotyczy granicy między partnerskimi stosunkami międzynarodowymi a sytuacją, w której obecność zagranicznego przedstawiciela staje się politycznym symbolem nacisku lub oczekiwania określonego wyniku. Zasadne jest również pytanie, czy przyjęte rozwiązania zapewnią Polsce trwałe korzyści niezależnie od tego, kto będzie sprawował władzę.

TAJEMNICZE PIENIĄDZE Z ZAGRANICY

W dawnej Rzeczypospolitej obce dwory zabiegały o wpływy wśród magnatów i posłów, na szeroką skalę finansując działalność wybranych stronnictw. Pieniądze pozwalały wygrać kampanię, utrzymać polityczne zaplecze lub zablokować reformę, a zarazem utrwalały zależność beneficjentów od zagranicznych mocodawców. Dziś zagraniczne środki przepływają innymi kanałami: przez fundacje, organizacje pozarządowe, ośrodki analityczne i media. Przykładem jest Campus Polska Przyszłości, którego organizację wspierały m.in. niemiecka Fundacja Konrada Adenauera i Fundacja OX2.

Sam fakt zagranicznego finansowania nie dowodzi politycznej zależności. Problem zaczyna się wtedy, gdy zagraniczny sponsor może wpływać na kształtowanie agendy politycznej, a obywatele nie mają możliwości oceny skali tego wpływu. Kluczowe jest więc pytanie, kto finansuje organizacje wpływające na debatę publiczną i jakie warunki wiążą się z tym finansowaniem. W XVIII w. nie wszyscy magnaci opłacani przez obce dwory uważali się za zdrajców. Wielu przekonywało samych siebie, że służy ojczyźnie, religii, tradycji albo wolności. Tymczasem ich prywatne kalkulacje mogły sprzyjać interesom państw, które chciały utrzymać Polskę w słabości.



Nikołaj Repnin

Fot. Domena publiczna

NISZCZENIE EDUKACJI

Jednym z najważniejszych osiągnięć schyłkowego okresu I Rzeczypospolitej było powołanie w 1773 r. Komisji Edukacji Narodowej. Mimo kryzysu państwa polskie elity podjęły próbę stworzenia nowoczesnego systemu kształcenia, który miał wychowywać świadomych obywateli i wzmacniać kraj. Po drugim rozbiorze w 1793 r. targowiczanie i sejm grodzieński dążyli do zniszczenia KEN, a całkowitą likwidację instytucji przyniósł ostateczny upadek RP. Historyczna lekcja pozostaje aktualna: edukacja jest jednym z fundamentów państwa.

Dlatego działania minister edukacji Barbary Nowackiej zasługują na szczególnie uważną ocenę. Pod hasłami odciążenia uczniów i modernizacji szkoły resort wprowadził zmiany, które spotkały się z ogromną krytyką. Nowacka jest jednym z najbardziej krytykowanych ministrów w rządzie Donalda Tuska. Jej resortowi zarzuca się osłabianie polskiej szkoły przez ograniczanie prac domowych, uszczuplanie podstaw programowych, zmiany w kanonie lektur, ograniczanie miejsca polskich bohaterów

eprasa.pl b95eb4ceae

w nauczaniu, redukcję godzin religii oraz historii, a także wpychanie ideologii do klas poprzez tzw. edukację zdrowotną. Szkoła stała się narzędziem wojny ideologicznej, za co cenę płaci młode pokolenie. Państwo, które zaniedbuje wiedzę, nauczanie historii i wychowanie obywatelskie, osłabia fundamenty swojej przyszłości.

URZĘDNICY WŁASNEGO PAŃSTWA, RZECZNICY CUDZYCH INTERESÓW

Szczególnie niebezpieczna sytuacja powstaje wtedy, gdy interesy zagranicznych partnerów zaczynają być realizowane rękami przedstawicieli własnego państwa. W XVIII w. symbolem takiej postawy stali się przywoływani już przywódcy konfederacji targowickiej. Dziś podobne skojarzenia może budzić działalność prof. Krzysztofa Ruchniewicza, byłego dyrektora Instytutu Pileckiego, któremu zarzucano celowe niszczenie tej instytucji. Największe kontrowersje wywołał ujawniony w 2025 r. pomysł zorganizowania seminarium poświęconego możliwości zwrotu Niemcom dóbr kultury posiadanych przez Polskę. Ruchniewicz zaprzeczał, że domagał się takich zwrotów, a jego odwołanie z funkcji dyrektora minister kultury uzasadniała wadliwymi zamierzeniami programowymi, komunikacją i decyzjami zarządczymi.

W 2025 r. kontrowersje wywołała również wystawa „Nasi chłopcy" w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku ze względu na skandaliczny sposób przedstawiania historii Polaków wcielanych do niemieckiego wojska. Już pierwotna koncepcja ekspozycyjna tej placówki, przygotowywana za pierwszych rządów Platformy Obywatelskiej, zakładała opowieść o wojnie w wymiarze uniwersalnym, a nie przede wszystkim opowieść o historii Polski, losach jej obywateli i doświadczeniu polskiego narodu. Z kolei w 2024 r. usunięto z wystawy głównej rtm. Witolda Pileckiego, o. Maksymiliana Kolbego oraz rodzinę Ulmów, co nowe władze muzeum tłumaczyły potrzebą przywrócenia pierwotnej koncepcji ekspozycji. Instytucje państwowe nie powinny się stawać narzędziem realizacji cudzych oczekiwań ani rezygnować z polskiego punktu widzenia w imię dobrych relacji z zagranicą. W historii Rzeczypospolitej wielokrotnie okazywało się, że najskuteczniejszy nacisk z zewnątrz to ten, który znajdował wykonawców wewnątrz kraju.

ZAGRANICZNE ORDERY I MEDALE

W XVIII w. zagraniczne odznaczenia były nie tylko wyrazem uznania, lecz także narzędziem budowania wpływów. W 1764 r. Stanisław August Poniatowski otrzymał rosyjski Order św. Andrzeja, a w 1782 r. podobne wyróżnienie z rąk Katarzyny II przypadło jednemu z późniejszych przywódców konfederacji targowickiej, Stanisławowi Szczęsnemu Potockiemu.

> Dzieje przedrozbiorowej Rzeczypospolitej pokazują, że suwerenność można tracić stopniowo przez polityczną krótkowzroczność, nieprzejrzyste zależności i przekonanie, że własne państwo jest jedynie narzędziem do pokonania wewnętrznego przeciwnika. O tych doświadczeniach powinni pamiętać współcześni politycy

Samo przyjęcie orderu nie dowodziło zdrady, ale w świecie polityki gesty takie miały znaczenie: umacniały więzi z obcym dworem i prestiż jego polskich sojuszników. Dziś zagraniczne wyróżnienia też mogą być odczytywane jako symbol politycznej bliskości. Donald Tusk w 2012 r. odebrał niemiecką Nagrodę im. Walthera Rathenaua za zasługi dla integracji europejskiej. Zagraniczne wyróżnienia same w sobie nie świadczą o politycznej zależności. Warto jednak pytać, czy prestiż zdobywany za granicą idzie w parze ze stanowczą obroną polskich interesów.

REZYGNACJA Z WŁASNYCH AMBICJI

W XVIII w. słabość gospodarcza Rzeczypospolitej szła w parze z interesami sąsiadów, którym nie zależało na powstaniu silnego, niezależnego państwa w tej części Europy. Magnackie partykularyzmy i blokowanie reform utrudniały modernizację kraju, podczas gdy sąsiednie mocarstwa wzmacniały armie, administracje i gospodarki. Dziś coraz wyraźniej widać, że Polska nie wykorzystuje szansy na wzmocnienie swojej pozycji. Centralny Port Komunikacyjny mógłby się stać ważnym węzłem transportowym Europy Środkowej i wzmocnić pozycję LOT. Dopracowanie technik wydobycia surowców na Bałtyku, po dokładnym rozpoznaniu złóż i opłacalności eksploatacji, mogłoby zwiększyć bezpieczeństwo surowcowe kraju. Z kolei żegluga na Odrze mogłaby rozwinąć transport towarów i połączenia polskich portów z zapleczem gospodarczym regionu. Przedsięwzięcia są wstrzymywane, ograniczane, a ich realizacja w najlepszym przypadku odkładana. Polska nie powinna rezygnować z rozwoju tylko dlatego, że jej inwestycje mogą konkurować z silniejszymi sąsiadami. Słabość państwa nigdy nie jest gwarancją bezpieczeństwa.

WŁAŚCIWA LEKCJA

Dzisiejsza Polska funkcjonuje w innych warunkach, a historyczne analogie nie zastępują dowodów w ocenie konkretnych zarzutów. Ale dzieje przedrozbiorowej Rzeczypospolitej pokazują, że suwerenność można tracić stopniowo przez polityczną krótkowzroczność, nieprzejrzyste zależności i przekonanie, że własne państwo jest jedynie narzędziem do pokonania wewnętrznego przeciwnika.

Polska nie musi wybierać między izolacją a podporządkowaniem. Może być lojalnym członkiem sojuszy i jednocześnie stanowczo bronić swoich interesów. Historia nie powtarza się dosłownie. Ale bardzo często daje kolejną szansę, aby rozpoznać własne błędy, zanim cena za nie stanie się nad wyraz wysoka.

eprasa.pl b95eb4ceae



Kadr z filmu „SOR”

Kierunek: szpital

Wciąż niosą nadzieję i kaganek oświaty. Oswajają z nieuniknionym, ale dają też wiarę w kompetentną pomoc. Coraz mocniej podnoszą ciśnienie oglądających je widzów. Polskie seriale medyczne. Te ze stażem i te najnowsze

Fot. TVP

eprasa.pl b95eb4ceae



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Kadr z filmu „Znieczulenie”

„SOR”, który właśnie zadebiutował w TVP2, i „Znieczulenie” Netfliksa (do obejrzenia od 4 listopada) nie zapowiadają tylko plasterka na realny, rosnący niepokój pacjentów. Unikają wyidealizowanej wizji. Są odpowiedzią na medyczne seriale produkowane na świecie. Mają przyciągnąć i zatrzymać widzów, również młodszych.

DOSŁOWNOŚĆ I DOSADNOŚĆ

Poza różnorodnymi przypadkami i przypadłościami, odpowiednio skomplikowanym obyczajowym i uczuciowym tłem, coraz odważniej oferują to, czego przez lata w polskiej telewizji unikano. Dosłowność i dosadność w pokazywaniu medycznych procedur. Przypatrywanie się z bliska obrażeniom i zaglądanie pod skalpel.

Reżyserki „SOR” podkreślają „unikalne i bezkompromisowe podejście do dramatu medycznego w Polsce”. Sylwia Rosak i Sara Bustamante-Drozdek mówią o założeniach i efekcie: realizmie i drastyczności bez cenzury. Zdecydowanym odejściu od dotychczasowych, ugrzecznionych polskich produkcji. Pokazywaniu krwi, autentycznie wyglądającego wnętrza organizmu oraz skomplikowanych kulis zabiegów. Wszystko po to, by „jak najwierniej oddać ciężką rzeczywistość oddziałów ratunkowych”.

WYŚCIG I TRWANIE

Pojawia się jeszcze jedna wyraźna różnica. Zwłaszcza dla fanów wciąż chętnie oglądanego „Na dobre i na złe” czy podążającego jego śladem „Szpitala św. Anny”. To ekstremalne tempo akcji. Odcinki są niezwykle skondensowane i „nabite” przypadkami medycznymi, co ma odtwarzać ciągły wyścig z czasem, w którym lekarze nie mają chwili na odpoczynek.

Poza takimi nowościami pozostają jednak elementy obecne i w „uładzonych” opcjach polskich med-seriali. To coraz mocniej eksponowana edukacja. Budowanie odpowiedniego nastawienia wobec potrzeb (m.in. transplantologii), procedur i działań (podkreślanie m.in. wagi pierwszej pomocy). O tę opcję rozszerzane są nieustannie nie tylko wyrosły z fabularyzowanego dokumentu serial „Na ratunek”, lecz także „Na dobre i na złe” czy „Szpital św. Anny”.

Niezmienny i kluczowy – niezależnie od założeń i ambicji twórców – pozostaje tzw. czynnik ludzki. Wyraziste, przyciągające główne postacie i zatrzymujący uwagę (zmieniający nastroje widza) drugi i trzeci plan. Pokazywanie prywatnych kłopotów, dramatów i zmęczenia bohaterów, ale też tego, że mimo osobistych obciążeń są godnymi zaufania przedstawicielami ochrony zdrowia. To ważny PR-owy przekaz, szczególnie w czasach wielu szpitalnych afer.

MŁODOŚĆ I NAWIĄZANIA

„SOR” stawia na młodość. W głównych rolach występują: Sebastian Dela (jako niepokorny, ale i błyskotliwy lekarz, który rozpoczyna pracę na szpitalnym oddziale) i Sonia Mietielica (lekarka, jego dawna miłość). Uczuciowe i zawodowe relacje między bohaterami dopełniają, dzięki tworzonym przez siebie postaciom, m.in. Maurycy Popiel, Ireneusz Czop i Dominika Kluźniak.

Na rozpoznawalność i zapewne też skojarzenia (z super postacią stworzoną w innym serialu) postawiła platforma Netflix, realizując „Znieczulenie”. W głównej roli występuje Leszek Lichota, który wcześniej świetnie zagrał wybitnego chirurga, prof. Rafała Wilczura vel tytułowego „Znachora” Antoniego Kosibę.

Serialowy dr Dawid Łazarz to najwyższej klasy neurochirurg, który po nieudanej operacji opuszcza wielki ośrodek, podejmując pracę w szpitalu na prowincji. I jak Kosiba, choć przy pełnej samoświadomości bohatera, zaczyna poznawać lokalną społeczność. Musi również skonfrontować się z panującymi w niej regułami. Grają m.in.: Aleksandra Popławska, Karolina Gruszka, Krzysztof Stelmaszyk i Gamou Fall.

WABIENIE WIDZA

Emitowany od 2025 r. „Szpital św. Anny” z sezonu na sezon buduje sobie wierną widownię. Średnia oglądalność serialu to już ponad 850 tys. widzów. I rośnie, choć nadal jest niższa niż zasięg „Na sygnale” (blisko milion widzów) – nie licząc absolutnego lidera: „Na dobre i na złe”.

Krakowscy lekarze nie dają jednak za wygraną. I w dużej mierze to zasługa kobiecych bohaterek. Zwłaszcza charyzmatycznej onkolożki Zyty Orłowicz (Jolanta Fraszyńska). Ekranowa pani profesor niesie nadzieję serialowym pacjentom. I widzom. Ma ogromną wiedzę, doświadczenie i empatię. Potrafi nawiązać dobre relacje nie tylko ze straumatyzowanymi pacjentami i ich rodzinami, lecz także z koleżankami/przyjaciółkami z pracy. Z lekarkami: Katarzyną Hajduk (Joanna Liszowska) i Kają Piotrowską (Ada Szczepaniak), ratowniczką medyczną Marą Galicą (Klaudia Koścista) i koordynatorką SOR Sabiną Krawczyk (Katarzyna Bujakiewicz) tworzą medyczno-babski krąg. W ważnym drugim planie są wyraźnie obecni męscy bohaterowie. Głównie lekarze, choć nie tylko.

Medycy z Krakowa ostro rywalizują z podwarszawską Leśną Górą. I – ponieważ spotykają się z widzami kilka razy w tygodniu – mają szansę coraz mocniej zaznaczyć swoją obecność. Jednak z „Na dobre i na złe” na razie niełatwo się mierzyć. Sztandarowy medyczny polski serial – z tysiącem odcinków na koncie (jubileuszowy wyemitowano 7 października) – po niemal 27 latach na antenie przyciąga średnio 1,83 mln widzów.

Fot. Netflix

eprasa.pl b95eb4ceae

Klasyk antyutopii

Makiaweliści przypominają nam, że polityka zawsze sprowadza się do dążenia do władzy. A za wielkimi ideami i moralnymi pouczeniami zawsze kryje się potrzeba dominacji



MACIEJ WALASZCZYK

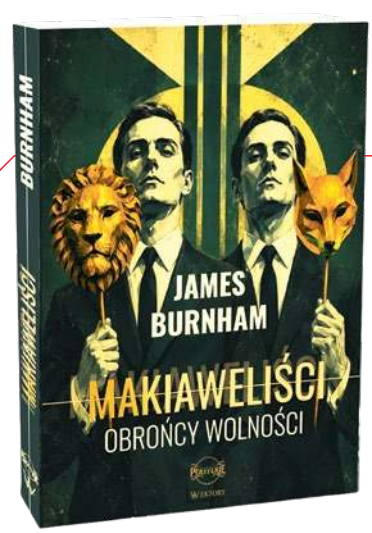
James Burnham pierwszy opisał najważniejszy dla współczesności przewrót społeczno-polityczny, który dostrzegł zarówno w ustrojach totalitarnych, socjalizmie, jak i w demokracjach rynkowych, a więc mechanizm działania demoliberalnego państwa menedżerskiego. Jego ofiarą padła dawna burżuazja i klasa robotnicza, a dziś klasa średnia. W słynnej „Rewolucji menedżerów" ukazał narodziny nadzorującej życie społeczno-gospodarcze nowoczesnej technokracji i jej absolutną władzę. Umieszczony w „Roku 1984" Orwella partyjny podręcznik „Teoria i praktyka oligarchicznego kolektywizmu" był inspirowany właśnie tą książką Burnhama.

Burnham był założycielem konserwatywnego periodyku „National Review", który w latach 50. XX w. samotnie stanął wobec lewicy dominującej w amerykańskim życiu kulturalnym i politycznym. A jako żołnierz jednego z frontów zimnej wojny był też jednym z głównych organizatorów Kongresu Wolności Kultury, wspierając Instytut Literacki Jerzego Giedroycia, w którym w 1958 r. wydano pierwszy polski przekład „Rewolucji menedżerów". Był początkowo trockistą, ale po zawarciu przez Stalina w 1939 r. paktu z Hitlerem porzucił „starą lewicę" lat 30. dla nowej antykomunistycznej prawicy lat 50. Jako jeden z pierwszych zwracał uwagę, że wywodzący się z lewicy neokonserwatyści, chociaż sami o sobie sądzili, że zerwali z jej doktryną, przejmując władzę w Partii Republikańskiej, zachowali lewicową wrażliwość. Pomnażając i rozwijając nowoczesne środki panowania, dążyli jedynie do samoutrwalenia władzy, a pod maską wcielania w życie kolejnej utopii, tym razem powszechnej demokracji i globalnego rynku, stali się zagrożeniem dla amerykańskich wolności.

W opinii Burnhama, aby lepiej rozumieć naturę polityki, należy sobie przyswoić naukę o władzy Machiavellego oraz dziedziców jego stylu myślenia. Teorię klasy rządzącej Gaetana Moski, wiedzę o sile politycznego mitu i źródłach przemocy politycznej Georges'a Sorela, żelazne prawo oligarchii Roberta Michelsa i koncepcję krążenia elit Vilfreda Pareto. To w ich realizmie widział klucz do zachowania naszych wolności, a zarazem zabezpieczenie wobec myślenia utopijnego, wynikającego z przekonania, że polityka jest w stanie rozwiązać wszystkie problemy człowieka.

Burnham widzi politykę przez pryzmat historycznych obserwacji Machiavellego, bez względu na epokę rozgrywającą się w chaotycznej rzeczywistości, podlegającej nieustannym zmianom. Zatem i państwo, nawet to dobrze rządzone, zawsze ulega zepsuciu, a z kolei nawet to zdegenerowane korupcją i słabością ma szansę na odrodzenie. Dlatego nie jest możliwa realizacja wizji ustroju idealnego ani nawet takiego „w miarę dobrego". Wielkie programy są ostatecznie pozbawione znaczenia, bo głównym celem polityki jest zdobycie, utrzymanie i rozszerzanie władzy oraz przywilejów. Dlatego jedynym kryterium oceny może być wyłącznie zachowanie wolności, zarówno od zewnętrznej przemocy obcych, jak i wewnątrz, od arbitralnej woli jednostek, instytucji i mas. Siła i słabość narodu, jego kultura, dobrobyt i odporność zależą jedynie od charakteru jego mniejszościowej klasy rządzącej (Mosca). I to pod warunkiem zapewnienia w obrębie tej elity swobodnej cyrkulacji, zarówno w górę, jak i w dół drabiny społecznej. Gdy droga awansu zostaje zamknięta, społeczeństwu grozi rewolucja (Pareto). Jednak to nie masy kontrolują przywódców, ale przywódcy kontrolują masy. I choć celem elity jest zachowanie władzy i przywilejów, jej jakość można oceniać tylko przez poziom cywilizacyjny kierowanej przez nią wspólnoty oraz wolność jednostki chronionej przed arbitralnym sprawowaniem władzy (Michels). Całą wspólnotę zaś scala formuła polityczna: powszechnie akceptowana religia, ideologia czy mit. Wspólnota musi też akceptować przemoc – ale taką, która prowadzi ją do poświęcenia i heroizmu – chroniąc się przed mnożeniem wulgarnych aktów brutalności.

Burnham mówi nam po prostu, że tylko wyrzekając się wszelkiej ideologii, mamy szansę ujrzeć świat i człowieka w prawdzie.



James Burnham, „Makiaweliści, obrońcy wolności", Wektory 2026

eprasa.pl b95eb4ceae



HITY i KITY ZAREMBY



Ludzie w środku apokalipsy

O spektaklach obecnego Teatru Telewizji piszę bez wrzucania rozmaitych tytułów do jednego worka. „Amerykańskiego przyjaciela" autorstwa i w reżyserii Macieja Wojtyszki przyjmuję z entuzjazmem

Wojtyszko od lat zajmuje się historią. Zarówno polityczną, jak i dziejami kultury. Opowiada, posługując się malowniczymi sytuacjami, takimi jak wymyślone albo tylko podkoloryzowane spotkania sławnych postaci. Erudycja za każdym razem sąsiaduje z nieokiełznaną wyobraźnią. To może być Piłsudski z Dmowskim, Gombrowicz z Mrożkiem (albo Miłosz z Herbertem). W niedawnych „Księgach sprośności" autor zderzył Aleksandra Fredrę z Adamem Mickiewiczem – to moja ulubiona zabawa charakterami, ale i różnymi wersjami polskości.

„Amerykański przyjaciel" to wyjście, nie pierwsze, pisarza poza Polskę. Podobno 13 lipca 1920 r. Izaak Babel, korespondent wojenny przy Armii Czerwonej atakującej nasz kraj, przesłuchiwał Meriana C. Coopera. Ten amerykański lotnik był zastępcą dowódcy Eskadry Kościuszkowskiej wspierającej Polaków. Zestrzelony, trafił do niewoli sołdatów Armii Konnej Siemiona Budionnego. Przeżył, być może dzięki Bablowi, a może w jeszcze większym stopniu dzięki Oldze, żonie Budionnego.

Wojtyszko potrafi tak konstruować dialogi, że chwilami przypadkowe, dygresyjne nie szeleszczą papierem, lecz prowadzą do jakiegoś sedna. Sedna, które odkrywamy niemal mimochodem. Amerykanin i rosyjski Żyd przerzucają się literackimi gustami, a gdzieś między wierszami podsumowują i Rosję, i rewolucję. Mamy ludzi, którzy w środku chaotycznej apokalipsy udają kogoś innego. Cooper – prostego mechanika, choć jest oficerem. Olga, córka carskiego generała, oddaną towarzyszkę rewolucyjnych bitew. Babel, syn bogatego kupca z Odessy, komunistę.

Udawał tak sprawnie, że maska przyrosła do twarzy utalentowanego pisarza. Aresztowany w 1939 r., kiedy apokalipsa zmieniła się w krwawą maszynkę biurokratycznego terroru Stalina, jest nazywany enkawudzistą. Korzystał z protekcji szefa NKWD Jeżowa i romansował z jego żoną. Upadek Jeżowów był jego upadkiem.

Zdaje się, że nie jest prawdą, iż wykorzystano przeciw niemu dawny odruch dobroci, kiedy starał się pomóc Cooperowi, co ten producent filmowy, współtwórca „King Konga", nieopatrznie po latach opisał. Ale przecież w tym systemie logika ponoszenia kary, nawet za uczynek sprzed lat, pojawiała się nierzadko.

Klimat grozy, tej dawnej chaotycznej, i tej nowszej, będącej upiorną układanką, został dobrze oddany. Wszystko do niej pasuje, łącznie z inną niż zazwyczaj przeraźliwą, niemal kakofoniczną muzyką Piotra Mossa.

Marcin Czarnik (Babel) i Bartosz Gelner (Cooper) budują spójne, konsekwentne postaci, mając do dyspozycji zaledwie strzępy dialogów. Ale najbardziej wybija się charyzmatyczna Wiktoria Gorodecka jako Olga Budionna. Szaleje, pije, śpiewa, po czym nagle zrzuca maskę, wypowiadając kilka zdań po francusku.

Są świetne epizody: Krzysztofa Tyńca jako Żyda Gedalego, wziętego wprost z literatury Babla, czy 23-letniego, coraz bardziej popularnego, Hugo Tarresa: jego funkcjonariusz NKWD Borys Rodos ma twarz anioła i osobiście (zgodnie z przekazami historycznymi) torturuje Babla. Szkoda, że mniej wyraziście pokazano w scenach z 1920 r. Budionnego i Stalina, który kontrolował dowódcę w imieniu partii. Czyżby chodziło o to, aby wydali nam się cokolwiek bezbarwni?

Wojtyszko po spektaklu wyjaśniał, że chciał powiedzieć coś o Rosji w kontekście także obecnej sytuacji politycznej. Najwyraźniej dyrektor Teatru Telewizji Michał Kotański, sceptyczny wobec tematyki historycznej, dla niego robi wyjątek.

Piotr Zaremba

Fot. Arsen Petrovych/TVP

Baczyński – więź z Batorego

Teatr Klasyki Polskiej wystawił spektakl „Romantyczność. Zgliszcza”. To monodram wyreżyserowany i zagrany przez Ksawerego Szlenkiera, złożony z wierszy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Wyzwanie dla aktora, wyzwanie dla publiki. I chyba wspólnie zdaliśmy egzamin

Do mnie Baczyński przywędrował wraz z piosenkami Ewy Demarczyk. Był wtedy poetą od wojennej pożogi, od trwóg, od zgrozy, choć przecież Demarczyk śpiewała i jego lżejsze utwory („Na moście w Avignon”).

Zawsze gdy się go słucha, nadchodzi ta potworna myśl: to niesprawiedliwe, że tak szybko zgasł (zginął czwartego dnia powstania warszawskiego w wieku 23 lat). I zaraz następna: ale to jego wybór. I jeszcze inna: co by się z nim działo w Polsce stalinowskiej? No i metafora Stanisława Pigonia, że Polacy strzelali z brylantów. Ostatnio lewica cieszy się, że Baczyński to pół-Żyd i socjalista. Tyle że to była całkiem inna lewicowość od współczesnej.

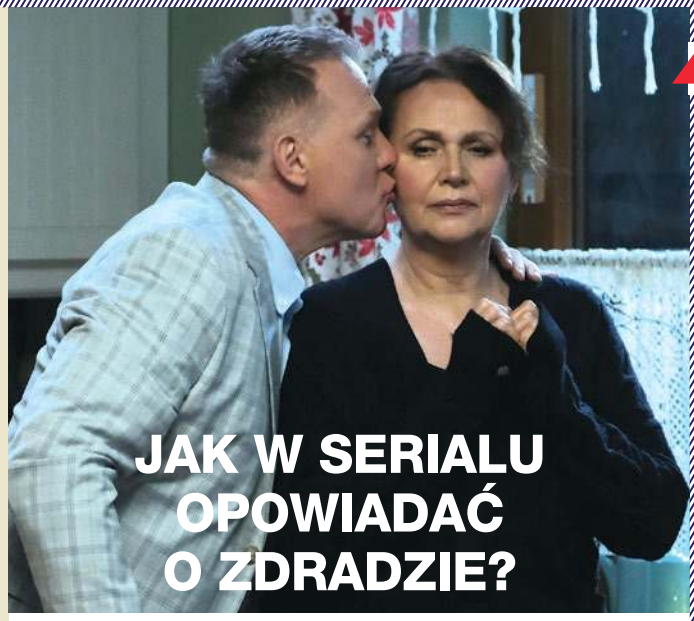
Wraz z aktorem starszego pokolenia po premierze rozmawialiśmy w kuluarach. On zauważył, że każdy utwór tego autora jest gonitwą metafor, skojarzeń, zaskakujących porównań, czasem trudno za nimi nadążyć. To poezja klasyczna, pełna sformułowań niemal wykwintnych, a zarazem w stosunku do poetów wcześniejszych – nowoczesna. W pięknie wydanym teatralnym programie (chwała Teatrowi Klasyki, że z nich nie rezygnuje) czytałem rozważania Ewy Hoffmann-Piotrowskiej o związkach Baczyńskiego z poetami romantycznymi.

Ksawerego Szlenkiera podziwiam jako bardzo wszechstronnego aktora (zobaczcie go jako Hyrkana w „Mątwie” Witkacego). Ale też szczególnie pasuje mi do tekstów naznaczonych romantyzmem. Zatem brał tu zakręty trudnych fraz, przemieszczając się od miłosnych wyznań do wojennej grozy i z powrotem, aż do pięknej „Ballady o trzech królach” – o potrzebie miłości, już nie tej erotycznej. Ja się nad tymi czasem dziwnymi, zwykle przeraźliwie gęstymi, frazami pochylałem razem z nim.

Pomagały mu z offu żona Małgorzata Buczkowska (powiedziała najbardziej znany, wstrząsający tekst Baczyńskiego „Elegia o chłopcu polskim”) i 17-letnia córka Antonina, która głosem imitowała obecność Basi, żony poety. Robiły to pięknie. Dodatkowym atutem spektaklu są cudowna, grana na wielu tonach wiolonczeli, muzyka Jana Dutkiewicza i świetne projekcje Igora Wrzeszcza (nie ma klasycznej scenografii).

Był jeszcze jeden powód, dla którego Szlenkier zajął się Baczyńskim. Jego dziadek Karol Ksawery kończył liceum Batorego w Warszawie w 1939 r. w klasie z poetą. On też walczył w powstaniu i przeżył. Buduje to więź aktora z twórcą. W programie Ewa Millies-Lacroix poświęca tradycji Batorego wiele miejsca. Zośka, Rudy, Alek, Baczyński, Szlenkier...

Fot. Marta Gostkiewicz



JAK W SERIALU OPOWIADAĆ O ZDRADZIE?

Od paru lat śledzę odcinki serialu TVP „M jak miłość”. Jedno w nim cenię: prorodzinny przekaz. Tym bardziej jestem ciekaw, jak scenarzyści poradzą sobie z tematem zdrady małżeńskiej w rodzinie Mostowiaków

Zerkałem na „M jak miłość” u jego początków (2000 r.). Po latach wróciłem do niego. Inaczej niż „Na dobre i na złe” czy „Barwy szczęścia” ma on konstrukcję sagi rodzinnej. Większość bohaterów to potomkowie Lucjana i Barbary Mostowiaków, zamieszkałych w Grabinie, choć pojawiają się również ich dalsi powinowaci i znajomi.

Jedne wątki są zręcznie opowiadane, inne – naiwne, mniej udane. Ale nadrzędna jest konkluzja: „wszędzie dobrze, w rodzinie najlepiej”. Ba, Mostowiakowie mają, przynajmniej w Grabinie, związki nawet z miejscową parafią. Przy okazji można się tu dopatrzyć afirmacji takich wartości jak lojalność czy wierność.

I oto scenarzyści zafundowali widzom potężne wyzwanie. W rodzinnym gnieździe u boku seniorki rodu, Barbary (Teresa Lipowska), pozostała jedna z jej córek, Marysia (Małgorzata Pieńkowska), wraz z drugim mężem Arturem Rogowskim (Robert Moskwa). On jest lekarzem, ona pracuje w tej samej przychodni. Przez całe lata ich małżeństwo było poza podejrzeniami, troszczące się o dzieci, cukierkowo idealne (choć z dawną zdradą jego w przeszłości). I oto zaczęto piętrzyć wątek zakochania się Artura w dużo młodszej lekarce.

Widzowie musieli przez wakacje czekać, aż Marysia pozna prawdę. Dla konserwatywnych widzów to wyzwanie. Choć Artur może się tłumaczyć namiętnością, zauroczeniem, akcja jest prowadzona tak, że wręcz musimy współczuć idealnej, zarazem starszej żonie. Zwłaszcza od momentu, kiedy jej rywalka zaczęła ją atakować.

I tu ciekawostka. W internecie są strony i portale, które uprzedzają, co będzie się działo w następnych odcinkach. Według jednej wersji Marysia wybaczy mężowi i postara się odbudować małżeństwo. Ale według drugiej ona także pozna na terapeutycznym wyjeździe kogoś nowego, kogo ma zagrać Marcin Kwaśny. Jeśli i ona wybrałaby „nowe życie”, mielibyśmy próbę obłaskawienia takich sytuacji, uznania rozpadu związku za coś naturalnego. Serial stałby się mniej tradycyjny.

Koniec złudzeń, czyli jak rząd traci przedsiębiorców

Trzy lata. Tyle czasu biznes czeka na jasną, spójną strategię gospodarczą, która pozwoliłaby przewidywać kierunki rozwoju państwa w gwałtownie zmieniającym się świecie. Zamiast tego mamy do czynienia z pogłębiającym się chaosem. Przedsiębiorcy, którzy jeszcze niedawno z entuzjazmem angażowali się w projekty naprawy państwa, dziś nie kryją rozczarowania





MACIEJ WOŚKO

Zawiedzione nadzieje bolą szczególnie. Choć trudno oszacować, co bardziej doskwiera – brak dialogu, brak rozsądnego i przystającego do skali wyzwań planu czy środkowy palec wystawiony w kierunku polskiego biznesu w debacie na temat zmian w podatku CIT? W takiej atmosferze koalicja rządowa traci właśnie wyborców w sektorze, który – zgodnie z hurraoptymistycznym wystąpieniem ministra finansów w Sejmie – powinien celebrować gospodarczy sukces Polski w G20.

Gorzko? Cóż, takie wrażenia można odnieść po wysłuchaniu kilku naładowanych emocjami debat podczas tegorocznego Forum Idee dla Polski. Organizatorowi – Instytutowi Sobieskiego – udało się zaprosić do dyskusji nad stworzeniem „nowego systemu operacyjnego" dla Polski przedstawicieli kluczowych dziś branż, od surowców, paliw, energetyki i AI po naszych globalnych graczy oraz polityków reprezentujących prawie wszystkie partie i ugrupowania obecne w Sejmie. Kogo zabrakło – można się domyślać.

„NIE NA RĘKĘ RZĄDZĄCYM"

Najbardziej jaskrawym przykładem rozczarowania jest zapewne projekt deregulacyjny, w który zaangażował się (lub został zaangażowany) Rafał Brzoska, prezes Grupy InPost. Podczas panelu sam przyznał, że jego misja naprawy relacji państwo–biznes i uproszczenia procedur ugrzęzła w martwym punkcie.

„Projekt deregulacji właściwie się zatrzymał i mówienie czegokolwiek innego byłoby najzwyczajniej w świecie nieuczciwe" – wyznał z goryczą Brzoska. „Moja osobista przygoda z deregulacją trwała sto dni, bo na tyle się umówiłem z panem premierem, że mogę oddać swoje dziecko, swoją spółkę, czyli InPost, na sto dni menedżerom, a przez sto dni zbudować profesjonalny zespół, który rzeczywiście pokaże nie tylko rządowi, ale całej klasie politycznej, że deregulacja, taka prawdziwa deregulacja, może mieć sens i może się udać. Pod jednym warunkiem: że nie robią jej politycy".

Mimo woli współpracy, zaangażowania 600 ekspertów, przeanalizowania ponad 16 tys. propozycji obywateli i wypracowania 500 konkretnych rozwiązań przekazanych rządowi efekty są mizerne. Propozycje utknęły w sejmowych zamrażarkach i komisjach.

„Nie może być tak, że zautomatyzowany magazyn logistyczny buduje się w sześć miesięcy, wyposaża w automaty w trzy miesiące, a jest odbierany przez pięć różnych instytucji przez kolejny rok. To jest absurd, z którym mierzy się prawie każdy przedsiębiorca, każdy samorząd, każdy inwestor" – mówił prezes Brzoska. „Uproszczenie tej jednej procedury to jest jedna fiszka, którą zaproponowaliśmy. Jedna, że to nie straż pożarna, sanepid, inspektor nadzoru budowlanego i jeszcze kilka urzędów, w zależności od tego, jaki rodzaj działalności jest prowadzony, przychodzi i dokonuje władzą i emanacją tej władzy odbioru w ustalonym przez siebie czasie, w usta-

Fot. Instytut Sobieskiego Fotobuenos

eprasa.pl b95eb4ceae

lonym rytmie, a czasami prosi o uzupełnianie tej dokumentacji i nie odpowiada przez 60 dni. Nie, po prostu jest 30 dni na odbiór. Każda z tych instytucji może przyjść, sprawdzić, zapytać. Jeżeli nie przychodzi, odbioru dokonuje kierownik nadzoru budowlanego, który całą tę inwestycję od pierwszego dnia prowadził. Ma wszystkie uprawnienia, podlega prawu karnemu. No niestety, ta fiszka do dziś nie weszła w życie, więc nie odblokujemy inwestycji, nie przyspieszymy procesów budowlanych, tak jakbyśmy chcieli. To jedna z wielu dobrych propozycji, które do dzisiaj utknęły w komisjach albo w Sejmie, albo nie są dyskutowane, dlatego że po prostu nie są na rękę rządzącym i klasie politycznej" – gorzko konstatował na forum Brzoska.

LATAJĄCY SAMOCHÓD VS VACATIO LEGIS

Tymczasem gdy rządzący zwlekają z fundamentalnymi reformami, świat pędzi naprzód w niespotykanym dotąd tempie. Trzy lata bez jasnej strategii niosą skutek w postaci chaosu, w którym polskie firmy muszą walczyć o przetrwanie i innowacyjność na własną rękę, nierzadko wbrew własnemu państwu.

„Dzisiaj fascynujemy się latającym samochodem, a nie widzimy, co nas czeka. Dyskutujemy o tym, czy *vacatio legis* ma wynieść sześć miesięcy, przez co projekt utknął w komisji. Dyskutujemy o tym, czy magazyn powinien czy nie powinien być odebrany w ciągu 30 dni, czy raczej w ciągu roku, a nie zadajemy sobie pytań fundamentalnych. Gdzie zmierza nasza gospodarka? Gdzie zmierza administracja publiczna?" – pytał szef InPostu.

Jak daleko od realnych wyzwań znajdują się polityczne spory, dowiodła poniekąd debata inaugurująca tegoroczne Forum. Tymczasem, jak mówili przedsiębiorcy, poziomy PKB, a nawet dług publiczny czy rutynowe wskaźniki wkrótce stracą na znaczeniu. Ważne będzie to, kto ma dostęp do źródeł taniej energii, surowców i potężnej mocy obliczeniowej.

„Pierwszym warunkiem, absolutnie podstawowym do uczestnictwa w tej rewolucji, jest dostęp do olbrzymiej ilości energii elektrycznej, zarówno w zakresie mocy przyłączonej, jak i zużycia energii w jednostce czasu. W tych warunkach zarówno Stany Zjednoczone, jak i Chiny przyjęły bardzo jasne strategie i ta strategia sprowadza się do dwóch słów: energy abundance – obfitości energii. A my dzisiejszy, poranny panel zaczęliśmy od głębokich podziałów politycznych i wojny w piaskownicy" – oceniał Krzysztof Domarecki, prezes Grupy Selena. I podkreślił, że bez radykalnej zmiany doktryny energetycznej Polska i Europa wypadną z globalnego wyścigu.

„Polska i Europa potrzebują nowej doktryny energetycznej, adekwatnej do wyzwań XX w. Adekwatnej do rewolucji, jaką przyniesie AI, adekwatnej do świata podzielonego na bloki gospodarcze, świata wchodzącego w zupełnie nowe przyspieszenie, w sytuacji kiedy udział Unii Europejskiej w światowym PKB ma tendencję spadkową. Ta doktryna musi być napisana od nowa. Otóż, jeśli chcemy na poważnie myśleć i starać się o własny, podkreślam własny, a nie wasalny, udział w światowej gospodarce opartej na AI, to musimy sobie przypomnieć prawdę, która jest aktualna od 200 lat, że liczy się tania i stabilna energia. Tymczasem w naszych zakładach Seleny w Brazylii na południu płacimy za prąd 130 zł za megawatogodzinę ze wszystkimi opłatami. Ze wszystkimi! Na północy 180 zł. W Kazachstanie, w naszym zakładzie produkcyjnym, ta kwota wynosi poniżej 200 zł. W Chinach, gdzie jesteśmy malutkim zakładem bez żadnych przywilejów, płacimy między 200 a 280 zł w sezonie. A w Polsce, która ma, jak niektórzy mówią, zły miks energetyczny, i w Hiszpanii, która z kolei ma świetny miks energetyczny, płacimy podobnie – po 750 zł. Czujecie tę różnicę?" – wyliczał Domarecki.

Wtórował mu Jacek Dąbrowski z Synerise, który alarmował, że stoimy u progu utraty suwerenności.

„To, z czego większość polityków nie zdaje sobie sprawy, i przez cały czas mówią tylko o tym budżecie i PKB, długu publicznym i tak dalej, to jest fakt, że pieniądze za kilka lat całkowicie stracą wartość. One może będą istnieć jako jakieś tam »proksy« rozliczeniowe. Natomiast to, co będzie miało wartość, to energia oraz moc obliczeniowa. Krótko mówiąc, za dwa, trzy lata Polska czy Unia Europejska mogą po prostu przestać istnieć. Być może będą dalej istnieć na papierze, natomiast będą to wydmuszki sterowane przez Chiny lub Amerykę lub być może połączone siły" – rysował dość apokaliptyczną wizję szef działu badań nad sztuczną inteligencją w Synerise. I radził: „Uważam, że może nie formalnie, ale w przenośni, powinniśmy wprowadzić stan wojenny, stan najwyższej konieczności, stan zagrożenia suwerenności dla kraju, regionu, Europy i zrobić wszystko, co możliwe, korzystając z wszelkich możliwych środków, żeby do tego stołu energetyczno-obliczeniowego w ciągu najbliższych kilku lat jeszcze móc usiąść".

„NIKT NIE MA JAJ…"

Rafał Brzoska podsumował tę przepaść między biznesem a administracją stwierdzeniem, które brzmi jak wyzwanie dla obecnej klasy politycznej.

„Mam wrażenie, że wielu polityków w Polsce zachowuje się jak generałowie, którzy przygotowują się do wojny, która już dawno się skończyła. Jesteście kompletnie niegotowi na to wyzwanie, które jest przed nami. Chciałbym zobaczyć przedsiębiorców, którzy przychodzą do pana premiera, do pana prezydenta i mówią o tym, jak będzie wyglądał świat za dwanaście miesięcy. I czy my zdajemy sobie sprawę, gdzie my dzisiaj jesteśmy? I muszę z przykrością stwierdzić, że nikogo to nie interesuje. Nikogo. Nikt nie ma dzisiaj jaj, żeby porozmawiać o tym, gdzie Polska powinna być za dwa, trzy lata. I to jest najsmutniejsze".

Cytaty pochodzą z debaty pt. „Symbioza relacji państwo–biznes" w czasie III Forum Idee dla Polski, zorganizowanego przez Instytut Sobieskiego w warszawskim Centrum Nauki Kopernik 19 października br. W panelu rozmawiali: Rafał Brzoska (Grupa Kapitałowa Integer.pl), Grzegorz Brona (Creotech Instruments SA), Jacek Dąbrowski (Synerise), Krzysztof Domarecki (Grupa Selena), Maciej Klemm (Advanced Protection Systems/Eycore) i Robert Kroplewski (ComStellation P.S.A.) oraz Maciej Mylik (ElevenLabs). Debatę moderował Marek Niedużak (European Initiative for Energy Security).

eprasa.pl b95eb4ceae

Szachowa geometria na korcie

Gdy Maja Chwalińska w Wuhanie wygrywała finał turnieju rangi WTA 1000, wcześniej odprawiając z kwitkiem Igę Świątek, w kraju nad Wisłą niektórzy w wydarzeniach zza Wielkiego Muru widzieli coś na kształt przewrotu pałacowego. Ale zamiast ulegać pokusie pisania nekrologów dla dotychczasowej królowej, weźmy głęboki oddech i z ostrożnością mówmy o „zmianie warty”



MICHAŁ MUZYCZUK

Sam turniej w Wuhanie przeszedł do historii polskiego sportu w momencie, w którym doszło do pierwszego w erze Open polskiego półfinału na poziomie WTA 1000, a kolejny zapis w kronice przyniósł sam wynik meczu. 25-letnia Maja Chwalińska nie tylko odniosła pierwsze w karierze zwycięstwo nad zawodniczką z czołowej dziesiątki rankingu WTA, lecz uczyniła to także w starciu ze starszą o zaledwie parę miesięcy, lecz nieskończenie bardziej utytułowaną Igą Świątek.

Dzień później przypieczętowała swój życiowy sukces, odwracając losy finałowego starcia z Brytyjką Sonay Kartal i zostając trzecią Polką w historii – po Agnieszce Radwańskiej i, oczywiście, Idze Świątek – z tytułem tej rangi.

CHIŃSKA KATAPULTA

Wyczyn Mai, wychowanej na surowych kortach Dąbrowy Górniczej, jeśli nie wstrząsnął, to na pewno mocno zabujał światowym układem sił w tenisie. Awans na 11. miejsce w rankingu WTA to sukces spektakularny, ale też absolutnie zasłużony, bo Maję cechują przede wszystkim regularność oraz odporność, którą pokazuje w momentach największego stresu.

W Wuhanie, mieście kojarzonym bardziej jako kolebka wirusa niż mekka tenisa, przez cały tydzień Maja grała tenis wyzbyty prostych błędów i niezwykle precyzyjny. Chiński sukces co prawda nie pozwoli Polce znaleźć się wśród uczestniczek rywalizujących w kończącym sezon prestiżowym WTA Finals, ale w jej przypadku nie to jest najważniejsze.

Aby pojąć wagę tego triumfu dla samej zawodniczki, trzeba się cofnąć o kilkanaście miesięcy i zerknąć w miejsce, z którego tenisistka katapultowała się na tenisowe salony. Bo przecież nie tak dawno wydawały się mieć dla niej za wysokie progi.

DĄBROWSKA PROZA ŻYCIA

Jeszcze rok temu Chwalińska tułała się w okolicach 140. miejsca w rankingu WTA, a jej codziennością były prowincjonalne turnieje rangi WTA 125 czy ITF – od portugalskiego Oeiras po brazylijskie Florianopolis. Błysk reporterskich fleszy, komfort ekskluzywnych hoteli i ciężar milionów dolarów podnoszonych z kortu nie są stałymi elementami tej tenisowej rzeczywistości. Cechują ją skrupulatne liczenie budżetu na kolejne przeloty, szukanie tanich noclegów na portalach społecznościowych i nieustanna niepewność względem wybo-

Fot. Xinhua/Wu Zhizun/East News

eprasa.pl b95eb4ceae

jów czyhających na ścieżce kariery, a momentami zwątpienie w sam jej wybór.

W świecie zdominowanym przez tenisowych herosów, których wielkość wykuwa się w ociekających bogactwem akademiach, historia Mai brzmi jak kontrapunkt dla komercyjnej strony kortu. Jej rodzice są po prostu zwyczajni: ojciec Tomasz przez lata pracował jako elektryk w kopalni (bo przecież Dąbrowa jest Górnicza nie tylko z nazwy), a mama Marcelina do dziś wita gości w recepcji lokalnego ośrodka sportowego w tamtejszej Dąbrowie. Każdy wyjazd na zawody był wysiłkiem całej rodziny, która potrafiła wiele sobie odmówić, by Maja mogła uczynić z rakiety swoje narzędzie pracy.

KONTUZJA DUSZY

Gdy Iga Świątek podbijała świat tenisa, seryjnie zdobywała wielkoszlemowe puchary i spędzała ponad 120 tygodni na szczycie rankingu WTA, droga jej niegdysiejszej deblowej partnerki prowadziła przez zdecydowanie mroczniejsze alejki. Poważna kontuzja nerwu łokciowego sprawiała, że Maja traciła czucie w trzech palcach, a rakieta wypadała jej z dłoni podczas wymian. Do tego dochodziły urazy nadgarstka i artroskopia kolana, ale najgroźniejsza okazała się kontuzja dotykająca nie jej ciała, lecz duszy. W czerwcu 2021 r. Maja zawiesiła karierę.

„Od końca 2019 r. choruję na depresję. Próbowałam trenować i rywalizować, ale czułam, jak to wszystko coraz bardziej mnie wykańcza i przytłacza. Moja psychika i ciało dają mi sygnały do zrobienia przerwy i w końcu muszę je uszanować".

19-latka zdobyła się na szczerość, która wcale nie jest łatwa w świecie ułożonym pod dyktat wiecznie uśmiechniętych twarzy, niekończących się momentów euforii i niczym niezmąconego samozadowolenia. Na szczęście Maja zawsze miała wsparcie najbliższych, a do tych zalicza się również... jej serdeczna koleżanka z Raszyna, właśnie Iga Świątek. Gdy Maja wróciła do gry, świętująca kolejne sukcesy Iga nie kryła radości.

„Jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami. Znamy się, odkąd miałyśmy po 10 lat. Cieszę się z jej powodu. Wiem, przez co przeszła, to było dla niej trudne, ale najważniejsze, że udało się to przezwyciężyć".

PRZYJACIÓŁKI Z INNEJ BAJKI

Obie Polki łączą wspólne korzenie – ten sam rocznik 2001 i te same lata zmagań na krajowym podwórku, młodzieżowe mistrzostwo Europy w deblu czy finał juniorskiego Australian Open w grze podwójnej. Ale dzieli je filozofia gry uosabiana przez różnych idoli. Iga Świątek wzorowała się na Rafaelu Nadalu – jej tenis to niszczycielska siła, atletyzm, agresywna rotacja. Maja Chwalińska wychowała się na zupełnie innym wzorcu, odwiecznym rywalu wielkiego Hiszpana, finezyjnym Szwajcarze, słynącym z precyzji niczym tamtejsze zegarki:

„Byłam fanką numer jeden Rogera Federera. Czasem wracam do starych meczów Wielkiej Trójki i to jest dla mnie czysta poezja".

Zderzenie stylu Nadala z lekkością Federera w polskim wydaniu staje się najpiękniejszym wyznacznikiem współczesnego tenisa. Siła kontra przeczucie, chłodna egzekucja kontra szachowa geometria, emocjonalność kontra powtarzalność – obyśmy w nadchodzących latach oglądali starcia Mai i Igi jak najczęściej.

NIEPRZENIKNIONA, MENTALNIE NIEWZRUSZONA

Co stoi za tegoroczną metamorfozą zawodniczki mieszkającej w Bielsku-Białej? W wymiarze czysto technicznym Maja połączyła inteligencję kortową, zwinność, styl oparty na różnorodności i czyni użytek ze swojej leworęczności. Mierząc zaledwie 164 cm, nie jest w stanie zasypać rywalek asami, ale potrafi nieprzewidywalnymi zagraniami doprowadzić je do szewskiej pasji. W wymiarze mentalnym kluczowa jest przemyślana architektura sztabu. Trener Jaroslav Machovsky, pracujący z nią od 2020 r., stworzył relację bazującą na rodzicielskim zaufaniu, a psycholog Alicja Nowicka nauczyła Maję oddzielać własną wartość od wyniku sportowego. Sama Chwalińska nawet po sensacji, którą był jej występ w finale French Open, nie popadała w samozachwyt.

Bo przypomnijmy: prawdziwy wybuch jej talentu nastąpił wiosną 2026 r. na kortach im. Rolanda Garrosa. Startując jako 114. zawodniczka świata, przeszła kwalifikacje i dotarła aż do wielkiego finału. W erze Open stała się zaledwie drugą kwalifikantką, która zagrała w finale Wielkiego Szlema. We Francji Maja sprawiła sensację, a w Chinach pokazała, że pora przestać tak określać jej sukcesy. Polka weszła do sali tronowej i bez kompleksów się w niej urządza, jakby zawsze właśnie tam było jej miejsce.

MATEMATYKA PIERWSZEGO MIEJSCA

Półfinałowa wygrana nad Świątek w Wuhanie była taktycznym majstersztykiem Chwalińskiej. Czy to oznacza zmianę warty i przekazanie pałeczki? Wstrzymajmy konie – Świątek to wciąż sześciokrotna mistrzyni wielkoszlemowa i dominatorka, która na pozycji liderki rankingu WTA spędziła ponad dwa lata. Żeby Chwalińska mogła skoczyć o kolejnych 10 miejsc i włączyć się do walki o tron, jeden dobry sezon nie wystarczy. Musi utrzymać zdrowie, znieść trudy napiętego kalendarza i sprostać presji rywalek, które od teraz będą rozpracowywać jej styl.

DWIE KRÓLOWE NA SZACHOWNICY

Prawdziwa wartość triumfu w Wuhanie leży nie w rankingowym skoku wzwyż czy w bajońskich sumach na koncie. Historia Mai Chwalińskiej to nie bajka o „kopciuszku z Dąbrowy" ani przypowieść o ciężkiej pracy i szczerej wierze, które prowadzą do spełnienia marzeń. Maja zrobiła coś dokładnie odwrotnego: kiedy mozolna walka zaczęła ją niszczyć, miała odwagę się zatrzymać, odłożyć rakietę i poprosić o pomoc. Wróciła do sportu na własnych zasadach, czym zapewne sprawiła niezły zgryz wielu psychologom sportu.

Nie, na tenisowej szachownicy nie ma dwóch polskich królowych. Iga dziś przeżywa gorszy moment, ale na pewno nie powiedziała ostatniego słowa. A swoją formą pokona każdego oponenta w kilku ruchach, szybko i bezwzględnie. Natomiast do gry dołączyła misternie rzeźbiona figurka należąca do Mai, której postać jest znajoma, ale jej ruchów nie sposób przewidzieć, bo nikt nigdy nie ujął ich w zasadach tej gry. Obyśmy mogli podziwiać ich mecz, rozgrywany przez kolejne lata na najwyższym poziomie maestrii.

eprasa.pl b95eb4ceae



MICHAŁ FROEHLICH*

Jak warzy śląski synek

Ma 24 lata. Znany jest jako Pan Babcia. W staromodnym fartuchu-podomce, w kuchni z kredensem z poprzednich epok, wbrew wizerunkowym i kulinarno-dietetycznym trendom promuje domową śląską kuchnię. Z dystansem do siebie, szacunkiem do tradycji i rodzinnych wartości.

Inspiracje czerpie z dzieciństwa spędzonego z babciami, w gwarze śląskiej zwanych omami. Jak trafił ze swoim gotowaniem do sieci? Wspomina: – Wszystko zaczęło się od zwykłej babki piaskowej, czyli po naszymu zisty, pieczonej w czterdziestoletnim prodiżu ciotki Aneczki. Miało być dla żartów w niebieskiej zopasce od starki, a zobaczyła to cała Polska.

Właśnie ukazała się jego książka „Pan Babcia warzy po ślōnsku". Pisze w niej: „Piyrwyj podstawōm na ôbiod były zupy, taki jak żur, wodziōnka, ściyrka, kartoflona... Ôbiady na beztydziyń musiały być pożywne. Zowdy dowali ino jedne danie. Była to nojczyńścij jakoś zupa".

Zupy to baza, ale wśród licznych przywołanych w książce przepisów pojawiają się śląskie rolady i karminadle. Są gumiklyjzy i sztamfkartofle. A na deser m.in. „syrnik ôd ōmy Haliny" czy kołocz syromak.

Jolanta Gajda-Zadworna

*„Śląski synek", który stał się kulinarnym influencerem





KOŁOCZ SYRO-MAK

Tradycyjny weselny kołocz, ale na jednyj blasze [...].

Składniki: 250 ml mleka, 200 g masła, 75 g świeżych drożdży, 150 g cukru, 750 g mąki pszennej, 1 opakowanie cukru wanilinowego, 2 łyżeczki gęsiego smalcu (opcjonalnie), szczypta soli, 4 jajka.

Składniki na masę serową: 150 g masła, rodzynki wg uznania, 1½ kg twarogu tłustego, 250 ml śmietanki 30 proc., 5 jajek, 2 opakowania budyniu waniliowego, 400 g cukru, 1 opakowanie cukru wanilinowego, sok z 1 cytryny, szczypta soli.

Składniki na masę makową: 400 g mielonego maku, 400 ml wrzątku, 200 g cukru, 1 opakowanie cukru wanilinowego, 3 łyżki miodu, migdały, orzechy, rodzynki wg uznania, 1 olejek migdałowy, 100 g masła, 2 łyżki mąki pszennej, 1 białko.

Składniki na posypkę: 300 g mąki pszennej, 150 g masła, 150 g cukru, 1 żółtko, 1 opakowanie cukru wanilinowego.

Dodatkowo: 1 żółtko, 1 kieliszek mleka, tłuszcz do posmarowania blachy, cukier puder do oprószenia ciasta.

Zacznijcie od ciasta. Do garnka wlejcie mleko i podgrzejcie, aby było letnie. Dodajcie łyżkę cukru, rozkruszone drożdże, łyżkę mąki i dokładnie wymieszajcie. Pozostawcie rozczyn do wyrośnięcia, aż podwoi objętość. W tym czasie rozpuśćcie masło i odstawcie do wystudzenia. Do przesianej mąki dodajcie cukier, cukier wanilinowy, szczyptę soli, rozmącone jajka oraz wyrośnięty rozczyn. Wyróbcie ciasto. Pod koniec wyrabiania wtłoczcie do niego wystudzone masło i – opcjonalnie – gęsi smalec. W razie potrzeby podsypujcie mąką, aby się nie kleiło. Ciasto wyrabiajcie tak długo, aż zacznie odchodzić od rąk. Na cieście zróbcie znak krzyża i pozostawcie je do wyrośnięcia. Powinno podwoić swoją objętość.

Masa makowa: Mak włóżcie do miski, zalejcie wrzącą wodą, dokładnie wymieszajcie, poczekajcie, aż napęcznieje, a następnie odcedźcie. Dodajcie cukier, cukier wanilinowy, miód, bakalie i olejek. Mąkę zrumieńcie na maśle i przełóżcie zasmażkę do masy makowej. Białko ubijcie na sztywną pianę i wmieszajcie do maku.

Masa serowa: Masło rozpuśćcie. Rodzynki sparzcie wrzątkiem i odcedźcie. Ser zmielcie w maszynce i dodajcie śmietanę, roztrzepane jajka, proszki budyniowe, sparzone rodzynki, sok z cytryny, cukier, cukier wanilinowy, sól i wystudzone masło. Całość wymieszajcie na gładką masę.

Ciasto drożdżowe podzielcie na dwie części: mniejszą i większą. Blaszkę do pieczenia wysmarujcie dowolnym tłuszczem i wyłóżcie na nią większą część ciasta, rozwałkowaną na wymiar blaszki. Ciasto ponakłuwajcie widelcem, a następnie rozprowadźcie na nim masę serową. Na wierzch masy serowej wyłóżcie łyżką masę makową, tak by utworzyć wzór szachownicy. Drugą część ciasta rozwałkujcie na cienki placek, przykryjcie nim nadzienie, posmarujcie wierzch żółtkiem wymieszanym z mlekiem. Teraz czas na posypkę. Wszystkie składniki zagniećcie, odrywajcie niewielkie kawałki i układajcie na wierzchu ciasta.

Gotowy kołocz pieczcie ok. 50 min w piekarniku nagrzanym do 180 st. Celsjusza (góra–dół). Po wystudzeniu posypcie cukrem pudrem. Smacznego!

Fot. Agata Weber/Materiały prasowe wydawnictwa ZNAK

eprasa.pl b95eb4ceae



SŁODKO-SŁONY

Pieczona owsianka

ANNA MONICKA

Nietolerancja glutenu to temat rzeka. Nie zawsze od razu jest to celiakia, czasem po prostu jelita reagują na pszenicę gwałtownym puchnięciem. U mojej córki objawy, wcześniej zresztą mało widoczne, zaczęły się nasilać, gdy okazało się, że ma chorobę Hashimoto. Kiedy konieczność przejścia na dietę dopada człowieka, który zawsze lubił dobre i wyraziste jedzenie, zaczyna się problem. Żywienie się na mieście jest mocno ryzykowne, bo mąka jest bardzo popularnym zagęszczaczem i dosypuje się ją niemal do wszystkiego. Dzieciak zatracił gdzieś swoją beztroskę, bo naprawdę musi uważać na to, co je i pije. Dokładne czytanie etykiet to nasza codzienność. Nie kupujemy też właściwie żadnego gotowego jedzenia. Córka chodzi na parę godzin na uczelnię, zabierając z sobą w torbie pojemniki z własną karmą, którą przygotowuje sobie sama wieczorem dzień wcześniej, po konsultacji z dietetykiem. Jeśli pozwala sobie na jakieś odstępstwa, zazwyczaj płaci za nie opuchniętym brzuchem, nauczyła się więc, chcąc nie chcąc, gotować. I, proszę mi wierzyć, są to bardzo smaczne dania. Jej największym przyjacielem jest airfryer, z którego ja korzystałam dotychczas raczej okazjonalnie. Buszuje po TikToku, szukając ciekawych przepisów z całego świata (bo to medium to nie tylko samo zło, mieszające ludziom w głowach).

Śniadaniowym hitem na jesień i zimę z pewnością jest u nas pieczona owsianka. Banana, duże jajko, 200 ml mleka (może być migdałowe) trzeba wymieszać z połową łyżeczki proszku do pieczenia (musi być eko, bez żadnych mącznych domieszek) i łyżką kakao. Potem wsypujemy 50 g płatków owsianych, najlepiej zmielonych, mieszamy i zostawiamy, żeby napęczniały. Jeśli ciasto wychodzi za suche, można dodać ciut mleka. Na koniec dokładamy owoce – maliny, jabłka, śliwki – co kto lubi. Banan, zwłaszcza dojrzały, zastępuje wszelkie słodziki, ale gdyby nie wystarczał, można dodać trochę syropu z agawy. Piecze się to śniadanie w 180 st. Celsjusza przez 20–25 min (zależy od urządzenia, u nas najlepsza owsianka wychodzi po 25 min). Odkrywamy wieczko airfryera, żeby danie nie zaparowało, studzimy i zajadamy na śniadanie. Dostarcza na dzień dobry sporo białka i syci na kilka godzin.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Choinki w jeziorze

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jakiś czas temu przeczytałem o fińskim eksperymencie, w ramach którego w jeziorze Saimaa zatopiono ok. 1,5 tys. bożonarodzeniowych choinek. Nie ma tu znaczenia, że tekst, który czytałem, to artykuł popularnonaukowy, nie zaś naukowa publikacja autorów doświadczenia. Wręcz przeciwnie, istotna jest informacja, która trafia do największej liczby ludzi, a pod tym względem artykuły popularnonaukowe mają przewagę.

Celem eksperymentu było wzbogacenie podwodnego ekosystemu poprzez stworzenie schronień. Choinki zatapiano nie w jednej, wielkiej masie, ale w mniejszych liczbach, obciążając je, aby nie wypłynęły. Po trzech latach dokonano oględzin drzewek, które w międzyczasie obrosły różnymi bezkręgowcami i podwodną roślinnością, co przełożyło się na wzrost liczebności ryb.

Należy jednak zwrócić uwagę na co najmniej dwa aspekty. W artykule zawarto informację, że taki sposób zagospodarowania choinek ma przewagę nad wywiezieniem ich na wysypisko, na którym rozkładając się, uwalniałyby, ogólnie mówiąc, gazy cieplarniane. Nie można jednak zapominać, że pod wodą rozkład, inaczej, ale również zachodzi. Niekoniecznie tutaj więc upatrywałbym środowiskowej korzyści działania. Tym bardziej jeśli do dyspozycji są spalarnie, które – jeżeli spełniają założenia, dla których powstają – spalając odpady, dają energię, nie generując jednocześnie szkodliwych emisji.

Co znacznie bardziej istotne, jeżeli choinki pochodziły z plantacji, najprawdopodobniej zawierały wiele substancji szkodliwych dla środowiska, którymi opryskiwano je w procesie produkcji. Zatopienie takich choinek w jeziorze to raczej katastrofa ekologiczna niż zabieg z korzyścią dla ekosystemu. Jeśli były to choinki z lasu, pozyskane w ramach prac leśnych, to co innego (część pielęgnacji, czyli przerzedzania młodników w lasach, planuje się na koniec Adwentu – pielęgnacja i tak ma być wykonana, a przy okazji zyskuje się bożonarodzeniowe drzewka).

Jakie z tego wnioski? Być może Finowie wykorzystali choinki z lasu, takiej informacji jednak nie było. Zatem potraktowanie artykułu jako instrukcji do własnych działań mogłoby być szkodliwe. Przykład ten pokazuje, że każde działanie przyrodnicze trzeba najpierw przemyśleć, mając zawsze na uwadze maksymę *primum non nocere*.

Co jednocześnie nie powinno nas do działania zniechęcać.

eprasa.pl b95eb4ceae

3 MIŁOŚCI

Niewinni zdemoralizowani



ROBERT TEKIELI

Część ludzi Zachodu mówi „płód", druga część „człowiek". Jedni mówią „eutanazja", inni „zabicie człowieka". Nie ma trzeciego stanowiska, a tych dwóch poglądów nie da się uzgodnić.

Trwa wojna paradygmatów. Przyjmując przekonanie o istnieniu więcej niż dwóch płci, opowiadasz się po jednej ze stron. Nieświadomie przechodzisz w tej wojnie na drugą stronę, zaczynając mówić „partner", „różnorodność kulturowa", „jakość życia" zamiast małżonek, tożsamość, szczęście.

Jakie są przyczyny powstania paradygmatu niszczącego kulturę europejską?

Pierwszą jest zapewne odrzucenie klasycznego kryterium prawdy, czyli zgodności myśli z rzeczywistością. Jeśli np. uznajemy za kryterium prawdy wewnętrzną spójność wypowiedzi, zapominamy o tym, że najbardziej spójna jest opowieść paranoika. Jeśli istnieje wiele kryteriów prawdy, kryterium prawdy nie istnieje.

Drugą z istotnych przyczyn powstania paradygmatu „płód–partner–eutanazja" jest zwycięstwo na Zachodzie narracji oświeceniowej. Dziś mniejszość sprzeciwia się temu, czego chciała rewolucja francuska, większość stara się współgrać z hasłami rewolucji i oświeceniem.

Nie redukuję w ten sposób złożoności świata. Fałszywych stanowisk wobec rzeczywistości może być wiele. Zauważam po prostu, że fałszywy jest każdy system poglądów sprzeczny z Objawieniem, oraz że każda prawda jest katolicka. Rozum i wiara mają osobne kompetencje, więc nauka nie może się wypowiadać na temat prawd religijnych, a religia na temat rzeczywistości przyrodzonej.

Trzecią spośród wielu przyczyn zakwestionowania świata takim, jaki jest, stał się XIX- i XX-wieczny wysyp teorii i ideologii. Ich absurdalność w błyskotliwym, satyrycznym skrócie wykazał Leszek Kołakowski w swojej „Ogólnej teorii nie-uprawiania ogrodu".

Z doświadczenia wiemy, jak piękne mogą być ogrody. Wiemy też, że to piękno wymaga pracy.

Esej zaczyna się od stwierdzenia, że ludzie, którzy szczerze nienawidzą pracy w ogrodzie, rozpaczliwie potrzebują intelektualnego usprawiedliwienia tej swojej przypadłości. I w związku z tym tworzą głębokie, „naukowe" ideologie, filozofie i teorie, by nie czuć dyskomfortu. Popatrzmy na pięć przykładów.

Środowiska lewicowe Europy rozmontowują podstawy kulturowe własnego świata, powielają rosyjską narrację, atakują własne państwa. Światowa lewica zachowuje się tak, jakby była jedną wielką agenturą wpływu

Ideologia marksistowska: system wmawia robotnikom, że pielenie grządek to relaks, aby odwrócić ich uwagę od walki klasowej, wyzysku i rewolucji. Nie uprawiaj ogrodu!

Teoria psychoanalityczna: wyrywanie chwastów to substytut stłumionych popędów seksualnych, fiksacji analnej oraz podświadomych pragnień z dzieciństwa. Nie wolno ci uprawiać ogrodu!

Teoria egzystencjalna: uprawianie ogrodu to ucieczka przed egzystencjalną pustką, prawdziwy egzystencjalista akceptuje absurd i pozwala ogrodowi zarosnąć. Ogrodnictwo jest fałszem!

Teoria strukturalistyczna: uprawiać ogrodnictwo to wnieść konfuzję do odróżnienia między domem a pracą; oznacza to zaciemnienie, wręcz zniszczenie struktury opozycyjnej, która jest warunkiem myślenia.

Uprawianie ogrodu jest błędem!

Filozofia analityczna: mimo wielu usiłowań nie udało się zbudować zadowalającej definicji ogrodu i ogrodnictwa; używanie tych pojęć jest przeto intelektualnie nieodpowiedzialne, a tym bardziej – faktyczne uprawianie ogrodu. Nie będziesz ogrodu uprawiał! Dziś można dodać jeszcze jeden, ekologiczny tym razem, koncept, w którym nie-uprawianie ogrodu staje się najwyższą formą szacunku wobec Matki Ziemi, Gai. Szlachetne jest zatem nieuprawianie ogrodu!

Wspomnianych doktryn nie da się uzgodnić z naszym paradygmatem „tożsamość–małżonek–szczęście". Ale to te teorie, ideologie i filozofie wypełniają zachodnią logosferę. Ludzka kultura, język, myśl, sfera wartości i duchowość zostały poddane degradacji.

eprasa.pl b95eb4ceae

Trwa wojna paradygmatów. Ludzie są coraz bardziej pogubieni. Ileż czasu i energii intelektualiści stracili na próbach uczynienia świata na swój obraz i podobieństwo. Tak, by ich nie oskarżał. Tak, by ich grzechy stały się normą. By eutanazja czy aborcja zostały wpisane do konstytucji, bo chronią ich życiowy komfort.

Ćwierć tysiąclecia poświęcono kręceniu się wokół witruwiańskiego pępka, instytucjonalizacji grzechu, wypieraniu jego istnienia ze świadomości mas.

I jeszcze jeden powód współczesnego zamętu. Tego dojmującego pomieszania Zachodu.

Jest nim wojna psychologiczna despotii z Zachodem. Najlepiej rozpoznana jest działalność Moskwy. Od lat 20. XX w. rozbijaniem jedności wolnego świata zajmowali się i dziś też zajmują pożyteczni idioci, tacy jak Jean-Paul Sartre, Simone de Beauvoir, Pablo Neruda, Louis Aragon, Herbert George Wells, Thomas Mann czy George Bernard Shaw. A i my każdego dnia słyszymy w Polsce tyrady „prawicowych" idiotów o „prowokowaniu Rosji" czy „winie Zachodu". Celem działania świadomej czy nieświadomej agentury wpływu jest dzielenie państw Zachodu i dezinformacja: powielanie narracji Kremla w mediach, internecie i debacie publicznej.

Jedną z dobrze opisanych operacji kognitywnych Moskwy jest historia powstałych na początku lat 80. zachodnich ruchów pacyfistycznych. Działały one, czasami nieświadomie, na korzyść totalitarnego ZSRR. Walczyły słowem i czynem z rozmieszczeniem amerykańskich rakiet średniego zasięgu Pershing II, i robiły to z naiwnością graniczącą z głupotą. Ignorowano bowiem wcześniejsze rozmieszczenie sowieckich pocisków SS-20, wycelowanych w zachodnie miasta. Próbę przywrócenia przez USA równowagi odstraszania mieszkający w tych miastach pacyfiści traktowali jako agresję przeciwko ZSRR. Z dokumentów ujawnionych trzy dekady temu wynika też, że ruchy ekologiczne lat 80. były inspirowane przez Stasi...

Już dwa tysiące pięćset lat temu wiedziano, jak się zabrać do niemilitarnego niszczenia wroga: podawaj w wątpliwość dobro, kompromituj przywódców, drwij z tradycji, posługuj się złymi ludźmi, siej niezgodę między obywatelami, polaryzuj społeczeństwo; dezorganizuj działalność władz, seksualizuj obyczaj i kulturę, sprzyjaj rozwiązłości, dąż do rozbrojenia psychicznego i moralnego wrogiego narodu; uderz w wiarę, podżegaj młodych przeciwko starszym, podważaj zaufanie dziecka do szkoły, rodziców i własnego kraju. To wszystko jest skuteczne, wystarczy popatrzeć na wspomnianych pacyfistów lat 80., wychowanych w cudzej narracji.

Dziś na oddziaływanie ośrodków zewnętrznych nakłada się działanie wroga wewnętrznego. Środowiska lewicowe Europy rozmontowują podstawy kulturowe własnego świata, powielają rosyjską narrację, atakują własne państwa. Trudno rozsądzić, czy wolnego świata bardziej nienawidzą postaci typu Pedro Sánchez, Daniel Cohn-Bendit, Jean-Luc Mélenchon, czy też ludzie z otoczenia Putina. Światowa lewica zachowuje się tak, jakby była jedną wielką agenturą wpływu.

A równolegle trwa inspirowana z zewnątrz infiltracja mediów, szkolnictwa, uniwersytetów oraz instytucji religijnych. Wprowadza się idee relatywizmu moralnego i uczy obywateli pogardy oraz skrajnego krytycyzmu wobec własnego państwa, infekuje się umysły ludzi wolnego świata destrukcyjnymi konceptami, za pomocą agentów wpływu steruje się debatą publiczną. Chodzi o podważenie fundamentów moralnych, kulturowych i religijnych atakowanego społeczeństwa.

Dziś ludzie paradygmatu „płód–partner–eutanazja" stracili zdolność odróżniania prawdy od kłamstwa. Wyznający błędną antropologię i pozbawieni świadomości grzechu niewinni-zdemoralizowani nie potrafią wyciągnąć racjonalnych wniosków i są gotowi odrzucić nawet twarde fakty i dowody. Takie społeczeństwo może się wyrwać z tego chocholego tańca dopiero pod wpływem jakiegoś potężnego, fizycznego szoku, np. wojny.

Trwa wojna psychologiczna z Zachodem, z Polską. Trwają operacje wpływu. Manipuluje się zachodnią opinią publiczną, mediami i elitami kulturalnymi. Wypowiedziano nam wojnę kognitywną, której celem jest zmiana postrzegania rzeczywistości u mieszkańców Zachodu do tego stopnia, aby stracili zdolność do obrony własnych interesów i czuli pogardę wobec własnej cywilizacji.

Kiedy na tle zdewastowanych miast widzimy Francuzkę udowadniającą rozmówcom, że gwałty na francuskich kobietach i dzieciach są nieistotnym elementem trwającej rewolucji, i kiedy pani profesor socjologii z Uniwersytetu Rennes 2 usprawiedliwia akty przemocy skrajnej lewicy, twierdząc, że groźby gwałtu to tylko efekty uboczne, widzimy ludzi niezdolnych do obrony własnych interesów oraz punkt dojścia paradygmatu „płód–partner–eutanazja". Lub nie widzimy, bo mówimy: byłom, robiłom, onu, jenu, osoba dyrektorska.



Fot. Pierre Laborde / Shutterstock.com

eprasa.pl b95eb4ceae

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Oby tak było

Pewnie siedzi dniem i nocą ze sztabem klakierów pochylonych nad klawiaturami komputerów i kombinuje, czym teraz zaskoczyć, jak szybko zaistnieć. Jak wzmocnić swój twardy elektorat, atakując znienawidzoną opozycję, czym przykryć codzienne afery władzy, ujawniane przez niezależne media. A to aferę jego pupilka Kołodziejczaka, a to pobicie przez policję pana Piotra, a to dziurawy budżet i gigantyczne zadłużenie. Dlatego byłem nieco zdumiony, gdy 19 października w reżimowych mediach pojawił się słodki materiał o tym, jak Donald Tusk obdarował swoją żonę Małgorzatę bukietem kwiatów w dniu jej imienin. Tymczasem pani Małgorzata w swojej wspomnieniowej książce „Między nami" z 2013 r. napisała o nim: „I spieprzył mi życie ten gnojek".

Następnego dnia, w czasie debaty sejmowej nad wnioskiem o odwołanie ministra finansów Andrzeja Domańskiego, Tusk zakomunikował, że „tego naprawdę wybitnego ministra" zamierza awansować na wicepremiera. To kolejny prymitywny chwyt polityczny wymierzony w prezydenta Karola Nawrockiego, gdyż wniosek ten wymaga jego asygnaty, a więc jest to pole do kolejnej konfrontacji.

Tusk swoją polityką ostatnich lat, ale i poprzednich dwóch swoich rządów, spieprzył życie większości Polaków. Chwali się teraz, że polityka jego obecnego gabinetu jest słuszna, bo „wiąże się z wysokim deficytem budżetowym i rosnącym zadłużeniem". Tu, o dziwo, nie kłamie, bo ma być źle. Za każdym razem, gdy jest u władzy, Polska gospodarczo się cofa i ubożeje. Tusk nie potrafi rządzić inaczej, bo poddańczo realizuje centralistyczną politykę Berlina i Brukseli. A tam postanowiono, że Polska nie ma się rozwijać, nie ma być suwerennym i niepodległym państwem, stąd atak Tuska na Trybunał Konstytucyjny, NBP i patriotyczną opozycję. I nie byłby sobą, gdyby ostatniej debaty nie wykorzystał do szkalowania PiS, posłów reprezentujących co najmniej połowę głosujących Polaków. „PiS marzy o tym, żeby w Polsce coś się zawaliło, bo im gorzej w Polsce, tym lepiej dla PiS". Albo perfidnie kłamie: „Chcecie uderzyć zawsze w tych, którzy gwarantują, że Polska idzie do przodu, kością w gardle stoi wam sukces Polski". A na końcu jego wystąpienia perełka cynicznego i nihilistycznego myślenia: „Wam zawsze, tylko i wyłącznie, chodzi o władzę i o pieniądze, a nam chodzi o ludzi i bezpieczną ojczyznę". Wypowiedź ta ma tę samą wartość aksjologiczną, etyczną i estetyczną, co słowa Tuska o elektoracie PiS wypowiedziane w Sulechowie 11 maja 2023 r.: „Chleją, biją swoje dzieci, biją kobiety, pracą nie zhańbili się od lat". Tam też nazwę największej w Polsce partii opozycyjnej rozwinął jako „Patologię i Sitwę".



Nieprzypadkowo tyle cytatów z Tuska. Polska ma dziś poważny problem z załganym do granic możliwości premierem i ludźmi, których wokół siebie zebrał; w zasadzie mających Polskę tam, gdzie swoją aferę w Szpitalu Południowym miał aparatczyk, dr „Dawidek".

Dlatego warto zapoznać się z tym, co od miesięcy przygotowuje niezależny Instytut Ordo Iuris. Jego eksperci zaprezentowali „Plan naprawy państwa", czyli projekty uchwał i szybkich decyzji nowego rządu po zmianie władzy. Chodzi o konkretne regulacje, które obejmują niemal wszystkie obszary życia społecznego i gospodarczego, zdewastowane przez obóz Tuska w ostatnich latach. „Plan" wymienia cztery podstawowe prawdy. Pierwsza dotyczy rodziny, naturalnego fundamentu państwa, które ma bezwzględny obowiązek wszechstronnie rodzinę chronić. Druga odwołuje się do wolności „uporządkowanej ku dobru", wolności chronionej także przed despotyzmem władzy. Trzecie założenie bazuje na art. 1 konstytucji: „Polska jest dobrem wspólnym wszystkich obywateli", ale uzupełnia, że chodzi o pokolenia Polaków: przeszłych, obecnych i przyszłych, powiązanych językiem, historią i kulturą zakorzenioną w chrześcijańskim dziedzictwie. Czwarta fundamentalna prawda to warunek naprawy państwa. Jako że rządy prawa muszą obowiązywać wszystkich, również rządzących, to wszyscy winni łamania prawa muszą być rozliczeni zgodnie z prawem. To będzie wymagało naprawy całego wymiaru sprawiedliwości, w tym przywrócenia prezesów sądów i legalnego prokuratora krajowego.

Dodam, że nie może się powtórzyć sytuacja, do której doszło po przejęciu władzy przez Zjednoczoną Prawicę w 2015 r. Zaniechano wówczas rozliczeń łamania prawa i kradzieży majątku narodowego dokonanych przez ekipę Tuska w latach 2007–2015. Skoncentrowano się wyłącznie na planach szybkiej naprawy państwa, finansów, programów społecznych – ważnych dla zwykłych ludzi – i na tworzeniu inwestycji prorozwojowych. To dało aż osiem lat rządów, ale tylko tyle, gdyż do władzy powrócili, niczym zbawcy ojczyzny, zdemoralizowani bezkarnością dawni ludzie Tuska, powiększając swoją władzę o byłych komunistów, liberałów i lewicę oraz wszelkiej maści nieudaczników i karierowiczów (Kołodziejczak i długo by wymieniać). Słusznie zauważa mec. Jerzy Kwaśniewski, prezes Instytutu Ordo Iuris, że zaprezentowany „Plan naprawy państwa" jest też wielką szansą „scementowania środowisk patriotycznych, poróżnionych w ostatnim czasie". Środowiska te winny się jednoczyć wokół propozycji programu wypracowanego przez ekspertów, choćby z Ordo Iuris; ludzi niepowiązanych z żadnym z prawicowych i konserwatywnych ugrupowań. Oby tak było.

www.wojciechreszczynski.pl



Zdrowie publiczne – czego Europa może się nauczyć od Szwecji?

Niski odsetek palaczy, odmienny model konsumpcji nikotyny i jeden z najniższych w Europie wskaźników zachorowalności mężczyzn na raka płuca sprawiają, że szwedzkie doświadczenia stanowią interesujący punkt wyjścia do rozmowy o skuteczniejszej ochronie zdrowia publicznego

Pokazują, że warto analizować nie tylko same przepisy, lecz także rzeczywiste zachowania społeczeństwa i ich długofalowe konsekwencje.

SZWEDZKIE DANE ZWRACAJĄ UWAGĘ

Według Eurostatu w 2019 r. codziennie paliło 6,4 proc. mieszkańców Szwecji przy średniej unijnej wynoszącej 18,4 proc., a w 2024 r. odsetek ten spadł do 5,4 proc. Równocześnie dużą popularnością cieszą się tradycyjny snus (tytoń stosowany pod wargę) oraz bezdymne saszetki nikotynowe – w 2024 r. codzienne używanie snusów deklarowało 22 proc. mężczyzn i 10 proc. kobiet, natomiast po saszetki nikotynowe sięgało 5 proc. populacji.

W 2022 r. standaryzowany współczynnik zachorowalności na raka płuca wśród szwedzkich mężczyzn wynosił 38,9 na 100 tys. osób (wobec 94,5 w UE), co było najniższym wynikiem we Wspólnocie. Wymaga to jednak ostrożnej interpretacji i nie dowodzi prostego związku przyczynowego, ponieważ na statystyki wpływają również historyczne wzorce palenia oraz profilaktyka.

PROFILAKTYKA MUSI WYKRACZAĆ POZA DEKLARACJE

Skuteczna polityka zdrowotna wymaga systemowego zapobiegania paleniu, wspierania osób pragnących zerwać z nałogiem oraz regularnego monitorowania efektów. Kluczowy jest łatwy dostęp do profesjonalnego poradnictwa, rzetelnych informacji oraz długofalowych działań profilaktycznych zamiast okazjonalnych kampanii. Szczególnej uwagi wymaga ochrona młodzieży – zapobieganie inicjacji nikotynowej i ograniczenie dostępu nieletnich do wyrobów to priorytety niezależnie od modelu regulacyjnego.

WNIOSKI DLA EUROPY

Obecna dyrektywa Tobacco Products Directive (TPD II) obowiązuje w państwach członkowskich Unii od maja 2016 r. Jej celem jest zapewnienie sprawnego funkcjonowania rynku wewnętrznego przy jednoczesnym utrzymaniu wysokiego poziomu ochrony zdrowia.

Dekadę później rynek wygląda jednak inaczej. Obok tradycyjnych papierosów funkcjonują e-papierosy, wyroby podgrzewające tytoń i saszetki nikotynowe, różniące się konstrukcją, sposobem użytkowania i dostarczania nikotyny.

Zmieniający się rynek znajduje odzwierciedlenie także w europejskiej debacie regulacyjnej. W kwietniu 2026 r. Komisja Europejska opublikowała ocenę obecnych przepisów, zwracając uwagę m.in. na rozwój nowych wyrobów tytoniowych i nikotynowych oraz związane z nimi wyzwania. Ważnym elementem tej debaty są też nowe dane dotyczące ich używania i skutków zdrowotnych.

Zmieniły się wzorce konsumpcji, a jednocześnie rozwija się wiedza dotycząca ich wpływu na zdrowie.

Przyszła debata nad TPD II będzie więc dotyczyć nie tylko tego, które produkty powinny zostać objęte europejskimi ramami prawnymi, lecz także tego, w jaki sposób regulacje powinny odpowiadać na różnice pomiędzy poszczególnymi kategoriami i zmiany zachodzące na rynku.

Zasadnicze pytanie brzmi zatem, czy kolejne ramy regulacyjne będą w wystarczającym stopniu uwzględniać aktualną wiedzę naukową, zmiany w zachowaniu konsumentów oraz ocenę skutków poszczególnych rozwiązań? To właśnie jakość dowodów, proporcjonalność regulacji i ich zdolność do odpowiadania na zmieniający się rynek będą istotnymi elementami dyskusji o europejskiej polityce tytoniowej na kolejną dekadę.

Artykuł sponsorowany | 17/1026/F

eprasa.pl b95eb4ceae

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Wartość niezbywalna



Aleksander Nalaskowski

W biblijnej Księdze Rodzaju czytamy, że Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo. To stwierdzenie ma ogromny sens. Oznacza bowiem, że człowieczeństwo nie jest zaledwie przygodnym elementem świata ani narzędziem służącym realizacji cudzych celów. Posiada szczególną wartość, której nie da się sprowadzić do użyteczności, produktywności czy społecznej przydatności. Każde ludzkie życie ma sens, nawet wtedy, gdy nie przynosi wymiernych korzyści. A niekiedy zwłaszcza wtedy.

Właśnie tutaj ujawnia się wyjątkowość chrześcijańskiej wizji człowieka. W kulturze, która często zachwyca się sukcesem, zdrowiem, młodością i siłą, łatwo zapomnieć o tych, którzy nie nadążają za tempem współczesnego świata. Osoby starsze, chore, samotne, ubogie czy z niepełnosprawnościami bywają traktowane tak, jakby ich wartość była mniejsza. To się zmienia, ale bardzo wolno. Tymczasem chrześcijaństwo przypomina, że człowiek nie jest wart tyle, ile potrafi zrobić, ile posiada lub może zaoferować innym. Jest wartością dlatego, że jest człowiekiem.

Nie sposób mówić o chrześcijańskich korzeniach godności bez przywołania postaci Jezusa Chrystusa. W Ewangeliach spotykamy go wśród ludzi, których ówczesne społeczeństwo często wykluczało: ubogich, chorych i grzeszników. Jezus nie oceniał człowieka wyłącznie przez pryzmat jego przeszłości ani nie uzależniał szacunku od pozycji społecznej. Dostrzegał osobę tam, gdzie inni widzieli problem, słabość lub powód do potępienia, a nawet pogardy. Widział godność w celniku w świątyni i przestrzegał przed postawą faryzeusza. Jego postawa była wyzwaniem dla świata, w którym o znaczeniu człowieka często decydowały pochodzenie i przynależność do określonej grupy. To nie mogło się podobać. Stąd krzyż.

Szczególnie wymowna jest przypowieść o miłosiernym Samarytaninie. Jej przesłanie wykracza daleko poza religijne pouczenie. Jezus pokazuje, że prawdziwe człowieczeństwo ujawnia się w gotowości do pomocy drugiemu, nawet jeśli jest on nam obcy. Godność nie może pozostawać jedynie ideą zapisaną w dokumentach. Musi znajdować odbicie w codziennych relacjach, w sposobie, w jaki rozmawiamy z drugim człowiekiem, reagujemy na jego cierpienie, i w sposobie, w jaki traktujemy tych, którzy nie mogą nam się odwdzięczyć.

Chrześcijańska koncepcja godności nie ogranicza się jednak do indywidualnej dobroci. Przez stulecia wpływała także na rozwój myśli społecznej i prawnej. Nauczanie chrześcijańskie, zwłaszcza przekonanie o równej wartości wszystkich ludzi wobec Boga, przyczyniało się do kształtowania idei powszechnego braterstwa.

Współczesne rozumienie praw człowieka, wyrażone m.in. w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka z 1948 r., wyrasta z wielu tradycji filozoficznych, religijnych i prawnych. Nie można przypisać jego powstania wyłącznie chrześcijaństwu, ale trudno pominąć wpływ chrześcijańskiej wizji osoby ludzkiej na kulturę europejską.

Dzisiaj, w epoce mediów społecznościowych, nieustannego porównywania się z innymi i pogoni za sukcesem, pytanie o godność nabiera zupełnie nowego znaczenia. Człowiek coraz częściej bywa oceniany na podstawie wyglądu, popularności, liczby obserwujących czy zawodowych osiągnięć. Łatwo wtedy uwierzyć, że nasza wartość zależy od aprobaty innych.

Chrześcijaństwo proponuje tu zupełnie inną perspektywę: wartość człowieka nie znika wtedy, gdy przestaje on spełniać oczekiwania otoczenia, a godność nie jest jedynie tematem wielkich debat filozoficznych. Rozstrzyga się w codzienności. Objawia się w szacunku wobec osoby o odmiennych poglądach, w uczciwym traktowaniu pracownika, w trosce o samotnego sąsiada czy w obronie kogoś, kto – jak pan Piotr pod Trybunałem Konstytucyjnym – stał się ofiarą przemocy.

Chrześcijańskie korzenie godności człowieka nie powinny być zatem traktowane wyłącznie jako część opowieści o europejskiej kulturze. Stanowią one również zobowiązanie na dziś. Jeśli wierzymy, że każdy człowiek jest stworzony na obraz Boga, nie możemy wybierać, komu przyznamy prawo do szacunku. Nie możemy uzależniać go od sympatii, poglądów czy użyteczności drugiej osoby. Godność jest albo powszechna, albo przestaje być godnością w pełnym znaczeniu tego słowa.

Nikt nie musi zasługiwać na to, by być traktowanym jak człowiek. Nie trzeba być bogatym, zdrowym, popularnym ani bezbłędnym. Być może właśnie w tej prawdzie kryje się największa siła chrześcijańskiego dziedzictwa. W świecie, który nieustannie tworzy rankingi, porównuje i ocenia, przypomina ono, że istnieją wartości, których nie da się zmierzyć ani kupić. Godność ludzka jest jedną z nich. Nie powinna zależeć od kaprysu większości ani od decyzji władzy. Jest zobowiązaniem, które nakazuje nam dostrzegać w drugim człowieku nie konkurenta, przeszkodę czy narzędzie, lecz osobę zasługującą na szacunek. A miarą naszego człowieczeństwa staje się to, czy potrafimy tę prawdę wcielać w życie – szczególnie wtedy, gdy szacunek do drugiego człowieka wymaga od nas naprawdę sporo pracy.

eprasa.pl b95eb4ceae

***Michał Korsun** prezentuje:*
Prezydent Macron trzyma rękę na pulsie



Wycinki z przeszłości

W 1935 r. „Moja Przyjaciółka” opisała wizję, w której kobiety miały się cieszyć doskonałym zdrowiem, a pięćdziesięciolatki zachowywać młodość, włosy i zęby. Gruźlica, reumatyzm i zwykłe przeziębienia miały odejść w przeszłość. Jedno miało się nie zmienić: mimo wynalezienia pigułek zaspokajających głód „ładnie nakryty stół zawsze będzie pociągał ludzi”. Tak wyobrażano sobie kobiety i ich świat w 2000 r.

(sp)

KOBIETY W ROKU 2000.

Na kongresie lekarzy w Londynie prof. Elżbieta Chesser wygłosiła referat na temat „Kobiety w 2.000 roku“. Perspektywy, przedstawione przez kobietę - uczonego są dosyć ciekawe.

W 2.000-ym roku kobiety, jak zresztą i mężczyźni, będą się odznaczały niezwykłem zdrowiem i siłą. Wszystkie choroby, wydające się nam obecnie niewinnemi, jak przeziębienie, katar, a także takie choroby, jak reumatyzm, gruźlica podagra i wiele innych, znikną i będziemy je wspominać, jak się obecnie wspomina cholerę, czy dżumę. 50-letnie kobiety będą posiadały jeszcze zęby, włosy i tkanki w nienaruszonej formie, będą wyglądały młodo i ładnie. Medycyna i higjena poczynią ogromne postępy i na obecne środki kosmetyczne będziemy patrzyli tak, jak dziś patrzymy na średniowieczne nalewki na zębach żmij, napoje miłosne i inne podobne środki.

Prof. Chesser nie wierzy, aby syntetyczne odżywianie miało wyrugować naturalne potrawy. Ładnie nakryty stół zawsze będzie pociągał ludzi, a wrażenia smaku jeszcze się rozwiną. Pigułki, zaspakajające głód, przydadzą się, być może,, dla celów praktycznych i medycznych, ale w domu i w restauracji będą królowały dobrze przygotowane i ładnie podane potrawy.

W życiu kobiet 2.000 roku będzie panował wieczny i niezmienny instynkt macierzyński. Na nim będzie się opierała cała przyszła cywilizacja, chociaż coprawda w tej chwili nie można powiedzieć, w jakie formy przekształci się życie rodzinne i macierzyństwo.



Z WOLEJA

Ukraińscy sportowcy w Polsce: wdzięczność inaczej czy krótka pamięć?



Ryszard Czarnecki

Dżudoczka spod Doniecka Anna Zajcewa mieszkała w Polsce od pięciu lat, a więc zanim zaczęła się wojna w Europie Wschodniej, i jadła z rodziną polski chleb. Publicznie deklarowała, że w naszej ojczyźnie znalazła bezpieczeństwo, spokój i świetnie się u nas czuje. Podkreślała, że swoją przyszłość wiąże z Polską – w tym sportową karierę. Zdobyła dla naszych barw wicemistrzostwo świata kadetek, a parę miesięcy temu, walcząc w biało-czerwonych barwach, zajęła piąte miejsce w mistrzostwach Europy juniorek. Ku osłupieniu Polskiego Związku Judo i naszej sportowej opinii publicznej na mistrzostwach globu w Baku wystąpiła już jako reprezentantka... Azerbejdżanu. Karma szybko wróciła, bo przegrała pierwszą walkę, a cwaniacy z Kaukazu obeszli się smakiem. Nasi internauci, dziennikarze i rodzima federacja są oburzeni, że przez tyle lat polski podatnik inwestował w dziewczynę, a ona teraz bez słowa wystartowała w barwach kraju, który dał jej większe pieniądze. O sprawie miał wiedzieć prezes klubu z Poznania (nie wspomnę nazwiska, bom miłosierny), w którego barwach walczyła, ale nie powiedział, bo dla niego „najważniejsze jest dobro zawodniczki”. Dobro polskiego sportu i polskiego podatnika jest więc już nieistotne?

Jej rodak Wasyl Arkadijowicz Tupczij gra w Polsce od czterech lat, ale dorabiał sobie w tym czasie w takich siatkarskich potęgach, jak Rumunia i Katar. Nie miał odwagi powiedzieć tego polskim mediom, ale ukraińskim się wypłakał. Ujawnił, że „Ukraińcy w Polsce nie są lubiani” i że jest coraz gorzej. Ba, dlatego obecny sezon będzie jego ostatnim w naszym kraju. Sam doświadczał wrogości, „starsze babcie” krzywo na niego patrzyły, jak usłyszały ukraiński. Widział też taśmy (!) z napisem „Jedź do domu”. Zapomniał tylko, że liga, w której teraz gra już piąty sezon, jest najlepszą na świecie lub jedną z dwóch najlepszych (obok włoskiej), dlatego zarabia świetne pieniądze, a dzięki latom tu spędzonym będzie mógł przed sportową emeryturą dorobić w klubach u Arabów.

Inny ukraiński siatkarz, też grający tu od czterech lat, Jurij Semeniuk, w dniu, w którym jego reprezentacja została na mistrzostwach Europy rozbita przez Polskę 3:0, uznał za stosowne, aby nie mówić o wdzięczności dla naszego kraju za pomoc, bo Rzeczpospolita już rachunek dostała: „Gdyby nie Ukraina i jej wojsko, to być może Rosja byłaby już w Polsce. I teraz nie walczylibyśmy jak Ukraińcy, tylko Polacy”. I dalej: „Co by zrobili Polacy, jakby Ukraina przegrała wojnę? Być może uciekaliby do Niemiec, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, dokądkolwiek”.

Cóż, maski opadły...

eprasa.pl b95eb4ceae



OD A DO ZYBERTOWICZ

Brak siłowni dla mózgu

Korzystanie z chatbotów stało się chlebem powszednim, a to spowodowało, że zanim się spostrzeżemy, już „myślimy" w gotowych szablonach

Ależ to ironia: przez wieki człowiek konstruował maszyny, żeby oszczędzać siłę mięśni, aż w końcu doszedł do... maszyn, których celem jest coś zupełnie odwrotnego. Życia bez siłowni, pełnych urządzeń do ćwiczeń, wielu z nas w ogóle sobie nie wyobraża. Maszyny już tyle za nas robią, że bez regularnych treningów ciała trudno utrzymać zdrowie i kondycję.

A czemu tak naprawdę służy budowanie sztucznej inteligencji (AI)? Oszczędzaniu głowy? W sensie – oszczędzania jej przed wysiłkiem intelektualnym?

Gdy niemal wszystkie nasze prace fizyczne są wykonywane przez maszyny, naszym mięśniom zostaje odebrana siła. To wiemy już dobrze. Nadwaga, nadciśnienie, złe krążenie, tzw. choroby cywilizacyjne. A co się stanie, kiedy maszynie oddamy prawo do układania zdań?

SŁOWNIK I SENS

Co się dzieje, gdy dzień po dniu oddajemy maszynie (chatbotom) prawo do formułowania wypowiedzi, pisania za nas tekstów czy odpowiadania na zawiłe pytania moralne i filozoficzne?

Nim się spostrzeżemy, oddamy jej prawo do porządkowania świata. Tak – kto układa zdania, ten ustawia akcenty. Kto ustawia akcenty, ten steruje uwagą. A ten, kto steruje uwagą, ten współtworzy rzeczywistość. To już nie jest technologia „do pisania". To narzędzie współtworzenia słownika emocji, sporów i pragnień. A słownik, jak wiadomo, nie jest niewinny.

W słowach mieszka hierarchia: jedne rzeczy nazywamy „problemem", inne „kryzysem", jeszcze inne „wyzwaniem cywilizacyjnym". Zależnie od tego, jakiej użyjemy etykiety, taki nadamy ton zjawisku. Chyba świetnie to rozumieją politycy umiejący tak skonstruować wypowiedź, żeby rozmyć jej ostrość albo wręcz przeciwnie – wyostrzyć emocje. To od tego, jakich użyją słów, zależy, czy ich przekaz będzie uspokajający czy alarmujący.

FAJNY POMOCNIK

Wielu z nas myśli, że konwersacyjne modele AI to tylko sprytne narzędzia. Fakt, bardzo szybko odpowiadają, sprawnie i zgrabnie budują zdania. Są posłuszne. Potrafią poprawić styl i komunikatywność. Wyłapują nasze błędy. I grzecznie przepraszają za swoje.

I tu zaczyna się prawdziwy kłopot: korzystanie z maszynowego języka to nie tylko usprawnianie komunikacji. Dla milionów korzystanie z chatbotów stało się chlebem powszednim, a to spowodowało, że zanim się spostrzeżemy, już „myślimy" w gotowych szablonach. Jakby nasze własne zdania były tylko szkicem do uzupełnienia albo poprawki.

Warto przy okazji dodać, że człowiek zawsze lubił lub musiał delegować myślenie. Nawet najpotężniejsi władcy mieli swoich zaufanych doradców, których opinie nadawały sprawom odpowiednie znaczenie. Cóż, nawet najgenialniejszy przywódca nie zna się na wszystkim.

Dziś częściej korzystamy z chatów, zamiast słuchać opinii ekspertów. Miejsce dawnych ekspertów i autorytetów zajmują algorytmy.

Dlatego tak niebezpieczna jest pokusa, by traktować AI jako protezę dla wszystkich słabości naszego myślenia. Jasne, to oszczędza czas. Pomaga zebrać myśli, sprawdzić argument, znaleźć zgrabniejsze sformułowanie. Ale gdzie przebiega granica między pomocą a wyręczaniem się? Między korektą a przejęciem steru? Człowiek, który stale wyręcza się maszyną, z czasem traci nie tylko wprawę, lecz także pewność, że potrafi sam. A od tego już bardzo blisko do intelektualnej zapaści.

MORAŁ

Maszyny, które miały odciążyć nasze ręce i nogi, ostatecznie nauczyły nas, że ciało jednak potrzebuje wysiłku. Z AI może być odwrotnie. Im bardziej odciąża naszą głowę, tym bardziej może osłabiać naszą wolę, cierpliwość i samodzielność. Bo jeśli ktoś za nas myśli, to w pewnym momencie przestajemy wymagać od siebie czegokolwiek. Na dodatek żyjemy w kulturze konsumpcyjnej, sprzyjającej chodzeniu na łatwiznę.

I jak tu stworzyć coś na kształt centrum treningu poznawczego – taką siłownię dla mózgu? Kiedyś tę rolę pełniła szkoła. Dzisiaj...

Postuluję stworzenie przestrzeni „surowej syntezy", w której zamiast gotowych odpowiedzi AI podsuwa dość chaotyczne zbiory niespójnych tez, z których człowiek musi własnym wysiłkiem, jakby od zera, ułożyć sensowną narrację.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl b95eb4ceae

wPolsce24

BUDZIMY SIĘ

CODZIENNIE O 6:40

Wstań prawą nogą i dowiedz się, co przyniesie dzień!

Dostarczamy najciekawsze tematy i rozmowy,
a także najświeższą prognozę pogody.

Budzimy się – Twój niezawodny poranny rytuał.



GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl b95eb4ceae

wPolsce24

NIE DAMY SIĘ OKRAŚĆ!



Jacek Karnowski,
redaktor naczelny
telewizji wPolsce24

WALCZYMY Z UKŁADEM,

który decyduje,
co Polacy mają oglądać

WSPIERAJ
wPolsce24

wesprzyj.wPolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.: **69 1020 4900 0000 8202 3036 2577**
tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO